

- ◆ Czy w Łodzi ma być ulica Józefa Piłsudskiego? str. 3
- ◆ Gdzie naprawdę urodził się Julian Tuwim? str. 15
- ◆ Czy jesteśmy targowym miastem? str. 4
- ◆ Ile można zarobić na makulaturze? str. 6
- ◆ Co czytają maturzyści? str. 13

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 27 (1579) ROK XXXI 2 LIPCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

W najbliższym czasie ukaże się w księgarniach trzecie już wydanie „Inkarnacji” Leonarda. Będzie się ono różniło od dwóch poprzednich nie tylko okładką, ale i tym, że zawierało będzie dodatkowy rozdział, opisujący to, co już wydarzyło się po napisaniu „Inkarnacji”. Publikujemy obecnie pierwszą część tego dodatkowego rozdziału.

LEONARD

(1)

Czterdzieści trzy lata później

Pięć lat po ukończeniu „Inkarnacji”.

Wielu Czytelników po przeczytaniu mego oświadczenia nakreśli pod moim adresem, kółko na czole. Okrzyknę je bzdura, kto wie, czym jeszcze. Ale to prawda. Powtarzam: To prawda!

Scenę wymordowania rozbitków zawarła w pierwszym rozdziale na stronach 41-47, co do szczegółu zgodna z faktycznymi postawami tej głównych bohaterów napisałem z wyobraźnią, długo przed zapoznaniem się z materiałami archiwalnymi British Admiralty i Bundesarchiv w Koblenz.

Ponieważ piszę to w Polsce, w kraju ludzi głęboko wierzących, winienem wobec tego dodać, że mam na to wiarygodnych świadków.

Byla wiosna 1944 roku. Dla niemieckiej U-boatwaffe skończyły się lata bezkarnych prawie polowań na alianckie statki handlowe. Nad Atlantykiem zawieszono szesnastoparobitkowy nadzór lotniczy. Floty niszczycieli przeczesywały do dna głębiny oceanów. Wypłynięcie okrętu podwodnego na powierzchnię wody dla nalożenia akumulatorów i zaopatrzenia przez załogę powierzało równo się śmierci. Tragiczne odwrócenie ról: jednostki zwycięskiej U-boatwaffe, które sukcesami się tak chlębiły, z nieuchwytnego napaśnika przeistoczyły się w bezlistnie tepione wilkolaki nie znajdujące ujścia przed tropicielami. Rezultat końcowy tej walki przeszedł wszelkie oczekiwania: czterdzieści trzy procent stanu U-boatwaffe pośliznęło się do oceanów i mierz. Stało się tym samym swoistym memento dla potomnych.

I wtedy — to fakt historyczny — w beznadziejnej dla każdego okrętu podwodnego sytuacji nie dającej mu żadnej szansy wymknięcia się pościgowi, dowódca U-832 kapitanleutnant, Heinz Eck, podjął niezrozumiałą, samobójczą w skutkach decyzję zatopienia przy-padkowego statku, a następnie wymordowania pozostałych przy życiu rozbitków.

Głoszą zachodnioleniecki pisarz, Hans Herlin, w książce „Verdammt Atlantik” — „Przeklęty Atlantyk”, wydanej przez Econa Verlags w Düsseldorfie i Wiedniu, w 1959 r., kreśli nieznana polskiemu Czytelnikowi ostatnia droga oficerów dowództwa U-852, od momentu wydania na nich przez brytyjski sąd wojenny wyroku śmierci.

Hans Herlin pisze: „O godzinie jedenastej (wieczorem — L.) zjawił się pastor Hunzinger, kapelan wojskowy. Obrońcy, dr Wulf i Meckel, już się pożegnali, ze skazanymi na śmierć pozostał sam kapelan; strażnicy, z wyjątkiem jednego, opuścili celę.

W wejściu pojawił się major Le Cornu, angielski komendant więzienia. Skinieniem głowy pozdrowił duchownego.

Ująwszy go pod ramię powie-dział, że poprowadzi go do skazanych. Następnie odwrócił się do obrońców jeszcze raz. — Proszę poczekać na zewnątrz — powiedział. — To już niedługo. Dr Wulf rzucił okiem na swój melonik trzymany w rękach. Ledwie słyszał kroki odchodzących.

(...) Trójka skazanych wyszła mu naprzeciw, jak każdego dnia. Prowadził Eck. Był pierwszym, który głośno, bez silenia się na opanowanie, przemówił. — Dzień dobry! — powtórzył, kiedy w milczeniu podeszli ku niemu. Twarz miał poważną, bardzo spokojną, bardzo młodą. Nic w jego zachowaniu nie było sztucznego.

Mundury trójki skazanych, w których ich zawsze widziano, były wyszczotkowane do czysta. Spodnie porażały zaprasowanymi kantami; musieli na noc ułożyć je pod materac.

Dopiero teraz dr Wulf spostrzegł w ich rękach listy. Hoffmann, młodzieńki podporucznik, wystąpił przed Le Cornu. Podał mu listkę, którą otrzymał w lazarecie angielskim. Kiedy Anglik wahał się z jej odbiorem, Hoffmann powiedział: — Proszę ją oddać. Mnie już nie będzie potrzebna. Le Cornu przekazał listkę stojącemu za nim sierżantowi.



Rys. Janusz Szymanski-Glanc

Z otwartego gdzieś okna po-wiało zimnym wiatrem, do wnętrza wdarł się loskot nadjeżdżającego samochodu, rychło zagłuszony uderzeniami twor-dych, wyrównanych kroków. Kiedy wszyscy się ku nim odwrócili, ujrzeni sześciu rosyjskich żandarmów, nadchodzących w dwóch kolumnach. Zatrzymali się bez komendy, jak gdyby ćwiczenie to wyuczyli na pa-mięć. Wciąż milcząc brali pa-rami między siebie po jednym skazanym i poddali ich rewizji osobistej. Ręce ślizgały się sprawnie wzdłuż ich ciał.

Dr Wulf widział, jak Eck podczas rewizji położył dłoń na lewej kieszeni pierśi, tam gdzie przechowywał ostatni list od swojej matki.

Le Cornu wraz z oboma o-broncami i kapłanem skierowa-li się ku wyjściu. Ostatnie, co dr Wulf zobaczył, to była laska, którą O'Neill oparł o białą wy-kaflowaną wyjście.

Wiatr stał się silniejszy. Wulf wyszedł z bu-dynku. Chciał wierzyć, że wystarczy mu siły do przebrnięcia przez tę próbę do końca.



Marzeń nie uznaje. Nie lubi słodkich kobiet. Stara się nie dać zaskoczyć i nie przepracowywać się, choć niekiedy wstaje o 5 rano.

Nie jestem gladiatorem władzy

Rozmowa z ministrem JERZYM URBANEM, rzecznikiem prasowym rządu.

— Pragnę naszą rozmowę zacząć od pozornego paradoksu: w latach pięćdziesiątych, kiedy był pan członkiem kolegium redakcyjnego „Po prostu”, zajmował się pan „pouczaniem” władzy. A wiadomo, że żadna władza nie lubi natrętnych mentorów. W latach późniejszych, za czasów Władysława Gomułki znalazł się pan w nielase w wyniku swojej działalności publicystycznej. Za Edwarda Gierka, dla większości Czytelników, był pan Jerzym Kibicem i felietonistą „Szpilek”. A więc zawsze pan władzy miał coś tam za złe. Dopiero generał Wojciech Jaruzelski jakby w pełni docenił pańskie zalety, powierzając panu tę rolę ministerialną w swoim rządzie. Czyżby uległ pan aż tak poważnej metamorfozie i wyrzucił do kosza wszystkie swoje ostre pióra i długopisy?

— Po pierwsze: nieprawdą jest, że byłem w opozycji. Można by to określić tylko w ten sposób, że byłem w swoistej opozycji w owym dwuletnim czasie, kiedy pracowałem w „Po prostu”. Jednakże była to zupełnie inna opozycja niż opozycja współczesna. Niesłusznie na przykład „Solidarność” nawiązywała do „Po prostu” jako swojego prekursora. Byliśmy żarliwie marksistowszczykami i proscjałistami. Jesliby wziąć program „Po prostu” i przyłożyć do programu partii i rządu z epoki Wojciecha Jaruzelskiego, to okazałoby się, że istnieje duża „bezpieczna” różnica: decentralizacja, demokratyzacja, samorządność, niepiękanie gospodarki o ekonomiczne zasady, rozgraniczanie roli partii i roli administracji. Były to wątki programowe „Po prostu”, które wtedy uchodziły za bardzo burzycielskie. Jednym słowem nie uważam się za człowieka, który zmienił poglądy.

Moje przekonania ewoluowały na tyle, na ile wynikało to z biegu wydarzeń w kraju, kumulowania się doświadczeń, mądrzenia. Pozostaje w obrębie tej samej orientacji politycznej, z którą związałem się w 1948 r. mając 15 lat. Byłem działaczem ZMP, potem pracownikiem „Po prostu”, potem przez dwadzieścia lat, z krótką przerwą, pracownikiem redakcji „Polityki”, która również przez pragmatyzm i krytycyzm swojego programu przygotowała dzisiejszy kurs. Tak więc widzę w swoim życiu raczej spójność niż rozbieżność poglądów.

Rozbieżność oczywiście dotyczy roli zawodowej. Dziennikarz, który pisze w swoim imieniu, a jeszcze pisze felietony, jest krytyczny, bywa zgryźliwy. Nigdy nie byłem krytyczny i zgryźliwy tylko wobec władzy, zawsze miałem skłonność chodzenia pod prąd opinii publicznej, co nie jest cnotą dzisiejszych opiniońców władzy, którzy podlizują się jak mogą opinii publicznej. A potem zmienili rolę zawodową. Dzisiaj moja powinnością jest reprezentowanie nie swoich własnych poglądów, lecz również władz. Każdy rzecznik rządu z natury rzeczy chowa do kieszeni swoje krytyczne myśli o działalności tego rządu, tak jak w ogóle przedstawiciel każdego ciała zespółowego na zewnątrz reprezentuje poglądy tego zespółu.

— Stworzył pan instytucję, w historii naszego kraju, bez precedensu: co tydzień zagraniczne środki masowego przekazu otrzymują porcję informacji dotyczących decyzji, przedsięwzięć i zamierzeń rządu. Pańskimi ustami są wypowiadane także oficjalne oświadczenia dotyczące stanowiska PRL w kwestiach polityki zagranicznej. Moje pytanie w związku z tym jest następujące: czy był to pomysł, pana czy kogoś innego?

— To nie był niczyj pomysł. Ja zacząłem funkcjonować w epoce nasilania się konfliktów pomiędzy kierownictwem „Solidarności” a władzą. W „Solidarności” rzecznik tej organizacji odgrywał bardzo istotną rolę. Wobec tego, kiedy w połowie 1981 roku zostałem powołany na rzecznika rządu, naturalny bieg wydarzeń sprawił, że spełniałem rolę analogiczną po drugiej stronie barykady, jakby kontrrzecznika. Wszedłem w rolę narzuconą już przez samą sytuację. Co dzień niemal wydawałem oświadczenia, zwoływałem prasę. Słowem był to rodzaj nieustannego pojedynku na argumenty.

Konferencje prasowe, które dziś mają utrwaloną już tradycję, zaczęły się 13 grudnia 1981 roku. Wtedy po wprowadzeniu stanu wojennego odbyła się pierwsza taka konferencja. Stało się to znowu w sytuacji dosyć nadzwyczajnej, kiedy prasa zagraniczna była odcięta od środków łączności, kiedy panowała ogromna dezorientacja, co się w Polsce dzieje, kiedy stało się rzeczą nagłą wyjaśnienie sensu wprowadzenia stanu wojennego, jego reguł i charakteru, a także przeciwstawianie się kampanii propagandowej, wymierzonej przeciw Polsce, jaka wtedy natychmiast wybuchła.

Kiedy 13 grudnia 1981 roku pojechałem do dziennikarzy, to nie była to żadna decyzja, żaden zamysł, a odruchowe wykonywanie obowiązków w powstałej sytuacji. Podobnie zachowywałem się na przykład szewc, gdy staje przy kopycie. Potem okazało się, że jestem wciąż potrzebny zagranicznej prasie, bo bieg zdarzeń tego wymagał. A potem to się ustabilizowało i teraz odbywa się raz na tydzień o stałej godzinie. Zwyczajnie i zasady prowadzenia tych konferencji oraz publikowania ich treści stopniowo się ukształtowały.

A więc nie był to żaden model wymyślony za biurkiem, nie była to niczyja decyzja, była to po prostu realizacja założeń rządu generała Wojciecha Jaruzelskiego, aby pracować przy otwartej kurtynie. Reszta stała się sama przez się.

Odgłosy

Adres redakcji: 80-632 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

zotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożynski,

Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałański.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznowa (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 28

Redakcja nie zwraca nie za-

możniwionych reklamacji i zastrze-

żeń o skutkach. Za treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

złotokilowat w miastach wojew-

ódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

złotokilowat w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” a-

placują prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

tów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 3.

Dla doręczycieli osoby fizyczne zamieszka-

łe w miastach — siedzibach

Oddziałów RSW „Prasa — Książ-

ka — Ruch” opłacają prenume-

ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców oddawczych właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratę. Wskazywanie

prenumeratę w urzędach pocztowych

nie jest obowiązkiem. 4. Dla

osób fizycznych zamieszka-

łych w miejscowościach gdzie

nie ma oddziałów RSW „Prasa

— Książka — Ruch” opłacają

prenumeratę w urzędach pocztowych

i u doręczycieli. 5. Dla doręczycieli

osoby fizyczne zamieszkałe w

miastach — siedzibach Oddziałów

RSW „Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 6.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 7.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 8.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 9.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 10.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 11.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 12.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 13.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 14.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 15.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 16.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 17.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 18.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 19.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 20.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 21.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 22.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 23.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 24.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 25.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 26.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 27.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 28.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 29.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 30.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 31.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 32.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 33.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 34.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 35.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 36.

Dla doręczycieli osoby fizyczne

zamieszkałe w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 37.

Minelo kilka lat od kongresu założycielskiego Międzynarodówki Komunistycznej (1919), zanim ukształtowała się struktura tej kierowniczej instancji. Powołano wprawdzie już wówczas Komitet Wykonawczy i jego pięcioposobowe Biuro do kierowania działalnością bieżącą, ale było to tylko rozwiązanie doraźne. Dopiero na II Kongresie (1920) przyjęto uchwały określające zasady ideowe i organizacyjne partii komunistycznych, warunki („31 warunków”) przynależności do III Międzynarodówki, a także jej statut.

W dokumentach tych eksponowano centralizm kierowniczy jako naczelną zasadę budowy zarówno poszczególnych partii komunistycznych,

grosów. Uprawnienia te oraz rola centralizacyjna KW MK wzrosły zwłaszcza od 1924 r., co znalazło swoje odbicie również w nowych statutach. Reguła specyficzna dla praktyki Międzynarodówki Komunistycznej stała się tzw. zasada przemieszczania się działaczy z jednej sekcji do drugiej, czyli wymiana kadr między poszczególnymi partiami.

Komitet Wykonawczy MK zgodnie ze statuten był uprawniony do wysyłania swoich przedstawicieli do partii komunistycznych, co od początku znalazło zastosowanie w praktyce. Pełnomocników tych zobowiązano wprawdzie do działania w ścisłej łączności z KC danej partii, lecz byli oni bezpośrednio odpowiedzialni tylko przed Egzekutywą MK. Tacy właśnie emisariusze kie-

sposobu i tempa realizacji zasady centralizmu demokratycznego oraz jej interpretacji w duchu koncepcji partii rosyjskiej. Protestowali przeciwko, ich zdaniem, zbyt szero- kemu u- prawnieniu kontrolnym Egzekutywy MK i jego pełnomocników wobec sekcji narodowych, w praktyce arbitralnych, otwartej ingerencji w sprawy wewnętrzne tych partii, ignorowaniu ich tradycji i specyfiki konkretnych warunków działania. Na takim podłożu doszło do konfliktu między Komitetem Wykonawczym MK a Norweską Partią Robotniczą (1923—1923), a w konsekwencji do całkowitego zerwania większości tej partii z III Międzynarodówką. Perypetie na tle stosunków z kierownictwem Kominternu nie ominęły wkrótce także przywódców

wielu szimmerwaldzkiej, jak działacze niemieccy (H. Brandler, Ernst Meyer) i szwedzcy (Karl Kilbom, Karl Höglund) czy też w Związku Spartakusa (H. Brandler, Eberlein, F. Heckert, Clara Zetkin). Następnie stał się współzałożycielem partii komunistycznych w swoich krajach, oni też odegrali istotną rolę w przyciągnięciu lewicy socjalistycznej do III Międzynarodówki. Niektórzy przysięgli z młodzieżowego ruchu socjalistycznego (np. Umberto Terracini), a potem stali się współzałożycielami i przywódcami Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży (Emil Arnold, Willi Münzenberg, Janos Lekai, Richard Schüller).

Działacze rosyjscy i polscy uczestniczyli w rewolucjach 1905 r. i 1917 r. przewyższali praktycznym doświadczeniem swoich towarzyszy z partii zachodnich. W tym gronie znalazła się też grupa działaczy, którzy niedawno jeszcze wchodzili w skład rządów rewolucyjnych istniejących krótko w latach 1918—1920 w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Byli to przywódcy i członkowie rządu węgierskiego — Bela Kun, Matyas Rakosi, Janos Lekai, fiński — Otto Kuusinen, Kullervo Manner, Yrjö Sirola, polskiego (TKRP) — Julian Marchlewski, Feliks Kon, Edward Próchniak, estońskiego — Hans Pöggelman, łotewskiego — Peter Stucka.

Warto tu również dodać, że większość członków Egzekutywy MK pełniła równoległe funkcje kierownicze z wyboru w macierzystych partiach. Niektórzy z nich byli sekretarzami generalnymi lub przewodniczącymi tych partii jak William Andrews — południowoafrykańskiej, Heinrich Brandler — niemieckiej, Mac Manus — brytyjskiej, Kullervo Manner — fińskiej, Sima Marković — jugosłowiańskiej, Louis Sellier i Louis Oscar Frossard — francuskiej, Ramon Merino-Gracia — hiszpańskiej.

Byli w tym gronie aktualni posłowie komunistyczni do parlamentów burżuazyjnych w ich krajach jak Ersilio Ambrogi i Egidio Gennari (Włochy), Karel Kreibich i Alois Neuraht (Czechosłowacja), J.T. Walton Newbold (Wielka Brytania), Walter Stoecker i Clara Zetkin (Niemcy).

Warto również podkreślić, że wśród działaczy kierowniczych Kominternu tego okresu większość stanowili intelektualiści. Byli to na ogół ludzie z wykształceniem wyższym, najczęście uniwersyteckim, niekiedy politechnicznym, zarówno ci, którzy formalnie nie ukończyli studiów, niekiedy dlatego że poświęcili się pracy rewolucyjnej, jak i tacy, którzy uzyskali stopień naukowy doktora.

Spotykamy wśród nich ludzi, którzy z racji wykształcenia byli ekonomistami (Bucharin), prawnikami (Lenin, Smeral, Terracini), filozofami i filologami (Meyer, Gramsci, Höglund), matematykami (Marković), inżynierami, dziennikarzami, nauczycielami i urzędnikami; znaleźli się wśród nich nawet byli pastory protestanccy (Jules Humbert-Droz), przedstawiciele partii szwajcarskiej. Wszyscy oni w zasadzie już wcześniej porzucili swą wyuczoną profesję, stając się zawodowymi rewolucjonistami.

Nie można zapominać i o drugiej grupie działaczy kominternowskich, ludzi o pochodzeniu proletariackim, którzy pracowali jako robotnicy lub w zawodach o podobnym statusie, zanim nie oddali się całkowicie działalności rewolucyjnej. Byli oni na ogół samoukami jak Thomas Bell, Heinrich Brandler, Fritz Heckert, Arthur Mac Manus, Edward Próchniak, Robert Stewart. Pełnili też niekiedy funkcje typowo „inteligentkie” jako publicyści i redaktorzy prasy partyjnej.

Oblicza największych władz Międzynarodówki Komunistycznej zmieniło się częściowo już od 1924 r., a dwa lata później nastąpiły w nich kolejne, istotne zmiany kadrowe. Decydujące znaczenie miały w tym procesie perturbacje zachodzące w kierownictwie partii rosyjskiej po śmierci Włodzimierza Lenina, a wywołujące niezłomnie repertuar polityczny i kadrowy w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Zwycięstwo Józefa Stalina, mającego za sobą większość partii bolszewickiej, nad trockistami i ich sojusznikami oraz kolejnymi kierunkami opozycyjnymi, pociągnęło za sobą również odsunięcie G. Zinowiewa, Lwa Trockiego i ich zwolenników ze stanowisk i działalności w III Międzynarodówce, a także zmianę jej polityki.

Z tej ziemi

Czy w Łodzi powinna być ulica Józefa Piłsudskiego?

Aby nie było wątpliwości, na postawione w tytule pytanie: Czy w Łodzi powinna być ulica Józefa Piłsudskiego? — odpowiadam pozytywnie. Tak, powinna być. I nigdy bym nie zabierał na ten, dla mnie oczywisty, temat głosu, gdyby nie list „Duszpasterstwa Piłsudczyków przy Kościele Ojców Jezuitów w Łodzi”, jaki otrzymałem „do wiadomości i ewentualnego wykorzystania”. Do listu tego dołączony jest wniosek obywatelski w sprawie przywrócenia ulicy Wschodniej przedwojennej nazwy Józefa Piłsudskiego. Otóż nie uważam, aby był to wniosek słuszny. Jestem więc zobowiązany wyjaśnić dlaczego tak uważam.

Autorzy wniosku obywatelskiego — pod którym zbierają podpisy — tak piszą:

„Każdy Polak, niezależnie od orientacji politycznej musi przyznać, iż Marszałek Józef Piłsudski był jednym z głównych twórców Polski Niepodległej”.

Nie przeczę, choć orientacja polityczna niewątpliwie różni mnie od członków Duszpasterstwa Piłsudczyków. Zastrzegam, aby nie było wątpliwości, że nie darzę Józefa Piłsudskiego bezkrytyczną miłością, daleki jestem od jego uwielbienia. Przeciwnie. Uważam, że Józef Piłsudski — jak każdy inny polityk — miał dobre okresy w swoim życiu politycznym i bardzo złe, co przynosiło Polsce szkodę. Trudno mi na przykład byłoby zgodzić się z jego polityką wobec lewicy — i nie tylko przecież — po zamachu majowym, a głównie w latach następnych, szczególnie w latach 1929—1930.

Mając na uwadze fakty polityczne z czasów Drugiej Rzeczypospolitej, a szczególnie z okresu jawnej i ukrytej dyktatury Józefa Piłsudskiego, nie mogę pojąć, jak może on patronować „demokratycznej opozycji”. Chyba tylko wbrew faktom i dzięki ich nieznajomości. Sądzę, że w przeszłości nie tak przecież dalekiej znalazłoby się więcej osób, które bardziej zasługiwałyby na miano patrona „demokratycznej opozycji”. Ale nie moja to sprawa. Dziwić mi się jednak wolno.

Dlaczego zatem jestem za nadaniem ulicy miana Józefa Piłsudskiego? Z bardzo prostej przyczyny. Po prostu już dość szkody narobiło odrywanie się od tradycji, przeszłości, zamazywanie jej, unikanie pewnych niezbyt miłych faktów z tej przeszłości. Myślę, że wśród polityków Drugiej Rzeczypospolitej znalazłoby się więcej ludzi, których pamięć można byłoby utrwalić nadając im imię łódzkiej ulicy. I bardzo dobrze dzieje się, że dziś powoli powracamy do tych spraw, przypominamy ludzi, ich dzieła, pisma, jak ma to miejsce choćby w Eugeniusz Kwiatkowski — twórcą Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, wicepremierem, twórcą naszej gospodarki morskiej przed i po drugiej wojnie światowej.

Budują się w Łodzi nowe osiedla i w jednym z nich powinna powstać ulica imienia Józefa Piłsudskiego. Natomiast uważam, że zdecydowanie należy zerwać z niedobrą praktyką zmieniania historycznych nazw łódzkim ulicom. Stało się bardzo niedobre, że historyczna — jedyna w swoim rodzaju — ulica Główna przestała istnieć. Dobrze natomiast, że nie uległaby modzie i nie zmieniono ulicy Obrońców Stalingradu na ulicę Obrońców Wołgogradu. W dziejach drugiej wojny światowej nie było bitwy pod Wołgogradem, ale była bitwa pod Stalingradem, po której Niemcy hitlerowskie ogłosiły załobę w całej podbitej Europie, co też do podbiła Europę wielce cieszyło.

Z ulicą Główną wiąże się pewna anegdota. Otóż, kiedy w czasach stalinizmu przyszło zażalenie, aby ulice główne nazywać imieniem Józefa Stalina, w Łodzi ktoś — świadomie, czy zbył rygorystycznie — potraktował to zażalenie dosłownie i imię Józefa Stalina nadano... ulicy Główniej. Tylko Niemcy dokonali zamachu na tradycyjną i historycznie związaną z dziejami miasta przy trakcie piórkowskim ulicę Piotrkowską. Zamienili ją na ulicę Adolfa Hitlera.

Ulica Wschodnia zapisała się na trwałe w dziejach Łodzi. Dom, w którym mieszkał Józef Piłsudski nosi upamiętniającą tablicę. Swego czasu zwracaliśmy na lamach „Odgłosów” uwagę, że w Łodzi mieszkała przy ulicy Przejazd 41 m 12 Maria Koszutska — znana też jako Wera Koszutska. Postać piękna i godna pamięci. Osoba, która miała odwagę sprzeciwić się Józefowi Stalinowi, czego jej nie zapomnieli i spotkali ją taki sam los, jak wielu innych polskich komunistów podczas stalinowskich czystek. Jakoś do tej pory nie dotarła do mnie wieść, aby ktoś podjął myśl rzucenia przez „Odgłosy” i aby na domu, w którym mieszkała i gdzie została aresztowana 14 marca 1904 roku o godzinie drugiej w nocy, znalazła się tablica fakt ten upamiętniająca.

Był taki czas, zaraz po wojnie, gdy trzeba było pozmieniać nazwy ulic, nadać im nowe nazwy i wtedy skorzystano z okazji i odeszło się od wielu nazw historycznych. Nie ma zatem Cegielnianej, Zawadzkiej, Szerokiej i wielu innych — ulic, które związane były z rozwojem Łodzi, burżuazyjnymi latami 1905—1907. Dziś wielu młodych, nie słyszało nawet o ulicy Milcha, Pasazu Mayera, Pasazu Schulca, Radwajskiej i tak dalej. Odechodzenie od historycznych nazw ulic zaczęło przed wojną. Dziś tylko historycy potrafią podać kolejne nazwy wielu łódzkich ulic w śródmieściu.

Dziś miasto znalazło się w takiej sytuacji, że powstają nowe osiedla — prawie miasta, gdzie można lokować nowe nazwy. Nie widzę w tym nic złego, że Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński, Janusz Kusociński i Salvador Allende mają ulice na Reftkin. Tak należałoby dalej postępować. Czas już zostawić historyczne nazwy ulic w spokoju. A może nawet w niektórych wypadkach przy nowej — już utrwalonej — nazwie podawać, jako przypomnienie i szacunek dla przeszłości, dawne nazwy. Na przykład na rogu ulicy Stefana Jaracza i ulicy Piotrkowskiej umieścić informację, że to jest była ulica Cegielniana. Wiąże się ona z historią teatru nie tylko w Łodzi.

Ulica Wschodnia też wiąże się z przeszłością Łodzi. Przez cały 1905 rok było tu niebawym niespokojnie. Coraz dochodziło do demonstracji, strzelaniny, padali trupy. Zabito nawet dziecko, bo bawilo się w demonstracji i nosił czerwony sznitar na pasku. Tu budowano barykady, podobnie jak i na Piotrkowskiej czy ulicy Południowej. Tu rozbijano w burzliwym 1905 sklepy z wódką. Wszystko to działo się przy ulicy Wschodniej. Tu też zamieszkał Józef Piłsudski i tu drukował „Robotnika”. Proponuję uszanować przeszłość i pozostawić ulicę Wschodnią niezmienioną. A dla ulicy Józefa Piłsudskiego — jeśli Rada Narodowa Miasta Łodzi podejmie taką decyzję — znaleźć inne miejsce.

Taki jest mój pogląd na tę sprawę. Przypominam, że nie zabralym w tej sprawie publicznie głosu, gdyż jest to dla mnie oczywiste, gdyby nie list, o którym wcześniej wspominałem. Sądzę, że wielu ludzi, którzy podpisali lub podpiszą wniosek obywatelski, bo podpisy pod nim zbiera się nadal, myślał podobnie. Uważają, że taka ulica powinna być. Gdzie, to już nie ich sprawa. Niech się martwią inni. Więc tym, którzy ewentualnie będą się martwili, podpowiadam — nie zmieniać historycznej nazwy ulicy Wschodniej. Chyba jasno wyraziłem się, dlaczego.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zanim Józef Stalin nie pokonał opozycji.

Oni kierowali III Międzynarodówką

PAWEŁ SAMUŚ

jak i Międzynarodówki Komunistycznej. Podstawowy warunek spełnienia przez ruch komunistyczny stojących przed nim zadań rewolucyjnych, czy nawet eszystencji Kominternu, to konieczność przetrwania belanem dyscypliny partyjnej i powołania silnego centrum kierowniczego, tak w każdej partii, jak i w skali międzynarodowej. W statucie akcentowano, że Międzynarodówka Komunistyczna winna stanowić „jednoolitą wszechświatową partię komunistyczną, której poszczególnymi sekcjami są partie działające w każdym kraju”. Miała zatem to być organizacja zbudowana na zasadach odmiennych od tej poprzedniczej — II Międzynarodówki, w której to dość luźnej strukturze organizacyjnej twórcy Kominternu upatrywali jedną z głównych przyczyn słabości i porażek tego zrzeszenia partii i organizacji socjalistycznych.

Statut Międzynarodówki Komunistycznej uważał za najwyższą jej instancję światowy kongres partii członkowskich, przy czym cztery pierwsze kongresy odbywały się corocznie, piaty w odstępie dwuletnim (1924), szósty cztery lata później i ostatni po siedmiu latach (1935). W okresie między kongresami organem kierowniczym był Komitet Wykonawczy (KW MK), którego rozszerzone posiedzenia plenarne zwoływano nie regularnie dla rozstrzygnięcia szczególnie ważnych kwestii. Skład tegoż komitetu, zwanego też Egzekutywą MK, miał być wybierany przez kongresy i przed nimi odpowiedzialny. Początkowo jednak poszczególnie partie, a ściślej delegacje obecne na kongresie po prostu dysponowały swoich przedstawicieli do tej instancji.

I tak na II Kongresie wyłoniono KW MK spośród przedstawicieli 20 partii, a na kolejnym rozszerzono skład liczącym 22 partiami, przy czym rosyjskiej przydzielono 5 mandatów oraz 2 dla ich zastępców. W ten sposób statut wyróżniał partię kraju, w którym znajdowała się siedziba Komitetu Wykonawczego. W owym czasie komunistów było przekonanie, że niebawem zostanie ona przeniesiona z Moskwy do Europy Zachodniej wraz z rozwojem ruchu rewolucyjnego. Natomiast natwiesze partie zachodnioeuropejskie otrzymały po 2 mandaty, zaś pozostałe, a wśród nich partia polska po jednym; dalszych 27 mniejszych organizacji otrzymało po jednym mandacie z prawem głosu doradczego. Kolejne zmiany nastąpiły na IV kongresie (1923), kiedy po raz pierwszy droga wyborów powołano przewodniczącego KW MK, 24 członków i 10 ich zastępców. W latach następnych skład liczny egzekutywy MK uległ powiększeniu.

Do obowiązków Komitetu Wykonawczego należało kierowanie całokształtem pracy Międzynarodówki Komunistycznej. Posiadał on statutowe uprawnienia kontrolne wobec partii członkowskich w zakresie dyscypliny organizacyjnej i do prawa wydalania z Kominternu całych organizacji naruszających uchwały kon-

rownictwa Kominternu. a wśród nich byli też działacze polscy, delegowani do wielu krajów kapitalistycznych, zarówno Europy, jak i Ameryki oraz Azji, odegrali poważną rolę w zakładaniu partii komunistycznych i rozwoju ruchu rewolucyjnego. Postawa tych emisariuszy, nierazko arbitralnych, nadużywających swych uprawnień, prowadziła niekiedy do zdradzień i tarć z kierownictwem niektórych partii komunistycznych, np. niemieckiej czy francuskiej.

Do kierowania sprawami bieżącymi w KW MK powołano najpierw Małe Biuro, początkowo pięcioposobowe, potem działające w składzie rozszerzonym. Na jego czele stał wybitny działacz partii bolszewickiej Grigorij Zinowjew, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej od 1926 r. Jednak przez okres pierwszych trzech lat jej istnienia całokształtem działalności w istocie kierował Włodzimierz Lenin, faktyczny przywódca III Międzynarodówki, jej honorowy przewodniczący (od VI 1923 r.).

Obok Małego Biura wyłoniono także sekretariat KW MK (1921), dokonując wyboru trzech sekretarzy, a potem sekretarza generalnego, a został nim fiński działacz Otto Kuusinen. Małe Biuro zostało następnie przemianowane na Prezydium KW MK, do którego wchodził przewodniczący oraz członkowie (9—12) powoływani przez głosowanie. Struktura Prezydium i zasady jego funkcjonowania ulegały z czasem przekształceniom, ale najogólniej rzecz biorąc realizowało ono zadania Egzekutywy MK w okresie pomiędzy jej posiedzeniami. Po zniszczeniu stanowiska przewodniczącego, co nastąpiło wraz z dymisją Grigorija Zinowiewa, utworzono w to miejsce organ zespolony — Sekretariat Polityczny KW MK.

Struktura kierowniczych instancji Międzynarodówki Komunistycznej, tak jak i całej tej organizacji, oraz zasady jej funkcjonowania opierały się na wzorach partii bolszewickiej. Od początku w kierownictwie Kominternu, wobec trudności kadrowych młodego ruchu komunistycznego dominowali działacze Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików). Stopniowo też zaczęła upowszechniać się tendencja do traktowania jej doświadczeń, rozwiązań i koncepcji w sferze politycznej i organizacyjnej jako obowiązujących wzorców dla całego międzynarodowego ruchu komunistycznego. Stanowiło to jakby naturalną konsekwencję zaistniałych okoliczności, a wynikających z decydującej roli partii rosyjskiej i autorytetu jej przywódców w tym ruchu.

Wszystko to nie mogło pozostać bez następstw dla taktyki III Międzynarodówki, stosunków wewnętrznych w jej łonie i kształtowania się meandrow jej historii. Uchwały III Kongresu MK w kwestii organizacyjnej nawet Włodzimierz Lenin krytycznie ocenił jako „zbyt rosyjską”, konie doświadczeń partii bolszewickiej nie uwzględniała specyfiki narodowej poszczególnych krajów i zróżnicowanych zadań ruchu robotniczego. Działacze niektórych zachodnioeuropejskich partii komunistycznych wysuwali zastrzeżenia wobec kierownictwa Kominternu co do

partii polskiej i niemieckiej.

Kim byli działacze kierowniczy instancji Międzynarodówki Komunistycznej, jakie były cechy dominujące w obrazie tej zbiorowości, czy na jej tle zarysowały się jakieś wybitne indywidualności? Spróbujmy nakreślić tu coś w rodzaju szkicu do portretu zbiorowego kierownictwa Kominternu z pierwszego pięciolecia jego istnienia.

Przed wszystkim zwraca się w oczach młodych ludzi tworzących kierownictwo III Międzynarodówki, i tak spośród kilkudziesięciu członków tej KW w tym okresie zdecydowana większość to ludzie urodzeni w latach 80. XIX w. lub nawet w następnym dziesięcioleciu. Liczna grupa stanowili ci, którzy mieli wiedzę nie więcej niż 36 lat, jak Nikołaj Bucharin (ur. 1888) z partii rosyjskiej, jego rówieśnik Edward Próchniak z polskiej, czy o rok starszy od nich John Reed z partii północnoamerykańskiej. Jednak czterdziestki nie przekroczyli również w momencie obejmowania kierowniczych funkcji działacze tej miary co Grigorij Zinowjew, Karol Radek, oraz Bela Kun z partii węgierskiej. Do generacji pięćdziesięcioletków należał William Andrews z południowoafrykańskiej partii komunistycznej, Włodzimierz Lenin i Wacław Worowski z rosyjskiej.

Uderzająco niewielki był udział kobiet w kierownictwie instancjach Międzynarodówki Komunistycznej. W skład tej Komitetu Wykonawczego wchodziły Angelica Balabanoff z partii włoskiej, Lucie Leclercq z francuskiej, Clara Zetkin z niemieckiej. Działali w nim przez krótki okres także Maria Koszutska, Suzanne Graillat z francuskiej i Ruth Fischer z niemieckiej, a w Sekretariacie Wydziału Kobiecego pracowały działaczki partii rosyjskiej — E. Kasparowa, Aleksandra Kolontaj i Elena Staowa.

Pomimo stosunkowo młodego wieku działaczy kominternowskich ich staż w ruchu robotniczym był już dość długi, a ponad połowa z nich miała za sobą co najmniej 15 lat działalności rewolucyjnej.

Niektórzy z nich byli przed I wojną światową delegatami na kongresy II Międzynarodówki, jak Clara Zetkin, która uczestniczyła we wszystkich, Wacław Kolarow brał udział w pracach dwóch, a ponadto w jednym Sen Katayma, Otto Kuusinen, Włodzimierz Lenin, Lew Kamieniew, Grigorij Zinowjew.

Różne były doświadczenia tych rewolucjonistów, wyrażających przecież w zróżnicowanych warunkach społecznych i prawnych, formowanych w kręgu odmiennych kultur politycznych, co nie mogło pozostać bez wpływu na ich sposób myślenia i styl działania. W okresie przed 1917 r. działacze z partii rosyjskiej, ale i z polskiej to konspiratorzy działający w szeregach organizacji robotniczych skazywanych na byt podziemny w państwie carskim. Tymczasem odmienny model działania prezentowali ich towarzysze wywodzący się z legalnych partii socjaldemokratycznych z krajów Europy Zachodniej.

Wielu z nich wiązało się z lewicowym i pacyfistycznym skrzydłem w swoich partiach przed i po wybuchu I wojny światowej. Niektórzy czynni byli wtedy w kierowanej przez Włodzimierza Lenina tzw. le-

Czy jesteśmy targowym miastem?

TERESA JERZYKOWSKA

Odbły się po raz drugi — i nie ostatni. To już wiemy na pewno, choć ciągle jeszcze nie można mieć całkowitej pewności, że Międzynarodowe Targi Odzieży, Tkanin, Dziewiarstwa i Wyrobów Skórzanych INTERFASHION zostaną w Łodzi na stałe, jak również, że wejdą na stałe — bez względu na miejsce ich organizowania, do międzynarodowego kalendarza imprez handlowych. Na rok przyszły jednak są już zaplanowane — i organizatorom pozostało dwadzieścia miesięcy, aby dobrze, jeszcze lepiej niż w tym roku, przygotować się do nich. A przy okazji — drobna uwaga do nazwy: obecna wydaje się nieco za długa, może wystarcząby INTERFASHION — Międzynarodowe Targi Przemysłu Lekkiego?

Przez 7 dni wokół hal sportowych przy alei Politechniki było gwarno i barwnie. Tu, obok 50 wystawców polskich w obu halach, na powierzchni 8,3 tys. m kwadratowych, prezentowało swoje wyroby 26 wystawców zagranicznych z 15 państw. Uzupełnieniem ekspozycji było 12 wystaw dodatkowych, w zakładach pracy, na których ofertę eksportową pokazało 234 producentów, w tym 170 zakładów spoza Łodzi. Ekspozycje dodatkowe zajmowały 6,5 tys. metrów kwadratowych a więc chętni do obejrzenia wszystkiego, co pokazano na łącznej powierzchni blisko 15 tys. m², musieli nachodzić się sporo i poświęcić na zwiedzanie cały dzień.

Amatorów tak długiego spaceru nie brakowało, zwłaszcza w wolną sobotę, kiedy to na terenach targowych — spotkać można było całe rodziny łodzian — a także grupy zwiedzających ze wszystkich stron kraju. Choć nieco zmęczeni — zwiędnięci wszyscy zapowiadali ponowną wizytę w roku przyszłym. Bo też i oglądać było co. Przemysł lekki — o bok samochodowy — jest producentem najbardziej efektywnym dla publiczności i najlepiej prezentującym się na wystawach towarów, których urokowi nie mogą oprzeć się nie tylko panie, ale w równym stopniu panowie. Opisujemy tego, co zaprezentowano mija się z celem, bowiem nie sposób w kilku zdaniach oddać bogactwa kolorów i wzorów tkanin, odzieży, butów, futer, galanterii, swetrów. Kto je obejrzał — zapamięta, kto nie widział — niech po prostu zaśnie i wybierze się za rok.

Na podkreślenie jednak zasługuje fakt, że również pozytywnie oceniono to, co przywieźli do Łodzi wystawcy zagraniczni, jak i nasza rodzima produkcja. Wyroby polskiego przemysłu lekkiego można bez zażenowania pokazać na całym świecie — zresztą dowodem na to jest zainteresowanie kupców zagranicznych i podpisane kontrakty.

Obok słów uznania przed polskimi stoiskami — również często słychać było jednak także głosy żalu lub oburzenia, że to, co oferujemy odbiorcom zagranicznym tak bardzo różni się od towarów, które ci sami producenci dostarczają na rynek krajowy. Były to, niestety, uwagi w pełni uzasadnione — we wszystkich branżach przemysłu lekkiego (poza, być może, wyrobami z lnu i częściowo, tkaninami) — towary na rynek krajowy wyglądają tak, jakby projektowali je inni plastycy, wytwarzali inni ludzie na innych maszynach. Nic więc dziwnego, że każdy artykuł, opatrzonej metką z napisem „nadwyżka eksportowa” błyskawicznie znika z półek.

Czy nie można podzielić produkcji tak, aby w naszych sklepach tych ładnych, takich jak na eksport towarów było więcej? Pytanie takie zadawała nie tylko publiczność, ale i dziennikarze na konferencjach prasowych i w czasie zwiedzania ekspozycji zakładowych. Odpowiedź na nie jest na razie negatywna, a sformułował ją jasno m.in. przedstawiciel Confeximu w czasie konferencji prasowej,

który stwierdził: „różnica w ofercie na kraj i na eksport istnieje będą tak długo, jak długo naszym problemem będzie „jak dzielić”, zamiast „jak wyprodukować tyle, żeby nie dzielić”...

Do tego, żeby nie dzielić, przed całym naszym społeczeństwem droga jeszcze bardzo daleka, a pomysły rozwój eksportu jest, o czym chyba wiedzą już wszyscy, jednym z warunków jej skrócenia. Nic więc dziwnego, że właśnie stałym i potencjalnym odbiorcom zagranicznym pokazujemy to, co mamy najlepszego.

INTERFASHION — Łódź niewątpliwie przyczynia się w sposób istotny do promocji polskich towarów przemysłu lekkiego, o czym świadczy m.in. fakt, że zarówno ubiegłoroczne jak i tegoroczne kontrakty tej branży przekroczyły znacznie poziom, jaki kiedykolwiek osiągnął przemysł lekki na wielobranżowych, Międzynarodowych Targach Poznańskich. Dobre wyniki można było zresztą przewidzieć — choćby dlatego, że jak wynika z różnych ankiet, przeprowadzanych zarówno w Polsce jak i przez biura organizacyjne targów w innych krajach, imprezy handlowe o charakterze branżowym cieszą się większym zainteresowaniem zarówno kupców jak i producentów i z reguły przynoszą większe efekty.

Drugim czynnikiem, wpływającym na dobry wynik targów jest ich lokalizacja — właśnie w Łodzi, a nie gdzie indziej. Przy czym znaczenie ma nie tylko fakt, że wyłączenie INTERFASHION jako odrębnej, filialnej imprezy z Międzynarodowych Targów Poznańskich umożliwiło pokazanie pełnej oferty przemysłu lekkiego na odpowiednio dużej powierzchni. Powierzchnię można by znaleźć także i w innym mieście — ale nigdzie, poza Łodzią, nie czekałoby na klientów w gotowości wszyscy specjaliści czterech największych spółek handlu zagranicznego, które, łącznie, realizują prawie 70 proc. eksportu do I obszaru i ponad 91 proc. — do II obszaru — płatniczego oraz prawie cały import dla przemysłu lekkiego. Nigdzie indziej nie można by zaprezentować zainteresowanym tak dokładnie możliwości technicznych i technologicznych branży dziewiarskiej, odzieżowej, i innych, jak właśnie w Łodzi.

Nie bez znaczenia są tu również tradycje Łodzi — nie bez powodu przecież nazwanej polskim Manchesterem na długo przed wojną. Przy czym określenie to nie powstało w Polsce — ale stworzyli je właśnie zagraniczni odbiorcy naszych wyrobów. Warto przy tym wiedzieć, że w okresie międzywojennym właśnie przemysł lekki, a co za tym idzie — także jego „stolica”, Łódź — był jedyną polską branżą eksportową. Echa tych tradycji przetrwały do dziś i zapewne także w jakimś, choćby niewielkim stopniu, zachęciły zagranicznych wystawców, a zwłaszcza kupców do przyjazdu na INTERFASHION.

Dotyczyć to może zwłaszcza targów ubiegłorocznych, na które wiele osób przyjechało po prostu z ciekawości, zobaczyć, co to takiego.

W roku bieżącym — co podkreślali zwłaszcza przedstawiciele spółek handlu zagranicznego — większość przyjechała już wiedząc, czego można się po łódzkich targach spodziewać, z konkretnymi zamiarami i propozycjami.

Dla przykładu — stoisko Textilimpexu w roku ubiegłym odwiedziło 150 partnerów z I i 138 z II obszaru, w roku bieżącym liczby te wyniosły odpowiednio 300 i 250 osób. Podobnie było w innych centralach. Niektóre z przeprowadzonych rozmów od razu zawołały kontraktami, wiele — będzie kontynuowanych przez następne miesiące, niemal wszyscy zapowiedzieli ponowny przyjazd za rok. We wszystkich rozmowach zdecydowanie pozytywnie oceniano były kolekcje dodatkowe w

zakładach pracy, które — można tak stwierdzić, mimo iż targi odbyły się dopiero po raz drugi — stały się łódzką specyfiką i nowością targową nie tylko w kraju.

Podobały się również pokazy mody — trwające non stop przez cały czas otwarcia targów — w specjalnie przygotowanej sali. Ich głównym organizatorem była łódzka Telimex, a prezentowały swoje kolekcje liczne polskie zakłady a także wystawcy zagraniczni.

O każdej porze sala była niemal pełna — do obejrzenia pokazów uprawniał publiczność ten sam bilet wstępu, a wśród widzów zawsze znajdowali się również licznie przybyli do Łodzi projektanci z zakładów przemysłu lekkiego z całej Polski a także zagraniczni handlowcy, zainteresowani zakupami.

I tu przy okazji parę słów krytycznych. Wśród prezentujących stroje modelek były dziewczyny takie, które ubrane w stary worek po macie także przekonałyby najbardziej wybrednych do jego zakupu, ale niektóre modele, choć także ładne i zgrabne, były wciąż jeszcze wyraźnie niedouczzone zawodowo, poruszające się z wdziękiem nakręconej lalki lub pełnego uroku, ale nie panującego jeszcze nad swymi kończynami młodego cielnika. Zarzu ten zresztą można by skierować nie tylko pod adresem organizatorów pokazów na INTERFASHION, ale i innych pokazów mody w kraju, nawet renomowanej firmy Moda Polska. Warto na pewno przed przyszłorocznymi targami zadbać o lepsze przygotowanie modelek, postarać się o dobrego fryzjera i kosmetyczkę, którzy pomogliby dziewczynom dostosować fryzurę i makijaż nie tylko do typu urody, ale i stylu pokazywanych strojów (a już koniecznie — nie dopuścić do tego, co zdarzało się w tym roku, żeby na wybiegu pokazywała się modelka z głową mytą trzy dni wcześniej). Przydałby się również ktoś komentujący pokazy — na większość z nich bowiem komentarz zastępowały wyświetlane plansze z nazwą zakładu, co wydawało się niewystarczające, jeśli pokaz ma być nie tylko informacją, ale widowiskiem (a przecież chyba tak ma być?), warto bardziej zająć się o szczegóły, aby uniknąć drobnych i śmiesznych błędów, takich np. jak wypuszczenie na wybieg modelki w sukni ślubnej, której towarzyszy partner w smokingu, gdy tymczasem nigdzie w Europie ani Stanach Zjednoczonych smoking nie jest przyjętym strojem pana młodego.

Skoro już, poprzez pokazy mody, doszliśmy do strony organizacyjnej targów — myślę, że naszym, niedoświadczonym przecież organizatorom, należało się słowa uznania. Błędy, popełnione w roku ubiegłym (a przecież nie było ich wiele) w tym roku nie zostały powtórzone. Dzięki ustawionym planom łatwiej było zwiedzać hale i trafiać do wszystkich stoisk, dobrze funkcjonowała mała gastronomia na terenach targowych, znakomitym pomysłem było ubranie pań i panów z obsługi w jednokolorowe, kolorowe kombinizony z napisem Przyzmat (nazwa firmy). Funkcjonował w kioskach wokół hal handel uspołeczniony, nie było jednak, rażących w roku ubiegłym, kolejek, w których ludzie klócili się kto przed kim stał. Wpłynęła na to zapewne i sytuacja w sklepach. Czekolada, po którą rok temu ustawiali się tłumy jest obecnie w każdym sklepie, podobnie wiele innych towarów, którymi handlowano w kioskach. Wśród nich, w sieci ruchu, znalazło się wiele atrakcyjnych książek, ale przebojem handlowym tegorocznych targów były... kapelusze. Zwykle, słomkowe, takie, jak niegdyś sprzedawano na odpustach. Były w stoisku Cepelli i cieszyły się ogromnym powodzeniem, tak, że niemal co trzeci awiedzający, bez względu na wiek i płeć paradował po halach w słomkowym nakryciu głowy.

Chwalili wszyscy pomysł uruchomienia specjalnych linii autobusowych, łączących tereny targowe z kolekcjami zakładowymi, czystość i porządek, utrzymanie, mimo masy ludzi, przez cały czas trwania imprezy nie tylko „od frontu”, ale i we wszystkich zakamarkach. Pozytywnie oceniana była kultura obsługi gości i publiczności, życzliwość, z jaką można było spotkać się na każdym kroku.

Czy to jednak znaczy, że Łódź już stała się miastem targowym? Aby w pełni zasłużyć na tę nazwę, trzeba jeszcze sporo zrobić. Jest to zresztą zadanie nie tylko dla komitetu organizacyjnego, ale dla wszystkich — i do realizacji w ciągu co najmniej kilku lat.

Na razie bowiem wokół terenów targowych widać, że coś się dzieje — w mieście natomiast jeszcze zbyt mało. Co prawda wystawy sklepów dawno nie były tak ładnie udekorowane, jak tym razem, plakaty, chorągiewki z herbem Łodzi i ze znakiem targowym także wprowadzają element nastroju odświeżonego, jednak jest to jeszcze zbyt mało.

Przed sklepem firmowym ZTK Teofilów na ul. Piotrkowskiej odbywały się pokazy mody — tym atrakcyjniejsze, że wiele z prezentowanych strojów było jednocześnie w sprzedaży. Może jednak za rok warto dołożyć starań, aby targi bardziej jeszcze „wyszły do miasta”? Mogą to być jakieś minikiermasze, gabloty z wyrobami łódzkich producentów-eksporterów, właśnie pokazy przed sklepami itp. Z pewnością wśród członków komitetu organizacyjnego, którzy już dali sobie radę z poważniejszymi problemami, znajdą się osoby, które będą i tym razem miały dobre pomysły, co zrobić, aby INTERFASHION był rodzajem święta dla wszystkich mieszkańców Łodzi i abyśmy się wszyscy poczuli gospodarzami.

I na koniec sprawa, która budziła duże zainteresowanie dziennikarzy i z pewnością interesuje mieszkańców miasta, a która, nie wiadomo czemu, traktowana była jako sprawa wstydlawa: mianowicie pieniądze. Ile kosztuje organizacja targów, jakie przynosi zyski, jak te zyski są dzielone między Łódź a Poznań?

Na te pytania nikt nie udzielił rzeczowej odpowiedzi. Wiceprezydent Łodzi na konferencji prasowej podkreślał, że nie ma specjalnych nakładów z budżetu miasta na organizację targów, a wszelkie remonty ulic, domów, sklepów, które zostały przed targami wykonane i tak były w planie i, bez względu na tę imprezę, zostałyby zrobione. Mówił również o korzyściach — zarówno niewymiernych, podnoszących prestiż Łodzi jako miasta, jak i pośrednich korzyściach finansowych — podatki od zwiększonych w tym okresie obrotów hoteli, gastronomii, handlu zasilą przecież miejską kasę.

Pomocnik ministra do spraw targów podawał koszt metra kwadratowego powierzchni targowej, jaki ponosili wystawcy, można było również dowiedzieć się, kto i ile płaci modelkom i hostessom. W rezultacie jednak — były to informacje fragmentaryczne, nie, dające obrazu całości. Tymczasem, aby uniknąć rodzących się już plotek, należałoby przedstawić konkretne rozliczenie — kto do targów i ile dopłaca — a kto na tym korzysta. Mijmy nadzieję, że za rok także i w tej dziedzinie będziemy dokładnie poinformowani.



Foto: Grzegorz Galasiński

— Prezentuje pan stanowisko rządu, w tym duchu wygłasza pan różne oświadczenia. Czasem jednakowoż samiar lub decyzja rządu nie znajduje uznania społecznego, a ludzka niechęć zostaje skierowana przeciwko temu, co owe oświadczenie wygłosił. Jak się pan w takich przypadkach czuje?

— Istotnie, u nas kultura polityczna nie osiągnęła jeszcze takich szczytów, aby było całkowicie zrozumiałe, że to, co mówię na sali w czasie konferencji prasowych, tego nie mówię w swoim imieniu, i że w gruncie rzeczy wszystko jedno, który przedstawiciel władzy pewne rzeczy wypowiada, a ja zwyczajnie jestem urzędnikiem wyspecjalizowanym w przekazywaniu stanowiska władz. Personifikacja bywa u nas zbyt daleko idąca.

— Mimo to wszystko i tak skupia się na panu.

— Jestem do roli, jak to określają, pironochronu przyzwyczajony, tak jak przyzwyczajony jest aktor do tego, że chociaż film nie jest jego dziełem, bo w istocie rzeczy jest tworem reżysera, to w pamięci widzów utożsamia się on z twarzą pokazywaną na ekranie. Jedynym słowem: ja jestem wirtualną władzą. Taka rola powoduje pewne koszty własne związane z tym, że odruchy niechęci skupiają się na mnie. Z tymi odruchami niechęci nie jest zresztą tak strasznie, one maleją. Wiem to zarówno z badań socjologicznych, jak i z mojego wyczucia, z mojej obserwacji. Nie dlatego, żeby rosło zaufanie i aproba dla polityki rządu, bo jest przeciwnie, ale dlatego, że ludzie przyzwyczaili się do roli rzecznika rządu, ona przestała być czymś zaskakującym i już nie budzi takich emocji.

— Na konferencjach wtorkowych jedni słuchają pana z zainteresowaniem, inni z irytacją. To rzecz naturalna. Natomiast czasami padają pytania pod pańskim adresem, na które jedyną odpowiedzią byłby cięty dowcip, błyskotliwa riposta. Niestety, tego nie ma. Jerzy Urban jakby stracił ostrość dawnych swoich sformułowań, stał się łagodny i uładowy.

— Przede wszystkim nie czyniłbym przeciwstawienia pomiędzy irytacją a zainteresowaniem, bo jeżeli wypowiedź zirytowała, to znaczy, że budzi zainteresowanie. Gdy nie budzi zainteresowania, to by nie irytowała. A więc raczej podzieliłbym wypowiedzi na te, które irytują, i na te, które są aprobowane. Dopiero te, które są do zaaprobowania, można podzielić na takie, które nie budzą zainteresowania, i takie, które je budzą.

— Po drugie: przyjmuję krytykę. Nawet nie wiedziałem, że zatraciłem ostrość i dowcip. To niedobre, jeśli tak jest. Ale być może wynika to nie z tego, że tak odepierałem, tylko z tego, że czasy się zmieniają. Wpływ te konferencje miały charakter ostrych kłótni politycznych i same pytania też były o wiele ostrzejsze niż dzisiaj. W końcu ja nie jestem gladiatorem władzy, który ma wojować, ani też blaznem, który ma zabawić publiczność. Ja mam przekazywać stanowisko władzy i forma tego przekazywania musi być podporządkowana treści. Jeśli zmierzamy do współpracy z różnymi krajami, jeśli nasze stosunki z nimi się poprawiają, jeśli prasa zachodnia — przynajmniej po części — staje się bardziej obiektywna, to także mniej jest miejsca na ironię, na cięte riposty, a więcej na poważny dialog. Wydaje mi się, że to dobrze.

— Powiedział pan kiedyś, że gra pan teraz w drużynę, która panu odpowiada w sensie politycznym. Fakt ten jednakże ogranicza pana jako felietonistę, który nie tak dawno jeszcze atakował zarówno tych z lewa, jak i tych z prawa. Teraz nie może pan kolegi ze swojej drużyny wyśmiać na łamach „Polityki” czy „Szpilek”, choćby ten kolega popełniał błędy. Kiedyś gazetę zaczynało się czytać od felietonu Jerzego Urbana czy Jana Rema. Dziś ten ostatni przestał się pojawiać, a Jerzego Urbana oglądamy najczęściej w każdy wtorek po projekcji filmu fabularnego.

— Jan Rem rzadziej się pojawia po prostu dlatego, że został po części upaństwowiony. Jan Rem jest to pseudonim, który powstał po to, żeby odróżnić to, co mówię w imieniu władz, od tego, co mówię w imieniu prywatnym. Jednakże okazało się, że potrzebne było wyrażenie poprzez Polską Agencję Prasową stanowiska półoficjalnego, zbitego z poglądami władz, częstokroć przez te władze zautoryzowanego, ale jednak stanowiska mniej zobowiązującego i oficjalnego niż wypowiedź rzecznika rządu. Stąd Jan Rem stał się jakby drugim wcieleniem rzecznika rządu. To drugie wcielenie rzadko jest potrzebne.

— Napisanie czegoś przez Jana Rema wymaga — po pierwsze — takiej potrzeby, by wyrazić półoficjalne stanowisko, po drugie — dosyć jednak skomplikowanych prac, innych niż przy pisaniu artykułu dziennikarskiego wyrażającego pośpiesznie sporządzoną opinię prywatną. Potrzeba pojawiania się Jana Rema jest rzadka, bo po prostu większość rzeczy, które mam do powiedzenia w imieniu władz, mówię jako rzecznik rządu.

— Ale ja co tydzień w „Szpilekach” piszę felieton jako Klakson i prawdą jest, że moja swoboda w pisaniu tych felietonów jest ograniczona tym, że gram w drużynę i nie mogę np. podziwiać z jej członków. Stąd pewna jednostronność mojej kaskady, czy też stopienie tej kaskady. Ale przecież każda posada, każda rola zawodowa zakłada jakieś ograniczenie. Jak się jest rzecznikiem rządu, to nie można być swobodnie hasającym felietonistą. Najtrafniejsza tu może być analogia taka: jeżeli ktoś decyduje się na rolę adwokata, to nie może wygłaszać opinii prokuratora, choćby miał na to ochotę w stosunku do swego klienta, co u adwokatów musi być częstym pragnieniem.

— W jednym z wywiadów powiedział pan, że swą funkcję traktuje jako przygodę życiową. Ale w tym samym wywiadzie stwierdził pan, że polityka zawsze była pańską pasją. A więc: przygoda czy świadomy wybór?

— Uważam, że większość przygód życiowych ludzie sami sobie wybierają. Przynajmniej w normalnych czasach niewiele jest przygód...

— Miałem na myśli przygodę typu intelektualnego.

— Taka przygoda też jest świadomym wyborem. Zresztą moje życie układało się tak szczęśliwie, że prawie każda z moich posad była jakiegoś rodzaju ciekawą przygodą. Tak więc jest to z mojej strony świadome wybranie przygody — m.in. wśród innych motywów dlatego, że polityka zawsze była moją pasją. Wobec tego możliwość maleńczenia się bliżej kuchni politycznej była dla mnie ogromnie atrakcyjna. Całe życie byłem dziennikarzem politycznym, zajmowałem się polityką zawodowo i koncentrowałem na niej zainteresowania prywatne, ale nigdy nie miałem możliwości zbliżyć się do tych instytucji i osób, które politykę tworzą. To, że dziś mogę być blisko kuchni politycznej, jest więc dla mnie bardzo ciekawe, satysfakcjonujące i zgodne z upodobaniami.

— Ten, kto jest blisko kuchni ma też wpływ na potrawy, które w tej kuchni są przyrządzane.

— Wie pan, w kuchni są różne role, jeśli jest to duża kuchnia. Są kuchmistrze, kucharki, pomoce kuchenne i pomywaczki.

— To nie odpowiedź, to unik.

— Jest to pytanie o moją rolę. Ja nie jestem politykiem i nie jestem człowiekiem, który podejmuje decyzje. Robienie polityki to podejmowanie decyzji. Ja jestem bliskim, nazwijmy to tak, pomocnikiem polityków. Pomocnik kuchacza, nie przeczę, ma wpływ na dania w kuchni. Może potrawę przypalić, przesolić, nie dosolić itp. Więc nie wypieram się wpływu, tylko moja rola jest rolą pomocniczą, aczkolwiek jak na rzecznika jest rolą raczej znaczną. Nie jestem, tak jak większość rzeczników prasowych na świecie, tylko człowiekiem, który odczytuje prasie przygotowane przez inne instytucje władzy decyzje, informacje, interpretacje, poglądy, lecz jestem organizatorem procesu wypracowania stanowiska władz w wielu sprawach. Trzeba to rozumieć: nie jestem osobą, która określa stanowisko władz, natomiast bywam organizatorem procesu jego wypracowania, a także niekiedy osobą, która proponuje jakieś zajęcia stanowisko, a zwykle ubiera je w odpowiednie sformułowania.

— A czy jest ktoś, na kim się pan wzoruje? Może Giennadij Gierasimow?

— Nie mam żadnej wiedzy o rzecznikach i ich funkcjonowaniu. Nie miałem też możliwości obserwowania ich przy pracy. Giennadij Gierasimow widziałem przy pracy tylko w Warszawie na konferencji, która nie była dlań typową. Powtarzam: nie mam skali porównawczej, nie jeździłem po świecie oglądać jak pracują inni rzecznicy. Dlatego trudno mi powiedzieć,

aby się na kims wzorował. Poza tym jestem trochę nieprzyjemny dla Giennadija Gierasimowa, który obraca się w zakresie wielkich spraw światowych, jest fachowcem w dość skomplikowanej dziedzinie polityki międzynarodowej i rozbrojenia, jednocześnie odpowiada na pytania o wiele węższym zakresie tematycznym niż ja.

— Ja zaś reprezentuję polską politykę w znacznej przewadze wewnętrznej, i to w wymiarze bardzo drobiazgowym. Mój model funkcjonowania to gotowość do odpowiadania na każde pytanie, niezależnie od tego, czy ono powinno być kierowane do przedstawiciela rządu czy na o wiele skromniejsze szczeble. Czy nie tak z różnych względów. M.in. dlatego, że mnie łatwiej jest odpowiadać niż rzecznikom niższego szczebla, którzy mają nad sobą rozległą hierarchię służbową, drabinę szefów, z którymi muszą uzgadniać swoje słowa.

— Jaka była największa ilość pytań podczas konferencji prasowej?

— Nie pamiętam, raz jest ich mniej, raz więcej. Myślę, że rekordowa liczba pytań podczas jakiejś jednej konferencji mogła dochodzić do 50, ponieważ 20–30 jest liczbą przeciętną.

— Jakże zadano panu najtrudniejsze pytania?

— Najtrudniejsze pytanie padło w momencie, kiedy Układ Warszawski instalował rakiet SS-20 w NRD i Czechosłowacji w odpowiedzi na instalowanie nowej generacji rakiet średniego zasięgu w Europie Zachodniej przez pakt NATO. Zapytano mnie wówczas, jaki byłby stosunek władz polskich do ewentualnej propozycji Układu Warszawskiego, aby rakiety SS-20 zainstalować także w Polsce. Ponieważ takiej propozycji ze strony Układu Warszawskiego nie było, a więc i realnie biorąc władze polityczne kraju nie obradowały nad taką hipotetyczną możliwością. Nie spodziewałem się takiego pytania. Dlatego też musiałem — kiedy padło — na własną rękę zaimprovizować nasze stanowisko. Uznałem, że odpowiedź wtedy — tak jak to teraz szczerze mówię — że żadnego, bowiem wypracowanego stanowiska — wobec tak hipotetycznej możliwości — nie mamy, byłoby źle przyjęte przez polską opinię publiczną. Mogłaby się zdziwić, że w tak bardzo kluczowej dla narodu sprawie władze nie mają żadnego poglądu. Wobec tego musiałem zaimprovizować stanowisko władz polskich w tej sprawie i to w taki sposób, aby nie

czasem ludzie nieaktowni i w różny inny sposób wprawiają mnie w zakłopotanie. Jednym słowem nie poruszam się jako osoba anonimowa. Człowiek do popularności się przyzwyczaja i traktuje ją jako coś normalnego. Podobnie człowiek, który nie ma nogi też się do tego przyzwyczaja. Zdałem sobie sprawę z tego przyzwyczajenia w czasie jednego czy drugiego wyjazdu za granicę. Otóż idę ulicą w tym czy innym mieście na świecie i patrzę po ludziach: coś w nich jest dziwnego, ano to, że nikt na mnie nie zwraca uwagi! To nie jest przykre, ale dla mnie osobliwe, niecodzienne, podniecające.

— Panie ministrze, porozmawiajmy teraz o Jerzym Urbanie jako osobie prywatnej. Proszę powiedzieć, czym się pasjonuje pan oprócz polityki?

— Niczym się nie pasjonuję, bo nie jestem z natury rzeczy pasjonatem. Zainteresowania mam szerokie, lecz nie głębokie. To znaczy: interesuję się wszystkim, co ciekawe, poza, na przykład, sportem i naukami ścisłymi i przyrodniczymi.

— Nie kibicuje pan żadnej drużynie piłkarskiej?

— W ogóle nie rozumiem zjawiska sportu i odczuwam szaloną niechęć do wszystkiego, co się z nim wiąże.

— Jak wygląda zatem pański dzień?

— Wstaję czasem nawet o 5 rano, ale na ogół między 6 a 7 rano. Potem idę do pracy. Każdy dzień w tygodniu u mnie jest nieco inny i to jest zaleta mojej pracy, że dni nie są tak monotonne jak u większości pracowników. Jednego dnia spędzam czas na posiedzeniu rządu, innego dnia prowadzę konferencję prasową i mam cały dzień zajęty związanymi z tym zajęciami, innego dnia jeszcze przyjmuję dziennikarzy na rozmowach w cztery oczy, biorę udział w posiedzeniach różnych zespołów, wyjeżdżam, odbywam publiczne spotkania — słowem jest to życie urozmaicone. Dwie rzeczy obciążają mi budżet czasu najbardziej: jedna — to obowiązki czytania codziennie ogromnej ilości stron maszynopisu i druków, gdyż jeśli cokolwiek przepuszczę, to już czegoś nie wiem. Muszę chłonić ogromne ilości informacji z bardzo różnych źródeł. Trwa to codziennie kilka godzin. Druga rzecz, która pożera czas, to są zebrania, które są schorzeniem naszego aparatu władzy.

— Musi pan uczestniczyć we wszystkich zebraniach?

— We wszystkich nawet Bóg wszechmogący i wszechobecny

Nie jestem gladiatorem władzy



Foto: Grzegorz Galasiński

było czymś rażącym dla polskiej opinii publicznej, aby nie było rażącym dla naszych sojuszników i aby nie dało możliwości jakiegos złośliwego komentowania tego przez Zachód. A więc w ciągu kilku sekund trzeba było przeprowadzić skomplikowane rozumowanie, wyobrazić sobie różne punkty widzenia, różne plany szczytny odbierania tego, co powiem i skonstruować formułkę polityczną, która potem byłaby sprobowana przez polskie kierownictwo polityczne jako trafna.

— Najdotkliwsze pańskie potknięcie? Czy to, że rząd sam się wyżywił?

— Miałem ich wiele. Najistotniejsze potknięcie jest takie, które w sensie społecznym ma największy wymiar. Cóż z tego, że ja pomylił księżyc ze słońcem lub kilogramy z godzinami, to nie zrobi żadnego wrażenia, gdyż jest zwykłą omyłką. Ale to, o którym pan wspominał, jest bardzo ciekawe potknięcie, ponieważ ja go wcale nie uważam za błąd polityczny. Powiedziałem, że rząd sam się wyżywił replikując prezydentowi Stanów Zjednoczonych, który mówił, że restrykcje dotkną tylko polskie władze, natomiast nie dotkną społeczeństwa, co było poglądem absurdalnym w sytuacji, kiedy likwidowano eksport psaz do Polski. Chciałem powiedzieć, że nie ma u nas problemów wyżywienia na skalę 30 osób, tylko na skalę 30 milionów! Jednak to sformułowanie, którego użyłem, uraziło większość społeczeństwa jako aroganckie, jakby oddzielające los władz od losu narodu. Z tego wynika dla mnie dość istotna nauka: siedząc za stołem na konferencjach prasowych nie należy uważać, że się siedzi w gabinecie dyplomatycznym i prowadzi kameralną grę polityczną, lecz trzeba mieć szerszą wyobraźnię, znać sposób reagowania społecznego, wyzwać u uwrażliwienia i nie robić błędów psychologicznych. To nie był błąd polityczny, to był błąd psychologiczny.

— Panie ministrze, czy czuje się pan człowiekiem sukcesu?

— Nie mogę czuć się człowiekiem sukcesu. Uważam, że rezultaty naszej polityki nawet w płaszczyźnie ekonomicznej — chociaż bardzo małe, skromne, są lepsze niż społeczne mniemanie o nich. Społeczeństwo jest nadzwyczaj krytyczne wobec działalności władz i krytycyzm ten narasta, nastroje są złe i pogarszają się. Wobec tego ja, jako osoba odpowiedzialna za publiczne prezentowanie tej polityki, przekonywanie do niej, nie mogę mieć poczucia, że moja praca jest uwieńczona sukcesem. Miernikiem jakości pracy człowieka muszą być efekty, i tylko efekty, a nie oceny tego jak pracuje. Nie mogę niestety czuć się człowiekiem sukcesu.

— Natomiast posiada pan wielką popularność: zarówno tę w znaczeniu pejoratywnym, jak i tę w znaczeniu pozytywnym. Proszę powiedzieć, czy popularność to szkodliwa czy korzystna?

— Nie potrafię odpowiedzieć panu na to pytanie, ponieważ nie odczuwam potrzeby skrydeł, ani też nie mam skłonności do szczerzego uginania się pod brzemieniem. Do popularności rozumiem jako to, że człowiek jest znany, przywykła się. Aktorzy, którzy na nią narzekają, są na ogół nieszczerzy. Mówią, jak to ich życie jest skomplikowane, bo gdziekolwiek wyjdą, to zwracają na siebie uwagę. Potem jednak kiedy się starzeją, rzadziej grają, mają gorsze role i przestają na siebie zwracać uwagę, są wręcz psychicznie chorzy z tego powodu, że wbrew swoim przyzwyczajeniom stali się ludźmi anonimowymi. Popularność to oczywiście przyjemność i z tego ma się określony pożytek. Niepotrzebne mi są żadne domniemane promienienie przywileje. Są różne więc przyjemności i pożytki wynikające z popularności, ale są też koszty, choć w moim rozumieniu niewielkie, ot takie, że na przykład w kawiarni przysiadają się jakiś namolny człowiek i zechce prezentować swoją sprawę. Zresztą

nie potrafiłby uczestniczyć. Muszę siedzieć na wielu zebraniach, choć nie przychodzę na wiele takich gdzie koniecznie powinienem być. Jak długo trwa mój dzień pracy nie potrafię powiedzieć, a to dlatego, że trudno tu przyjąć szereg pojęcia do domu. Jeśli wracam do domu, to też czytam, co ze sobą przyniosłem, m.in. czytam gazety, oglądam telewizję i nie potrafię powiedzieć, czy to jeszcze praca, czy już przyjemność. Te granice są zarte. Ale staram się nie przepracowywać i nie czuję się człowiekiem przepracowanym.

— Powiedział pan kiedyś, że jest pan urzędnikiem państwowym, a urzędnik państwowy, jeśli pracuje w godzinach ponadliczbowych, to otrzymuje za to ekwiwalent od pracodawcy. Jak to jest u pana?

— Nie dotyczy to wyższych urzędników państwowych, którzy mają nielimitowany czas pracy.

— Co przeszkadza panu w pracy?

— Wiele jest rzeczy, które przeszkadzają. Np. załatwianie spraw niekoniecznych, nie wchodzących w zakres moich obowiązków. Najogólniej mogę powiedzieć tak: w pracy przeszkadza to, że zażył wiele trudu pochłania zmaganie się w kręgu władzy, aby powstało coś, co można przedstawić na zewnątrz, różne czynności wynikające z przyjętego ceremoniału i reguł grzeczności. Więcej wysiłku wymaga doprowadzenie wewnątrz władz do możliwości publicznego działania niż samo działanie.

— Powiedział pan, że nie ma żadnych pasji. A kobiety?

— Nie jestem „kobieciarzem-hobbistą”. Lubię niektóre kobiety, te niosące przyjemność, jak zresztą lubię wszystko, co w życiu uważam za przyjemność.

— Pański stosunek do tak zwanych męskich napojów?

— Wódke bardzo lubię. Każdą, która nie jest słodka. Nie lubię też słodkich kobiet, ale to nie znaczy, że lubię wszystkie kobiety, które nie są słodkie.

— A czym pan jeździ? Zajmując tak wysokie stanowisko jest to zapewne Toyota lub Cadillac?

— Prywatnie mam małego fiata, ale jeździ nim przeważnie moja żona. Ja jeżdżę samochodem służbowym.

— Pomówmy o pańskim mieszkaniu, jakie ono jest? Willa, pałac czy spółdzielcze M-27?

— M-27, tak obszerne mieszkanie zdaje się nie istnieć i tak liczne rodziny także. Mam mieszkanie w bloku, dość obszerne, bo na trzy osoby, trzy pokoje z kuchnią, dwa duże, jeden mały.

— Jako publicysta zawsze stara się pan wysunąć na czoło, być w pierwszym szeregu. Jak to wygląda w domu? Kto wie, gdzie prym?

— Nie wiem, czy starałem się zawsze wysunąć na czoło. Nigdy nie uprawiałem zawodu w poczuciu rywalizacji z kolegami. A w domu z pozoru żona jest osobą dominującą. Ja mam skłonności do podporządkowywania się we wszystkich sprawach codziennych i drobnych. Jednakże myślę, że w kierunkowych, modelowych, życiowych kwestiach w sposób dosyć subtelny udaje mi się przeformować swój model i wolę.

— Ostatnie pytanie: o czym marzy Jerzy Urban?

— Wie pan, ja najślisiej odczuwam starość poprzez to właśnie, że kiedyś uprawiałem marzenia, a teraz zatraciłem tę zdolność. Marzeń nie prowadzę.

— Dziękuję panu ministrowi za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Wywiad został przeprowadzony 1 czerwca 1988 roku.

Papież barwy pawilonu kłują w oczy z daleka; przylutony do ośrodków działkowych byłby praktycznie niewidoczny gdyby nie pstry, różnokolorowe pasy i plamy. Gdzieś między się ulica Judyma — wie niewiele, ale wszyscy z okolicznych osiedli doskonale orientują się, w którym to kolorowym domku można dostać za makulaturę wymarzony papier toaletowy! To owe niepozorne rolki, zwykle przypominające papier ścierny — przyciągają ludzi niczym magnes. Przedsiębiorstwo surowców wtórnych, jeśli nie posiada w swej ofercie owych zwiozków może od razu ogłaszać bankructwo.

— To prawda! Nikt nie przyniesie ani kilograma starych gazet, jeśli nie mam tego rarytasu — śmieje się JAN SADOWSKI, pracownik kaligrafujący na kawalku tektury, iż „Dziś od godziny, będzie w sprzedaży...”.

— Pamiętam pana sprzed lat wielu, gdy zaprezentowano mi Jana Sadowskiego jako specjalistę od trudnych rozmów i kontraktów eksportowych. Maczał pan palce w wielu udanych operacjach sprzedaży naszej makulatury Finom, Jugosławiom, Niemcom. I raptem... Niezależny, samorządny agent skupujący makulaturę i smatki. Skąd ten pomysł?

— Dopieki! mi zbyt mocno coraz bardziej rozbudowujący się biurokratyczny system, te dziesiątki decyzji, zakazów, poleceń i to balwochwalcze wyczekiwanie na nie. A tu jestem sam i oprócz sztywnych, niejako narzuconych mi cen — wszystko zależy ode mnie. Ja, Sadowski — zbieżność nazwisk zupełnie przypadkowa — drugi etap reformy wprowadziłem już pięć, sześć lat temu. I u mnie się on sprawdza!!!

— A cóż ów mityczny już „drugi etap” oznacza w praktyce tu, u pana, w tym punkcie skupu?

— Cóż oznacza? Ano, między innymi umiejętność przyciągnięcia tu ludzi z towarami, sprawne organizowanie transportu, ograniczenie kosztów własnych, czyli praca tylko moja i żony na kilku w sumie etatach, od zaopatrzniowca do sprzątaczkę, często po dwanaście i więcej godzin dziennie.

— Za chwilę się pewnie dowiem, że za przysłówce groźne.

— Ależ dlaczego „groźne”? Ja nie mam nic do ukrycia. W kwietniu, a był to miesiąc gorący nawet niż przeciętny, zarobiłem 45 tysięcy złotych. Jeśli to dużo, jeśli mi ktoś zazdrości — to zapraszam do wzięcia w agencję punktu skupu surowców. Na pewno się taki znajdzie. I zamiast biadolić, utyskiwać, zaglądać innym w kieszeń — niech sam pokaże co potrafi.

Ten piękny monolog przerywa ciche stukanie w szybę. Do dziesiątej jeszcze sporo czasu, ale widać niecierpliwą się jakiś spragniony papieru toaletowego klient. Stuka znów, bardziej energicznie. Nos rozplaszczony na szybie, wyraźnie niecierpliwie chytąc oczka, wypatrują w mrocznym wnętrzu lokalu Jana Sadowskiego. Ten wreszcie uchyła nieco waziatka firankę.

— W porządku, Marian, jestem i papier też, przyjdź za pół godziny. — I do mnie: — To codziennie mój dostawca, stały klient, zawsze przywozi kilkadziesiąt kilogramów. A papierowym skarbem uczucie obdźla całą rodzinę.

— Wspomniał pan, że kwiecień nie był zbyt obfity w surowce „plony”. Dlaczego i co to oznacza ilościowo, bo wiem, że pańskie notowania to ściśła krajowa eolówka?

— Tej „eolówki” nie muszą się wstydzić? Przeciętnie „wyciskam” tu miesięcznie 50—55 ton makulatury. Nie licząc innych surowców. To chyba sporo, wzięwszy pod uwagę, że mój tu poprzednik kupował w miesiącu tych ton... siedem. Choć były to inne czasy, gdy ludziska kupowali gazety nareczkami i nikt się przed kioskiem nie zastanawiał ze „świerczewskim” w garści, który tygodnik wybrać.

— Ma pan zapewne wiele ciekawych spostrzeżeń, dotyczących tak dostawców, jak i ich upodobań czytelników.

— Pierwsza, zasadnicza uwaga: połowa, ba, może nawet większość z moich klientów w ogóle by się tu nie zjawiała, to znaczy powiedziałby wyrażnie — nie bawiliby się w zbieracz, gdyby nie magnes w postaci papieru toaletowego w rolkach. Taka jest prawda. Wyrzuciliby te papierzyska, spalili, gdyby tylko mogli w inny sposób zdobyć ów rynkowy best-seller. Krygują się więc, udają przed sobą i sąsiadami, że wcale do punktu skupu nie idą. Pakują te szpagary starannie, oklejają nie-rzadko taśmą, by sprawiała wrażenie paczki od ciotki z Ameryki. I dopiero wtedy u mnie się zjawiają. Korniczne to, ale prawdziwe. A czasami też... oszukują mnie, to znaczy — próbują...

— Chowając między gazetami cegły?

— Na przykład. Albo jakieś stare żelastwo. Trafiały się już i fragmenty płyt chodnikowych. Zwykle wychytuję takie przypadki. Po tylu latach, to ja mam niemal wagę w garści, wiem, ile taka paczka może z dokładnością do paru dekagramów ważyć. A im bardziej elegancka, efektowna — tym bardziej podejrzana. To tak między nami.

Znów jakiś starszy mężczyzna dobija się do drzwi. Bez żenady tłucze natarczywie tuż pod wypowiedzianą godzinami pracy punktu. Jan Sadowski uchyła nieco wierzeje, na waziatka szparkę.

Czy można zrobić interes na makulaturze?

Drugi etap reformy w punkcie skupu

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

— Bierzesz pan wory po cemente? Czyste! — Niestety, nie kupuję. One zawsze są z resztkami cementu i nikt mi ich nie przyjmuje...

— A trochę starej kalki, będzie z dziesięć kilo?...

— Też nie, taka makulatura nie nadaje się do odtworzenia.

— Co mnie pan tu chrzanisz! Na cholere taki punkt skupu! Tylko bibutki i gazetki działy zbierają...

Facet rzuca jeszcze parę dosadnych określeń, ogólnie uznanych za niecenzuralne i wściekły niczym głodny indor znika za najbliższym blokiem.

Jan Sadowski, wcale nie zrażony, kiwa za nim głową.

— Są i tacy. Ale tego się nie uniknie. Bo mówimy: makulatura, a w praktyce jest sporo towaru, którego nie mogę przyjąć, bo i ode mnie żadna papiernia tego nie odbierze.

— Szybko pan dyktuj o jakie papierzyska chodzi!

— Wspomniane worki po cemente. Nie skupujemy. Podobnie — po maczce rybnej. Ten zapaszek jest już „dozgonny”. Nie przyjmuję też, choć to dziś raczej rzadkość — bibutek. W jakie pakowane były (i czasem jeszcze są) pomarańcze. Da pan wiarę, że zapach w nich utrwalony jest tak intensywny, iż znam przypadek wyrzucenia partii cukru bowiem opakowania, torebki konkretnie pachniały pomarańczami.

— To może lekka przesada, znam parę herbat o gorszym aromacie. Ale czego jeszcze nie ma sensu do pana nosić?

— Papieru powlekanego folią, bitumowanego, smołowanego, również kalki, a także tak zwany tabulogramowy, czyli arkuszy papieru jednostronnie pokrytych kalką. To chyba wszystko.

— No dobrze. A ile pan płacisz za kilogram dobrej makulatury?

— 8 złotych.

— Nie za dużo. A ile za to dostanę bezcennych zwiozków?

— Żadnego. Aby otrzymać choć jeden musi pan przynieść trzy kilogramy i jeszcze mi dopłacić różnicę z ceny wynikającą. Czyli za te, które teraz posiadam — dopłacasz pan 24 złote. I już roleczka jest pańska.

— Zaraz, zaraz, przecież na tym worku z papierem z Piechowic widnieje cena 28 złotych?

— Co dostawa — to wyższa cena. A zmieniają się w takim tempie, że nie nadążają zmieniać nadruków na workach. Ale w środku, o, proszę, na banderolce, cena właściwa — 48 złotych.

— To pewnie ten delikatny, miętuski.

— Co pan! Najwykleszy, gładki, zwany przez ludzi ściernym... Ale i tak cena „czarnorzynekowa” kształtuje się na wysokości 100—120 złotych.

— To jest i taka?

— Gdzie pan żyjesz? Jak czegoś nie ma na rynku w dostatecznej ilości, to przecież zawsze są dwie ceny. A ja tu mam dostawców hurtowych, zgarnię takich to dwadzieścia rolek i potem może pan kupić je po 100 złotych choćby przed „Teofillem”. Te ograniczenia w sprzedaży miały więc swoje uzasadnienie.

— ???

— Przedtem, to znaczy do 1 kwietnia 1988

roku, każdego ranka, dosłownie w kilka godzin zniknęła mi każda ilość papieru; dwadzieścia worków było — szły jak woda, załatwiłem trzydzieści — podobnie. Ludzi, którzy chcieli kupić rarytas po południu, po pracy, musiałem wciąż odsyłać z kwitkiem. Teraz się to nieco wyhamowało, tym bardziej, że jednorazowo mogę sprzedać do 20 rolek.

— Zawsze można kilka razy z wózkiem obrócić.

— A myśli pan, że tak nie robią! O, proszę spojrzeć, tych dwóch z wózkami znam doskonale, obróca jeszcze ze dwa razy minimum.

Zbliża się dziesiąta — moment otwarcia.

Przed wejściem kilkunastobowa kolejka, na proździe dwa facyci z wózkami wyładowanymi na dwa metry w górę paczkami gazet, ścinkami tektury, splaszczonymi pudłami. Kilku klientów czeka w samochodach. Skąd wiem? Bo nerwowo zerkają na zegarki, a na bagażnikach piętrzą się przewiązane sznurkiem paki makulatury. Zaczynamy. Jan Sadowski za łada, o-bok wagi, ja w głębi. Trochę pomogę. Błę papier wydawał. Ludziska już nawet nie wierzają w kartkę na drzwiach, każdy się upewnia: — Ale papier pan ma?

Nawet szybko idzie: paczki na wagę, przerzut na zaplecze, szybkie wylizanie i — u-pragniony moment: wydanie toaletowego „niezbędnika”. I następny klient, i kolejny. Kilka-naście osób i chyba jedna tylko kobieta spytała o „włocławek”. Półki zastawione różnymi skorupami, a tej pani właśnie płytkie talerze bardzo się przydadzą. Nikt nie chce pieniędzy, każdy dopłaca bez szemrania, a ja, nieczym święty Mikołaj — sięgam do przepastnego wozu i wręczam prezent.

Mamy parę minut przerwy. Pierwsza fala dostawców za nami. Z tyłu ruch na zapleczu, zajeżdża ciężarów „Siar”, ładują obciążone drutem 100-kilogramowe paki makulatury. Będa tu jeszcze dziesiąt dwa razy. Możemy poroz-mawiać.

— Podobno przyjmował pan w swoim kró-lestwie zagraniczną delegację?

— Prawda. Bo też nie mam się czego wsty-dzić. I prawie wszystkie delegacje w resorcie czy mojej dyrekcji — także i tu się zjawiają. A byli między innymi choćby Kubańczycy, z przystojną dziewczyną, jak się okazało — człon-kiem ich „poli-biura”. Która wypytwała mnie o najdrobniejsze szczegóły dotyczące zwłaszcza transportu dużej masy towaru i minimalizacji kosztów. Była i delegacja rumuńska, która przywozi do mnie wiceprezydent Wojtal. Był ambasador Rumunii w naszym kraju i mini-ster gospodarki materiałowej i paliwowej, pa-miętam, że ciasno się zrobiło od potężnych aut z poręcznikami i tabliczkami „CD”. Podpyty-wali mnie o wiele szczegółów.

— To i ja nie będę gorzej: co pan jeszcze skupuje oprócz papierzysków?

— Przede wszystkim odzież: wełnianą, ba-wełnianą, mogą być i mieszanki, byle nie czys-ty syntetyk.

— Znowu jakieś wyjątki! To już eleganckie-go plaszczyka ortalionowego pan nie przyj-miesz?

— Niestety, nie. Ani białizny stilonowej, ani rajstop, ani różnego rodzaju „misiów”. O or-talionie mówiliśmy, aha, jeszcze nie kupujemy dywanów podklejanych piankami.

— A za kilogram pewnie złote góry?

— Całe 15 złotych.

— Jak dojdziemy do butelek i opakowań szklanych — to dopiero będzie wesoło!

— Ja to opracowałem w prosty sposób: ku-puję tylko monopolowe, typowe, od wódki i od krajowych win. I też mnie próbują „kanto-wać”. Coś panu pokażę...

Butelka czyściutka, bez metki, półlitrowa, z pewnością po wódeczce. Ale gdy Jan Sadowski obok stawia klasyczną, po „żytku” — widzę różnicę. Ta jakby mniej pękata i nieco niższa.

— Dokładnie o półtora centymetra, ale wy-starczy by jej nie zakapslowała maszyna. Mnie takich nikt nie przyjmie, a gość miał ich chyba z dziesięć. Wylałem różnicę — to są butelki po koniaku...

— Cóż jeszcze można panu przynieść i wyjść z gorącym pieniądzem w dużych ilościach?

— Tworzywa sztuczne — różnego rodzaju za-bawki, butelki, a płacę 30 złotych za kilogram. Zbieram tego miesięcznie 3—4 tony, ale to przywożą mi głównie brygady MPO. Oni mają czas by te „plastiki” w dużych ilościach zgromadzić, posortować i tu podrzucić. Cóż jeszcze? Duża grupa to złom metali kolorowych: miedź, mosiądz, aluminium. Płacę od 53 do 100 zło-tych za kilogram. Mosiądz dostarczają zwykle hydraulicy, bo to przede wszystkim stara ar-matura. Aluminiowe garnki, czajniki, miski — wiele osób, przeważnie przy okazji wizyty z makulaturą. Aha, jeszcze zużyte akumulatory: dwanaście złotych za kilogram wsadu ołowio-wego, no i daję zaświadczenie do „Polmożbytu” uprawniające do nabycia nowej baterii.

Znów kolejna fala zbieraczy przewija się przed ładą. Wybuchła mała awantura, gdy sym-patyczne małżeństwo dotarło ponad trzy-dziesiąt kilogramów w elegancko obłożonym i-lustrowanym tygodnikiem paczkach. Jan Sa-dowski profilaktycznie kilka rozciął i wówczas małżonek lekko rozwścieczony, wykonał krótki, „miesięsty” monolog, w którym dał do zrozu-mienia obecnym, co sądzi o żonie. Okazało się, że chcąc zdobyć wymarzony papier wyniosła meżowi jakieś projekty, katalogi i nieco ksia-żek. Pan większość makulatury załatwił do „malucha”, pozostałość z trudem wystarczyła na trzy marne rolki.

— Flaszki pan przyjmujesz? — w kolejkę wypycha się jęgotność o twarzy, która niedaw-no musiała się zderzyć z czymś twardym. No i ten głosik! Pięknie zdarty, dobitnie świadczą-cy, iż butelek będzie sporo i to raptem wczoraj opróżnionych.

— Nie chuchaj pan na mnie tą denaturą! — starsza pani z tobołkiem gazet pod pachą od-suwa się z niesmakiem.

— No, no... — pokancerowany grozi drżącym palcem, ale to zbyt duży wysiłek, więc woli chwilnie opuścić pomieszczenie.

— Zdarzają się jakieś białe krulki? — pytam Jana Sadowskiego, gdy w kolejnym antrakcie pomagam wyeksponować paki z makulaturą na zaplecze.

Bardzo rzadko, to wszystko uzależnione jest od sąsiedztwa, zamożności dzielnicy, tra-dycji czytelników. Tu się kupuje gazetę w so-botę (bo program telewizyjny), a cała lektura — to „ekspresaki”. Takie „Wybrzeże” czy „Wprost” to już ekskluzywna gazetka! Choć nie tak dawno udało mi się przechwycić na-wet niezbyt zniszczoną, choć niekompletną en-cyklopedię Meyersa, drukowaną w Wiedniu w 1897 roku. Niebrzydka rzecz, ale prawdziwy ra-rytas to mi się spalił cztery lata temu...

— Zwariuje w instalacji? Niedopałek?

— Nic z tych rzeczy, prozaiczne podpalenie. Paru wesółków wracających z Pasterki. Pawi-lon nie był wtedy murowany, wypalił się nie-mal doszczętnie. A wraz z nim wyciągnięte przeze mnie ze sterty papierzysków oryginalne Pismo Święte z grafikami, formatu 70 x 50, z roku 1826. To był autentyczny „biały kruk”, pamiętam, że niektóre rysunki opatrzone były jeszcze faksymilami ówczesnych dostojników kościelnych, między innymi arcybiskupa gnieź-nieńskiego.

— Cemuż pan nie wziął tego dzieła do do-mu?!

— Właśnie! Mądry Polak po szkodzi! —

Znów przewija się kilka osób. Znów udaje świętego Mikołaja i — z zainteresowaniem przyglądam się jednemu z naszych Czytelni-ków. Szpakowate wasiki, laseczka i dwie spore paczki „Odgłosów”. No proszę! Między nimi ja-kieś nieliczne egzemplarze „Polityki”, „Szpil-ki”, ale „Odgłosy” wyraźnie przeważają! I tym optymistycznym akcentem zamierzam zakończyć. Jeszcze tylko gość z teczką gorączkował się, że jak za trzy kilogramy jedna rolka, to on nie będzie z siebie „śmota” robił i woli papierzyska na działce spalić. Jeszcze tylko pani z psem, który — spryciarz — usiłował porwać zajętemu robotą Janowi Sadowskiemu drugie śniadanie. No, nudno to tu nie jest, faktycznie!

Zegnam się, a w progu doganiam mnie pan Tadzio, który na zaplecze pomaga formować potężne, odrutowane paki do transportu. Zaś-miewa się i pokazuje potężny, wyszczerbiony, prawie kilogramowy (wazyliśmy!) śrubokręt, czyli jak kto woli — wkrętak.

— Patrz pan, to ten pański czytelnik! Kiwnął nas aż na kilogram...



Foto: Grzegorz Sześciński

Na jakimś czasie przed maturą pięciorgu uczniów z tak zwanej prywatnej inicjatywy zasugerowano, a może nawet lepsze byłoby określenie, że otrzymali propozycję z rodzaju tych nie do odrzucenia, aby mimo otrzymania świadectwa ukończenia szkoły, zrezygnowali ze zdawania matury w 1988 roku. Nauczyciele zobowiązują się w następnym roku udzielać im korepetycji, tak, że „z maturą potem nie będzie już problemów”. Pomysł ten wypróbowano już w latach ubiegłych. Nikt nie przypuszczał, że rodzice jednej z uczennic zdecydowanie zapowiadają. I tym bardziej nikt nie podejrzewał, że dziewczyna, która najbardziej ucierpiała w tym wszystkim, jako sposób na rozwikłanie swoich problemów wybierze samobójstwo.

Jedną z tych pięciu uczennic była Agnieszka. Wprawdzie nie cieszyła się opinią dziewczyny wyjątkowo zdolnej, ale też przez trzy lata nauki nigdy nie miała oceny niedostatecznej ani kłopotów z jakimiś przedmiotami. Nauczyciele doceniali jej pilność i pracowitość.

W artykule tym nie ma nazwisk, nazwy szkoły, adresów, nazwiska Agnieszki. Wszystko jednak jest prawdziwe.

Korepetycje nie są zabronione

ZOFIA KĘDZIORA



Foto: Grzegorz Galasiński

Co z tego, kiedy wypadki potoczyły się tak, że — jak napisała matka w skardze do Kuratorium Oświaty i Wychowania: „w córce załamano się wiara w takie wartości, jak sprawiedliwość, uczciwość i zwykłą ludzką życzliwość”. Bo i tej również zabrakło.

Zacznijmy jednak od początku, czyli od pierwszych dni roku szkolnego 1987—1988.

Nauczycielka od historii zaproponowała wtedy — nieco askocznym rodzicom Agnieszki — korepetycje ze swego przedmiotu. Do tej pory Agnieszka nie miała kłopotów z historią, nie groziła jej ocena niedostateczna. Korepetycji udzielać miała ucząc w tej samej szkole historię.

Rodzice Agnieszki pomyśleli, że najwłaściwiej historyczka chce pomóc koleżce dorobić, więc zgodzili się. Jak się okazało, koszt tego nie był duży. Agnieszka i jej dwie koleżanki płaciły 1500 złotych za spotkanie raz w tygodniu często nawet pięć — czterogodzinne. Nauczyciel obliczył, że zarabia w ciągu godziny korepetycji, przy dołączeniu również czasu potrzebnego do przygotowania 100—150 złotych. Ponieważ jest nauczycielem z powołania, pracuje trzydzieści lat, lubi swój zawód, lubi młodzież — zgodził się udzielać korepetycji. Zgodził się, bo jak wyszło potem na jaw, osoba której najbardziej zależało na korepetycjach była... historyczka Agnieszka. Musiała długo namawiać kolegę, aby podjął się tej pracy. Rzetelnie potraktował nowy obowiązek i Agnieszka chętnie chodziła na korepetycje.

Po jakimś czasie ta sama historyczka zaproponowała, aby Agnieszka wzięła również korepetycje z propedeutyki nauki o społeczeństwie, ale u dyrektora szkoły, który uczył geografii. Rodzice znów zdziwili się, bo nie słyszeli, aby córka nie dawała sobie rady z tym przedmiotem. Pomyśleli jednak, że może to i dobrze, bo dyrektor zobaczy, ile dziewczyna naprawdę umie. Placili więc znów po 1500 złotych za spotkanie. Trwało ono czasem dwie godziny, jeżeli odbywało się w domu, a czasem dwadzieścia minut, gdy miało miejsce w dyrektorskim gabinecie.

Dyrektor przekonał się o pracowitości swojej uczennicy.

Po kilku korepetycjach powiedział matce dziewczynki, że jeszcze za trzy tygodnie wspólnej pracy i Agnieszka będzie w stanie dojść do czwórki z tego przedmiotu.

W pierwszym półroczu Agnieszka otrzymała ocenę nie-

za tym na poważne schorzenia nerwek. Dolegliwość ta popularnie nazwana jest „ruchomą nerką”. Już w klasie maturalnej stwierdzono u niej zwichnięcie tętna ocznych i wzrost ciśnienia śródgałkowego. Powstało zatem poważne zagrożenie utraty wzroku. Agnieszka zdawała sobie sprawę z tego, co jej grozi i świadomość ta wywołała u niej depresję. Dla Agnieszki stało się zatem bardzo ważne ukończenie szkoły w terminie i zdanie matury, bo nikt nie dawał gwarancji, jak będzie z jej oczami w 1989 roku.

O stanie zdrowia Agnieszki jej matka poinformowała dyrektora szkoły, który obiecał, że szkoła okaże dziewczynie szczególną życzliwość i troskę.

Pani od historii zaczęła nakłaniać kolegę — historyka, aby namówił Agnieszkę do rezygnacji z matury w 1988 roku. Nauczyciel nie powtórzył tego ani matce, ani córce. Nie był przekonany o jej słuszności. Pani od historii jednak w dalszym ciągu nalegała na historyka i nie poprzestaje tylko na tym.

— Poprosiła mnie na rozmowę — wspomina matka Agnieszki — i namawiała, motywując to nieudolnymi maturami próbnymi, aby córka zrezygnowała z matury w tym roku. Zaśwadała nawet pisemnego oświadczenia.

Potem, a było to w połowie kwietnia 1988 roku, zadanie to ponowił dyrektor, tym razem ograniczając się tylko do oświadczenia ustnego. Złożenie takiej deklaracji miało spowodować wydanie zaświadczenia o ukończeniu szkoły średniej przez Agnieszkę.

Złożono również następującą ofertę — mówi matka Agnieszki — po uzyskaniu w 1988 świadectwa ukończenia szkoły córka miałaby pobierać korepetycje z języka polskiego u polonistki, z historii u pani od historii oraz z propedeutyki nauki o społeczeństwie i języka rosyjskiego u dyrektora szkoły, który uczył zresztą... geografii. Z językiem rosyjskim Agnieszka nie miała problemów, radziła sobie sama, co zresztą potwierdziła nauczycielka od rosyjskiego. Mimo nacisków matki Agnieszki nie zgodziła się.

— Wobec tego — mówi dalej matka Agnieszki — po moim wyjściu ze szkoły przedstawiciele rady pedagogicznej, a więc dyrektor, pani od historii i polonistka, czyli wszyscy ci, którzy chcieli w przyszłym roku udzielać Agnieszce korepetycji zdecydowali się porozumieć bezpośrednio z nią. Latwiej jest dziewczynę przekonać i zastraszyć. Odbili więc zdecydowaną rozmowę z Agnieszka, żądając od niej tego, na co ja nie wyrażałam uczęszczać zgody. Nie zawahali się nawet posłużyć kłamstwem. Głównym argumentem było bowiem twierdzenie, że matka już się zgodziła, teraz jeszcze ty musisz zaakceptować tę decyzję, a na maturze spotkamy się w 1989 roku.

Ale wszystko to miało być wyłącznie dla jej dobra.

Było to więcej niż nadwątłone nerwy Agnieszki mogły wytrzymać. Wydawało się jej, że zawiadła się nawet na matkę, bo ktoś jak nie ona wiedziała najlepiej jak dużo pracowała, jak bardzo się starała, aby przygotować się i co przesłała w ostatnich czasach. Aby nie myśleć o zagrożonych oczach, wszystkie wysiłki poświęciła zbliżającej się maturze.

Wszystko to spowodowało szok nerwowy. Objawy depresji były widoczne. Potrafiły to dostrzec woźne, starając się jakoś pocieszyć placującą i roztrzęsioną Agnieszka. Pedagogi posuśli ją samą do domu. A przecież wystarczyło zadzwonić do matki, aby po nią przyjechała. Omal nie zakończyło się to wszystko tragicznie. Zdrutniona Agnieszka próbowała bowiem popełnić samobójstwo. Była w takim stanie, że mogła mówić dopiero po trzech dniach od rozmowy z pedagogami.

Po całym tym wydarzeniu zaczęło się jakby zacieranie śladów i wyciszanie sprawy. Do matury zostali dopuszczeni i przystąpili wszyscy. Jedną z uczennic, której sugerowano nieprzystąpienie do matury w 1988 roku i pomoc w nauce, że złożyła już nawet dyktando ustne oświadczenie, że nie będzie zdawać egzaminu dojrzałości w tym roku, że rezygnuje. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu zapytano ją:

— A dlaczego ty właściwie nie chcesz zdawać matury w tym roku?

Przystąpiła i zdała. Agnieszka od czasu pamięt-

nej rozmowy, zgodnie z zaleceniem neurologa nie chodziła już do szkoły. Przez cały czas przed maturą brała zapisane przez lekarza środki uspokajające. Niemniej jednak zdędydowała się zdawać egzamin dojrzałości, tak bardzo się przecięła przez cały rok starała. I zdawała, choć nie było to przeżycie miłe. Szczególnie ze względu na atmosferę.

Z obu prac pisemnych: z języka polskiego i historii otrzymała ocenę niedostateczną.

Oceny niedostatecznej wystawionej przez panią od historii nie zaakceptował jeden z nauczycieli, wchodzących w skład komisji egzaminacyjnej, historyk. Nie podpisał się pod tą oceną. Napisał poza tym oświadczenie:

„Po zapoznaniu się w dniu 16 maja 1988 roku z pracą pisemną Agnieszki (nazwisko pominięte) wnoszę o wystawienie oceny jeszcze dostatecznej. Motywuję to tym, że zawiera szereg elementów świadczących o znajomości tematu, ale pisana była w stanie skrajnego stresu. Jest mi dokładnie wiadomo, że uczennica ta włożyła ogromny, godny najwyższego uznania wkład pracy przez cały rok szkolny.

Uważam za konieczne uwzględnić jej stan zdrowia fizycznego i postępującą od dłuższego czasu degradację zdrowia psychicznego wywołaną przez czynniki w dużym stopniu od niej niezależne.”

Oświadczenie nie zostało przyjęte przez komisję egzaminacyjną.

Matka Agnieszki zdecydowała poszukać sprawiedliwości w Kuratorium Oświaty i Wychowania. Napisała zatem skargę, w której opisała perypetie córki w ciągu minionego już roku szkolnego. Przedstawiła zarzuty wobec nauczycieli Agnieszki. Zwróciła się również z prośbą o ponowne sprawdzenie prac maturalnych córki z języka polskiego i historii, bo jak napisała:

„Mam podstawy, by przypuszczać, że egzaminatorzy nie zachowali należytego obiektywizmu. (...) Poza tym, wszystkie okoliczności tej przykrej sprawy nie pozwalają mi wierzyć, że prace maturalne mojej córki zostały ocenione obiektywnie i że zastosowano do nich takie same kryteria, jak przy sprawdzaniu innych prac.”

Kuratorium przysłało lakoniczną odpowiedź, że „po zasięgnięciu opinii osoby powołanej spoza szkoły (metodyka eksperta), kuratorium nie znajduje podstaw do podważania ocen wystawionych przez Państwową Komisję Egzaminacyjną u tej szkoły.”

Metodyki sprawdził prace tylko Agnieszki, ale nie porównał ich poziomowi poziomom innych prac w tej klasie. Do zarzutów, bardzo przecież poważnych, postawionych przez matkę Agnieszki nauczycielom tej szkoły nie ustosunkowano się wcale.

Matka Agnieszki napisała w skardze:

„Niezmierznie przykry jest fakt, że ludzie powołani do kształtowania właściwych postaw młodzieży, którzy powinni dla swoich uczniów stanowić wzorce godne naśladowania, w istocie okazują tak żałosne oblicze moralne.”

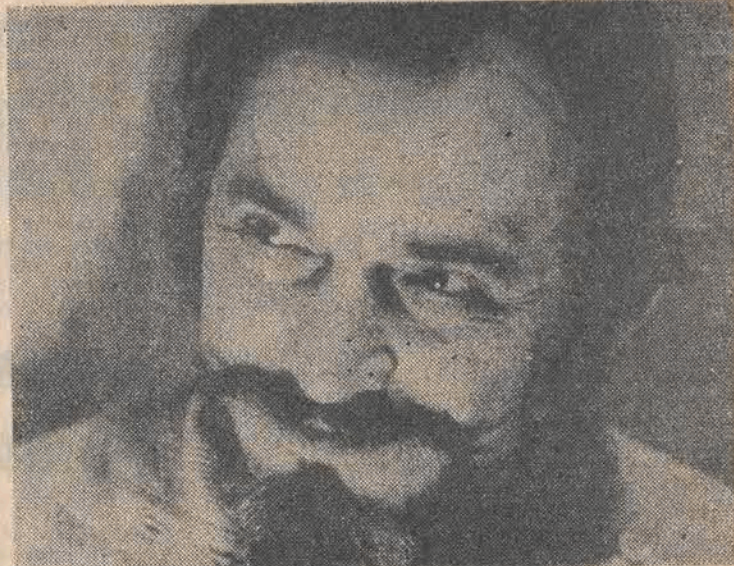
Dodała do tego:

„Nie ma prawa zabraniającego dawania korepetycji, ale pozbawione skrupułów wymuszanie ich nie jest chyba zgodne z prawem, a przynajmniej z prawem moralnym.”

A sama Agnieszka?

W wypracowaniu pisany tuż przed maturą napisała:

„Świat Reja i świat Kochanowskiego jest również światem ludzi współczesnych. Czy można odrzucić takie wartości jak uczciwość, szacunek dla człowieka, godne przyjmowanie życia, patriotyzm i sprawiedliwość. Szkoda tylko, że są to ciągle jeszcze marzenia. Mimo zmieniających się warunków życia, w czasach śmierci od uranu, wodoru i innych pierwiastków radioaktywnych, kiedy grozi zautomatyzowanie człowieka, warto przypomnieć sobie humanizm i te ideały, aby one pomogły zachować ludzkie wartości, godność i wiarygodność. Może nie mówimy: jesteśmy tylko człowiekiem, a jesteśmy aż człowiekiem.”



Mówi: IRENEUSZ OLSZEWSKI

— Jesteś znanym i uznanym malarzem, więc nie będę ci prawie komplementów. Powiedz zatem, czym dla ciebie jest sztuka?

— Ci, którzy mnie znają bliżej, wiedzą, że gdyby nie sztuka, moje życie byłoby o wiele uboższe, a nawet kto wie, czy nie krótsze. Z najgłębszych depresji zawsze wydobywa mnie moja praca, a w moim przypadku praca to płótno, farby i pędzel.

— Czy stany emocjonalne, o których wspominałeś, są inspiracją czy też hamują inwencję twórczą?

— Pozornie wydać się może, że hamują. Być może niejednego wyhamowują absolutnie. Natomiast ja, po latach, doszedłem do tego, że te stany wykorzystuję w sensie twórczym, co wpływa nawet na pogłębienie pewnych koncepcji malarskich. Obrazy powstające w owych wzmożonych stanach emocjonalnych zyskują większe uznanie u wyrafinowanego odbiorcy.

— Kogo masz na myśli, mówiąc o wyrafinowanym odbiorcy?

— Przede wszystkim ludzi zbliżonych wzrokiem do mojej. Bierze się to prawdopodobnie ze zbliżonych przeżyć psychofizycznych.

— Od ilu lat uprawiasz trudną sztukę plastyczną?

— Ponieważ w dzieciństwie nie mogłem korzystać z zabaw należących temu wiekowi, więc siłą rzeczy brałem glinę i lepiłem z niej to, co było w zasięgu mojego wzroku i co rozdziło się w mojej wyobraźni. Tesknoty plastyczne pojawiły się jakby równoległe z narodzinami mojej świadomości. Dział nie potrafię powiedzieć, co było pierwsze, niewątpliwą wszakże jest rzeczą, że urodziłem się z nadwrażliwością na barwy, kształty i formy.

— Ile namalowałeś obrazów?

— Nie pamiętam, ile ich powstało w ciągu tych 30 lat. Jedno mogę stwierdzić, że są one w licznych kolekcjach w USA, Kanadzie, Szwecji, Anglii, RFN, Francji, Japonii, Jugosławii, że nie wspomnę o zbiorach państwowych w kraju. Osobną sprawą są liczne kolekcje prywatne, gdzie także znajdują się moje płótna.

— A rzeźby?

— Wbrew temu, co zamierzałem w młodości, rzeźba nie jest pierwszoplanową dziedziną mojej twórczości. Ale rzeźbię sporo i chętnie. Kilka moich projektów doczekało się realizacji.

— A co z aktami?

— Chętnie bym malował kobiece akty, jest to temat frapujący, niestety nie stać mnie na modelkę.

— Nie bardzo wierzę w twoje słowa, bowiem jak pamiętam, zawsze otaczały cię piękne kobiety.

— Piękne kobiety wprawiały mnie w tak ogromną treść, że zapomniałem o palecie i płótnie.

— W twoich obrazach dominuje pejzaż.

— Urodziłem się i wychowałem wśród wysokich sosn, wielkich przestrzeni pól i zielonych łąk. A więc pejzaż Polski środkowej jest we mnie. Stąd motyw okolic Łasku tak często pojawia się w moich obrazach.

— Co najchętniej malujesz?

— Sam stwierdziłeś, że dominuje u mnie pejzaż. Ale tak naprawdę, to zawsze pasjonował mnie człowiek. Jeśli maluję obraz, na którym nie ma człowieka, to nie znaczy, że to jest obraz bezduszny. Ja zawsze tworzę z myślą o drugim człowieku. Stąd specyficzny klimat moich obrazów.

— W takich obrazach wyczuwa się smutek, nastroj niepokoju, nawet katastrofizm.

— Bo ja sam jestem taki, tak ukształtowało mnie życie.

— Narzekasz na los, a przecież odniosłeś sukces. Jak te dwie rzeczy ze sobą pogodzić?

— To istotnie paradoks, bo los, który nie szczędził mi kłopotów, pomógł mi w dostrzeganiu subtelniejszych, bardziej złożonych zjawisk natury. I jeśli to uznamy za sukces, to istotnie osiągnąłem go.

— Czy do sukcesu zaliczasz także fakt, iż zostałeś dziadkiem?

— Mam dwie wspaniałe córki, z których jedna obdarzyła mnie wnuczką Damianą. Jeszcze nie sięga po pędzel, ale z radością targa mnie za włosy.

— Obie córki — Dorota i Ewa — także malują.

— Dorota jest na drugim roku PWSSP w Łodzi, natomiast Ewa mimo uzdolnień ciągle szuka swojego miejsca w życiu.

— Ale, ale, przecież twoja żona Halina, to także artysta plastyk.

— Zależem stwierdzam, iż dla rodziny poświęciła ona swoją karierę artystyczną.

— Jako głowa rodziny, co potrafisz robić z prac gospodarskich?

— Potrafię jedynie zagotować wodę na herbatę.

— A jakim jesteś kierowcą?

— Na drodze pozwalam się wyprzedzać innym samochodom, bardziej boleśnie jednak odczuwam, gdy jestem wyprzedzany zawodowo.

— Czego się dorobiłeś przez te 30 lat?

— Limuzyny typu „Trabant” i choroby wieńcowej.

— A willa, obszerny dom z pracownią, z gabinetem odnowy biologicznej i własną galerią?

— Czasami widzę to w snach, ale pięknych snów mam coraz mniej. Mieszkam w starym budownictwie razem z córką, zięciem i wnukiem. Zimą nosimy z piwnicy węgiel do pieców na nasze II piętro.

— Co robisz, kiedy nie malujesz, nie nosisz węgla i nie wyjeżdżasz na plenery?

— Szukuję, oglądam tv, czytam lekturę zawodową. Coraz mniej czasu mam na czytanie beletrystyki. Natomiast wiele czytam prasy kulturalnej.

— Czy „Odgłosy” także?

— Oczywiście. Stajecie się coraz ciekawszym pismem, o coraz szerszej tematyce politycznej.

— Zajmujesz się polityką?

— Ależ tak! To ona kształtuje nasze życie.

— Na zakończenie naszej rozmowy chciałbym usłyszeć parę zdań na temat twoich najbliższych planów twórczych.

— Od lat marzy mi się cykl portretów ludzi mi bliskich. Nie zawsze wielkich, ale związanych ze mną uczuciowo. Jeśli zdrowie i warunki finansowe pozwolą, zacznę jeszcze w tym roku. Ponadto na realizację oczekuję kompozycji wynikające z moich przeżyć i doznań kumulujących się w ciągu całego życia. Na wszystko jednak potrzebny jest czas, którego mam coraz mniej.

— Z tego też zapewne powodu — znany się już ponad 40 lat — jakoś nie udało się nam ułożyć wspólnego życia towarzyskiego.

— Tak bardzo pochłania mnie rodzina i praca, że nawet dla przyjaciół nie starcza mi czasu.

— I tym nieoptymistycznym akcentem kończymy naszą rozmowę, za którą ci serdecznie dziękuję.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Debiuty

JAROSŁAW GRZELKA

Nocą

nocą gdy ostatnie pieski wróciły ze spacerków
nocą gdy wszystkie dzieci wysłuchały już
swoją bajkę i śpią
nocą gdy rodzice tych dzieci również śpią
nocą gdy ostatni tramwaj zjeżdża do zajezdni
nocą gdy cisza a nad nią gwiazdziste niebo
nocą
nocą józef kowalskich odkręca koła
samochodów
i kradnie akumulatory

MAREK JEDLIŃSKI

Erotyk

„Którego nieistnienie zabija jak topór”
A. BURA

wypolerowana maszyna do pisania
przysłunione blizny jak noc
pończocha owinięta wokół
mojej rozciągniętej szyi

ładnej gwiazdy w murze
ładnej głowy we śnie a twoje
najcenniejsze pierś to maszyna
do pisania żadnych palców

IRENEUSZ KACZMARCZYK

Wiem o umieraniu piszę latami
dni wymieniam się bezcelestnie
jak ukłony
czasem nieprzewidywany wypadek
wprowadza chaos w szeregu cyfr
ale kilka iesz to jeszcze nie powód
zdolna zatopić jedno życie
więc dopisuję kolejne wersy po przecinku
i głaszczę pewność że wiersz o śmierci
będzie także mojego autorstwa
choć przy nazwisku
jego suchy tytuł dopisze już inna
obca ręka

Uwaga, uwaga, panie i panowie,
„Łódź Kaliska” znów w akcji!
Grupa pojawiła się 19 maja br.
na ławie przed FWSW i 23 maja
w Teatrze Studijnym (znanym z
popierania i promowania działań
awangardowych w sztuce w ra-
mach majówki artystycznej „Złote
osiołki”).

Formacja ta, mająca tytuł zwo-
lenników, co zagorzałych nieprzy-
jaciół, nie jest znana szerokiej
publiczności, choć istnieje już dzie-
wiąty rok. Funkcjonowała dotąd

nego, bez którego sawodowy kry-
tyk „ani rusa”, opisuje akcje, w
których brałem aktywny udział.
Na ławie przed Szkołą Plastyką
inscenizowano sytuację z obrazu
Hieronyma Boscha „Wół z siano-
nem”. Uczestnicy akcji, a także
chętni spośród obserwatorów, po-
zabierali się w różne kostiumy,
niekoniecznie z epoki (ja miałem
np. na głowie czapkę galowego), i
z odpowiednimi rekwizytami w
rękach poustawiali się mniej wię-
cej według rozmieszczenia posta-
ci na obrazie Boscha. Wół z siano-
nem zastępował duży saniochód,
ciezarowy, chyba Star. Akcja zo-
stała sfilmowana, zrobiono również
zdjęcia, bo o nie chodziło przede
wszystkim.

Świat według „Łodzi Kaliskiej”

na strychu, w prywatnych gale-
riach i mieszkaniach, czyli „w
podziemiu”. Artysty z Ł.K. brali
udział, co prawda, w ekspozycjach
zbiorowych i w licznych środo-
wiskowych plenerach artystycz-
nych, lecz jako grupa pojawiali się
rzadziej i tylko w miejscach zna-
nych wtajemniczonym. Kilka teks-
tów prasowych, jakie ukazywały się
w ciągu minionego roku w po-
пулярnych tygodniakach, wyciągnę-
ło Ł.K. z zakamarków sztuki na
swiatło dzienne (dotychczas poświę-
cono im nieco miejsca w specja-
listycznych periodykach zajmują-
cych się sztuką), ale należy się
im więcej uwagi ze strony kry-
tyków, recenzentów, czy tylko re-
jestраторów krajowych zdarzeń
artystycznych. Należy im się to
nie tylko z powodu tytuletnego
istnienia w chwalebnej i nieśla-
teczności, ale i z racji konse-
kwentnego lansowania przemys-
lanej postawy artystycznej, z
wszystkimi (po drodze) przeobra-
żeniami koniecznymi dla praw-
dowego rozwoju.

Działalność grupy, która progra-
mowo miesza życie ze sztuką, praw-
dę z fikcją, blaznada z roztrzą-
saniem serio problemów estetycz-
nych, przedni humor z powagą
filozofii — wymyka się zresztą
krytykom sztuki, pragnącym u-
systematyzować wartości i pousta-
wiać je w karnym szeregu. Trud-
ności z interpretacją zjawiska pn.
„Łódź Kaliska” nie przysparzają
grupie sympatii ze strony specja-
listów zajmujących się sztuką
współczesną, wyliczając mło-
dych historyków sztuki, znakomi-
cie rozumiejących „w czym rzecz”.

Nie mając ambicji i ochoty na
posługiwanie się hermetycznym
słownictwem, ani na używanie
skomplikowanego aparatu krytycz-
nego, bez którego sawodowy kry-
tyk „ani rusa”, opisuje akcje, w
których brałem aktywny udział.
Na ławie przed Szkołą Plastyką
inscenizowano sytuację z obrazu
Hieronyma Boscha „Wół z siano-
nem”. Uczestnicy akcji, a także
chętni spośród obserwatorów, po-
zabierali się w różne kostiumy,
niekoniecznie z epoki (ja miałem
np. na głowie czapkę galowego), i
z odpowiednimi rekwizytami w
rękach poustawiali się mniej wię-
cej według rozmieszczenia posta-
ci na obrazie Boscha. Wół z siano-
nem zastępował duży saniochód,
ciezarowy, chyba Star. Akcja zo-
stała sfilmowana, zrobiono również
zdjęcia, bo o nie chodziło przede
wszystkim.

Wielkie zdjecie na płótnie za-
wisło kilka dni później nad sceną
Teatru Studijnego, gdzie akcja
była kontynuowana. Niektóre po-
stać kontynuowała farbami, nie
wiadomo, czy na fotografii wyszły
nieostro, czy też tak musiało być.
Scenę zapelnili artyści z „Łodzi
Kaliskiej” i rozpoczął się teatrzyk.
Na przedzie posadzono nagą sta-
ruszkę, która przesiadła się bez
ruchu do końca. Piosenkę zaśpie-
wała wyłupana z ulicy dziewczyna;
zabawa tak się jej spodobała, że
wychodziła z teatru jako jedna z
ostatnich. Andrzej Kwiatkowski
(absolwent UL, z wyboru rolnik)
położył się z tyłu sceny na pod-
wyższeniu i do zwiastującego tuż
nad ustami mikrofonu opowiadał
o niezliczonych chorobach, które
trafiają go od dzieciństwa. Marek
Janiak (architekt, wykładowca
ca fotografii na PL), prowadził
z przodu sceny jakiś absurdalny
wykład ilustrowany planszami. O
co chodziło nie udało się dowied-
zieć, głosy nakładły się na siebie.
Aktor Teatru Studijnego — An-
drzej Krukowski — odczytywał
manifesty artystyczne grupy, pi-
sane przez wcześniej wymienio-
nych. Adam Rzepiecki z Krakowa
(historyk sztuki, fotograf w Inst.
Hist. Sztuki UJ) unosił cylinder i
wtedy zapalał mu się na głowie
lampki: biała i czerwona, skutec-
nie odwracając uwagę od słowa
mówionego. „Makary” Wielego-
rski (chemik) przeszkadzał wszyst-
kim jak tylko potrafił najgłośnie-
jiej. Zabrakło Andrzeja Świetlika
(członek ZPAF, grafik). Innych
nie wymieniam, zabrałoby to

byłoby wiele miejsca. Wszystkie te
filmowane akcje z Łódzkiego O-
środka Telewizyjnego. Spektakl
zakochał się jakoby tak sam z
siebie.

O co tu chodzi? — mógłby ktoś
zapytać. Komentarz do relacji te-
lewizyjnej byłby dość ostrożny, wy-
czuwał się brak przekonania do
podobnych działań, uznając jed-
nak prawo do poszukiwań artysty-
cznych. Minie się tego rodzaju
akcje podobają. Absurdalność
działań Ł.K. to — z jednej stro-

PESTKI DYNII

„Awangarda (fr. avant garde — straż przednia)
— 1. metaforycznie: ci, którzy swymi działaniami
i ideami zapowiadają przyszłość; formacje ar-
tystyczne najbardziej wyprzedzające epokę; 2. no-
watorskie ruchy artystyczne XX w. (z Encyklo-
pedii).

„Awangarda umiera — mówi Hilton Kramer, re-
daktor „New Criterion”. — Nowe idee nie na-
potykają oporu”.

„Awangarda żyje i ma się dobrze — odpowiada
historyk Howard Fox, autor ogromnej wystawy
„Awangarda w latach osiemdziesiątych” w Los
Angeles — „moderniści, od Pieta Mondriana po
Franka Stella, tak usilnie dążyli do tego, aby
uwolnić swoją sztukę od mitów i symboli zdege-
nerowanego społeczeństwa, że w końcu byli w
stanie poznać się jedynie z wąską elitą. Dzi-
siejsi artyści pragną powrócić do roli, jaką od-
grywali przed nastaniem XX wieku: chcą wycho-
dzić naprzeciw szerokiej publiczności i po-
ruszać sprawy dotyczące ogółu”.

O co idzie? Jak zwykłe o... pieniądze! Kiedyś
ci z awangardy chodzili głodni, bosi, bez grosza
w kieszeni, a wielokrotnie, nienawidząc, genia-
nym szaleństwem w oczach oddając ze bezcen,
za butelkę wina, za kilka farb, za obiad swoje
dzieła... Musieli zdychać w przytułkach, burde-
lach, na ulicy, od samobójczego strachu... Żeby
ich obrazy, muzyka, poezja zostały docenione i
ocenione (wysoko!). Dopiero gehenna życia i
śmierci we wrogu społeczeństwie czyniła ich
prace godnymi prywatnych kolekcji, Luwru lub
Museum of Art... To była prawdziwa awangarda!

Dziś? Najbardziej „inne”, „szokujące”, „nowa-
torskie” dzieła natchnionych niemal znajdują na-
bywców: kolekcjonerów, muzeów i galerie, wiel-
kie firmy i koncerty... Natychmiast też zostają
pokazane w środkach przekazu, utrwalone na ka-
setach wideo... Kwadrans trwa nie jedno po-
kolenie czy dwa, ale miesiące, półtora... Na dodatek
artyści z nowatorskiej estetyki otrzymują sty-
pendia, dotacje; więcej — wielkie firmy, banki,
superbogatki kolekcjonerzy zamawiają u nich, za
duże pieniądze, „dzieła awangardowe”. Zgroza!
Nikt nie umiera z głodu, nikt nie czeka całe ży-
cie „na promocję”. Żeby było jeszcze zabawniej,
w wielu krajach przenoszą się ogromne sumy na
eksperymenty nad nowymi technologiami i wy-
korzystaniem nowych materiałów do celów ar-
tystycznych... Krytycy zadają pytanie: „Czy bez
dystansu i pewnej dozy gorzkiej krytyki potra-
filiby inspirować nas swoimi heroicznymi wizjami
nowego, wspólnego świata”? A może dzisiejsza
awangarda postawiła sobie skromniejsze cele —
wytęczyć awangardę między sztuką i wysokim lotu
a kulturą masową, między wysocą techniczno-
waną przyszłością a przeszłością z krwi i kości?
Inni powołują się na siłę twórczego ducha...

ANDRZEJ GRUN

MAREK KOPROWSKI

Ja też zachęcam.

Monografia o marszałku Rydzu-Śmigłym

O d czasów klęski wrześniowej do dzisiejs-
szego dnia nie ustają — prowadzone z
większym lub mniejszym nasileniem —
spory i polemiki wokół oceny działalności
Naczelnego Wodza w 1939 r., marszałka
Edwarda Rydza-Śmigłego.

Po wrześniu i w pierwszych powojennych latach
stał się on osobieństwem największej w naszych
dziejach tragedii narodowej — co, oczywiście, nie
sprzyjało wyważonemu, w pełni obiektywnemu oce-
nieniu.

W społecznym obiegu funkcjonuje dotąd wiele
legend i mitów, odnoszących się do tej już dzisiaj
historycznej postaci. Dotyczy one zarówno okolicz-
ności opuszczenia przez Rydza walczących wojsk,
powrotu tego do Polski, podejmowanych, z jego u-
działem, prób montowania sanacyjnej konspiracji
(OPW — z myślą o przejęciu po wojnie władzy),
jak i śmierci.

Niedawno prof. Janusz Tazbir w jednym z wy-
wiadów przytoczył zdarzenie, świetnie ilustrujące o-
statnie stwierdzenie.

Rozmawiam — powiedział — np. z taksówkarzem
o Rydzu-Śmigłym i mówię mu, że Rydz umarł na
serce w Warszawie w 1941 r., a taksówkarz pro-
tektownie powiada mi — „widzę, że interesują
się pan historią, ale do końca prawdy pan nie zna
— Rydz poszedł do partyzantki i tam zginął”.

Podjęmowane są również w niektórych kręgach

próby pomniejszania jego wspaniałego wkładu

w wojnie. Szczerze i utrwalaniu się stereotypów sprzyjał
dotychczasowy brak monograficznego opracowa-
nia, poświęconego Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu —
odgrywałemu w latach 1936-1939 jedną z czo-
lowych ról na scenie politycznej II Rzeczypospolitej.
Dlatego też z uznaniem należy powitać — wy-
pisaną częściowo „białą plamą” — książkę Ry-
szarda Mirowskiego „Edward Rydz-Śmigły” (Instytut
Wyd. Zw. Zaw., Warszawa 1988, nakład 29 000 egz.).

Autorem postawił sobie niezwykle trudne a zarazem
ambitne zadanie: wyrytuałować obiektywne ocenę wy-
stępującą w literaturze i tradycji nie pisanej: u-
kazaniu Rydza-Śmigłego jako wojakowego i polity-
ka.

Za plus sakrojęzono tak szeroko przez niego
przedstawienie — oparte głównie na źródłach kra-
jowych — uznaliśmy uszczelnienie się arbitralnych
ocen i cenzurę, zachowanie dystansu do obywatel-
nej postaci.

Największy niedosyt sprawia — moim zdaniem —
deklarowana przez autora weryfikacja utrwalonych
stereotypów, o których wspomnieliśmy. Drogi zostały
jednak przetarte.

Następne publikacje z pewnością wzbogacą i ko-
bietykują jeszcze bardziej prawdę o tragizmie tej
postaci, która nie sprostała roli, jaką jej wyznaczy-
ła historia.

JANUSZ KOZŁOWSKI

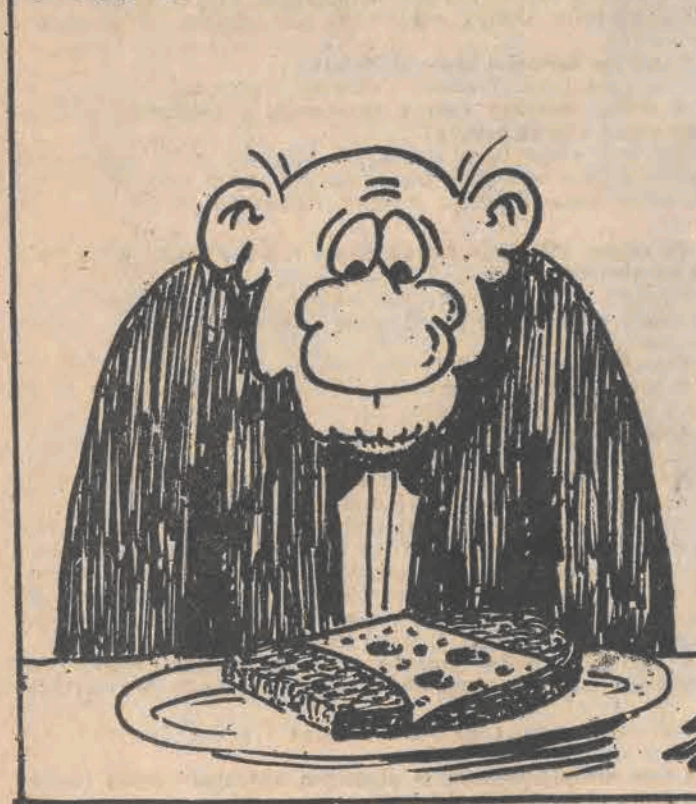
I ty zostaniesz manipulatorem

Wydawcą książki „Caroniego” jest Łódzki
Dom Kultury i Krajowy Klub Iluzjonistów.
Pozycja ta, nie odbiegająca estetyką i kulturą
sztuki drukarskiej od profesjonalnych wyda-
nictw, powstała w nakładzie 25 tysięcy egzem-
plarzy w Pracowni Poligraficznej ŁDK. Tak
więc po oficynach wydawniczych związkowych
i studenckich przybyło wydawnictwo, sponsoro-

W. KUPISZ

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PRESTIDEGUSTATOR



Rys. Sławomir Łuczynski

TWARDA WALUTA? A KYSZ!

Festiwalu polskiego posmakowa-
liśmy i każdy może go dziś
ocenić według własnych miar.
Poprzedziły go jednak rozliczne
perturbacje, jakie przeżywał dy-
rektor polskiej Estrady, Wła-
dysław Bartkiewicz. Otóż, jak się
okazało, właściciel szwedzkiej
firmy sprzętu elektronicznego
ABBA — w zamian za znaczek
firmowy, który ozdabiałby sce-
nę amfiteatru opolskiego, a za-
tem i możliwość wejścia na pol-
ski rynek — gotów był ufundować
kilka wysokiej klasy tele-
wizorów kolorowych dla na-
lepszonych wykonawców i dla ko-
zów z publiczności. Chciał więc
płacić także twardą walutą i to
ponoć wcale pokazuje sumy. Dla
organizatorów tego rodzaju im-
prezy, która kosztuje ponad 85
milionów złotych, a bogactw
tych sponsorów, taka oferta mu-
siała być bardzo niecenna, tyle że
jej przyjęcie okazało się w na-
szych warunkach wcale nie tak
łatwe proste. Bo oto dyrektor każ-
dego estrady może, rzecz jasna,
przeprowadzać wszelkie operacje
finansowe jednakże tylko w...
polskiej walucie. Aby nie stracić
bogatego sponsora dyr. Bart-
kiewicz — tak zapowiadał przed

festiwalu — szukał różnych po-
średników, którzy w małej skali
legalnych paragrafów mogą do-
konywać operacji: waluta twarda
— nasze złotówki, albo to-
war za towar.

Dziś już wiemy, czy znaczek
firmowy ABBA zdobył scenę am-
fiteatru, a więc czy zwyciężył
zdrowy rozsądek. Lecz nie spo-
sób w związku z tym nie za-
uważać, iż podany wyżej przy-
kład dowodzi sytuacji dość para-
doksalnej: jeden chce dać, drugi
chce wziąć, obu się to opiera, a
nie wolno iść takich paradok-
sów trzeba będzie jeszcze prze-
zwyciężyć, aby nastąpił czas roz-
sadku?

JAK ZWYKLE ZAPRACOWANY

Jerzy Bińczycki, nasz znakomi-
ty aktor powiedział: jestem po-
premierze „Fryderyka drugiego”
Nowaczyskiego w reżyserii Jana
Nowaka w teatrze „Stu”,
gdzie gram z obchodzącym ju-
billeusz Jerzym Nowakiem.
Kontynuuję zdjęcia do cie-
kawie zapowiadającego się
filmu Jana Kidawy-Błońskiego
„Wiecej niż miłość”, w którym
gram jedną z głównych ról.
Przygotowuję się do trzech
spektakli telewizyjnych: „Ostat-
nia Jagiellonów” Jerzego Mi-
rowskiego — tak zapowiadał przed

Witolda Gombrowicza” Walde-
mara Zyskiewicza w reż. An-
drzeja Maja oraz „Miecz obo-
jętny” Jerzego Zawieyskiego w
reż. Tadeusza Malaka. Ponadto
w teatrze „Stu” z Janem No-
wickim przygotowuję się do
sztuki Paula Berza „Kolejka na
cztery ręce”, a z Anną Dymną
— do „Listów Sobieskiego do
Marysieńki”.

SENSACJA SEZONU TEATRALNEGO

Za taką sensację uznana zo-
stała we Wrocławiu głośna pra-
remiera powieści Anatolija Ry-
bakowa „Dzieci Arbatu” na
scenie Teatru Polskiego. Chociaż
teatr ma 1212 miejsc to, jak
głosi fama, kolejkowe komitety
ustawiały się po bilety już na
wiele dni przed premierą. Wro-
cławska inscenizacja — według
adaptacji scenicznej Siergieja
Kokowkina (w reżyserii dyrek-
tora tej sceny Jacka Bunscha —
poprzedziła wydanie książkowe
zapowiedziane przez „Iskry”). W
Związku Radzieckim książka
Rybakowa czekała na ukazanie
się 20 lat i zanim ją wydano po-
większyła się do 3 tomów, zaś
nad tomem 4 pisarz pracuje ak-
tualnie.

Przy tej okazji miło nam

przypomnieć, że to na naszych
ławach zakończył niedawno
druk „Dzieci Arbatu” i nie u-
krywamy, należałoby do pierw-
szych, którzy książkę Rybakowa
przybliżyli polskiemu czytel-
nikowi.

NOWE NABYTKI

Chociaż w roku ub. za po-
średnictwem Desy, do naszych
człowych placówek muzealnych
trafiło wiele nowych i cennych
nabytków to jednak uważa się
tamtym rok za gorzki pod tym
względem do poprzedniego. Kie-
dy to zakupiono 2912 cennych o-
biektów za prawie 182 mln zł.
Główne przyczyny to rozregulo-
wany inflacja rynek, oceniany
przez coroczny raport Desy na
35 proc. oraz podwyżki ben-
zyna, srebra i kamieni szlachetnych.
Nie bez wpływu na ilość zaku-
pów są także coraz skromniejsze
fundusze muzeów. Sam fakt, że
specjaliści Desy wykonali w ub.
r. 946 kart ewidencyjnych otero-
wanych obiektów o szczególnie
dużej wartości o czynią świad-
czym.

Wypada jednak odnotować, że
mimo nie najlepszej kondycji
finansowej wiele człowych pla-
cówek muzealnych w kraju
wzbogaciło się o szereg cennych
pozycji. Obraz „Ogród Luksem-

O d kilku dziesięcioleci trwa ekspansja orkiestr kameralnych. To charakterystyczne dla naszych czasów zjawisko związane jest niewątpliwie z obecną wrażliwością na barok. W okresie międzywojennym repertuar filharmonii i teatrów operowych niemiernie rzadko wykraczał poza granice wyznaczone z jednej strony przez klasycyzm wiedeński, a z drugiej — przez impresjonizm i neoklasycyzm. Dzieła wcześniejsze niż symfonie Haydna, a późniejsze niż poematy Debussy'ego i Ravela, tylko sporadycznie pojawiały się na estradach. Wyjątek czyniono co najwyżej dla oratoryjnych kompozycji Bacha i Haendla.

Sytuacja zmieniła się tuż po II wojnie światowej, wraz z renesansem muzyki Vivaldiego, Telemanna i innych twórców XVII i XVIII stulecia. Moda na barok sprawiła, że zaczęły powstawać niewielkie zespoły specjalizujące się w wykonywaniu tej muzyki — np. „Virtuosi di Roma”, zespół A. Janigro i R. Barszaja, późniejsza „Academy of Saint Martin in the Fields”. Jednym z pierwszych ансамbli polskich było „Con moto et cantabile” T. Ochlewskiego. Niebawem powstał do życia swój zespół K. Teutsch, zainicjowany

Pro Musica

też działalność „Cappella Cracoviensis”, „Cappella Bydgoszczensis”, „Polska Orkiestra Kameralna”, Orkiestra Kameralna PR i TV w Poznaniu, Wrocławskie Orkiestra „Leopoldinum”. Owe dynamicznie działające ansamble rekrutowały się z zyczącej z młodych i ambitnych instrumentalistów, stawiających sobie za cel osiągnięcie w wspólnym muzykowaniu jak najwyższego poziomu odwończego. W ślad za repertuarem dawnym poszła zresztą wykonywanie utworów współczesnych.

W Łodzi już w 1962 roku składowista i dyrygent, prof. Zbigniew Friemana, utworzył zespół „Pro Musica”. W niedługim czasie ta firmowana przez „Jeunesses Musicales”, smyczkowa orkiestra kameralna „dobila” do krajowej czołówki, zaś widomym potwierdzeniem pełnego profesjonalizmu stał się złoty medal przyznany z międzynarodowego festiwalu orkiestr młodzieżowych w Berlinie Zachodnim. Po przewie, jaka nastąpiła potem w działalności „Pro Musica”, pierwszy występ reaktywowanego i mającego już całkowicie zmieniony skład osobowy zespołu odbył się w naszym mieście przed 3 laty. Byłem wówczas zdania, że muzycy mają jeszcze przed sobą sporo pracy nad osiągnięciem brzmienia całkowicie wyrównanego, dającego poczucie „wspólnego oddechu” i „wspólnego pulsu” organizmu złożonego z kilkunastu instrumentalistów. Kończąc, którego wysłuchałem 18 czerwca, pozwolił mi tamta opinie zweryfikować.

Systematyczna gra w ponownie ostatnio skorygowanym i chyba już optymalnym składzie personalnym sprawiła, że dokonali się pewne zasadnicze zmiany jakościowe i przekroczony został jak gdyby przełomowy punkt w ewolucji zespołowego brzmienia. Naturalnie, przedwcześnie jeszcze byłoby uznać „Pro Musica” za zespół reprezentujący klasę najwyższą, światową. Ale dopiero teraz można mówić rzeczywiście o stabilności barwy i jednolitości frazowania smyczków. o tym, co sprawia wrażenie obcowania z czującym i reagującym jednakowo organizmem muzycznym.

Wspomniany występ odbył się nie w Łodzi, lecz w Warszawie, w pięknej sali koncertowej Zamku Królewskiego, i stanowił świetnie obchodów XX-lecia Stowarzyszenia Polskiej Muzyki Zespołowej — krajowej sekcji „Jeunesses Musicales”. Zapraszani na koncert obywateli, w części pierwszej, Concerto grosso op. 6 nr 2 Haendla i Bachowski Koncert d-moll na 2 skrzypce, w którym partie solowe realizowali Michał Grabarczyk i Robert Seka. Grabarczyk jest już artystą wytrawnym i doświadczonym, toteż jego stylowa gra nie była właściwie żadną niespodzianką. Zupełnie inaczej, niż w przypadku młodzieńczego, będącego członkiem zespołu Friemana a studiującego dopiero na I roku Akademii Muzycznej w Łodzi, Roberta Seka. Myślę, że o tym wybitnie uzdolnionym skrzypcy jeszcze nie raz usłyszymy. W drugiej, „współczesnej” części wieczoru „Pro Musica” odwoływała, pod batutą swego założyciela i kierownika artystycznego, Divertimento Bacewiczówny, 4 Sonety miłosne Bairda do słów Szekspira (śpiewał, jak zwykle znakomicie, Andrzej Hołski) oraz Lutosławskiego — Grave i metamorfozy na wiolonczelę i orkiestrę smyczkową. W tym ostatnim utworze jako solista przewidziany został znany łódzki wiolonczelista — Stanisław Firląg.

Wiele było podziękowań i oklasków zarówno dla solistów, jak i orkiestry Friemana, uznanej za dobrą i ciekawą wizytówkę łódzkiej kultury muzycznej. To naprawdę miłe.

JANUSZ JANYST

Tkanina to nie tylko sploty

Rozmawiamy z krytykiem sztuki, jurorem VI Międzynarodowego Triennale Tkaniny — KUNIKO LUCY KATO z Japonii.

Kilka razy była pani członkiem jury Międzynarodowego Triennale Tkaniny Unikatowej, jakie organizuje Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. To przypadek czy też wynik jakichś specjalnych zainteresowań?

— Na polską tkaninę artystyczną zwróciłam uwagę od momentu poznania prac Magdaleny Abakanowicz. Śledziłam jej działalność artystyczną na kilku Biennale w Lozannie i muszę przyznać, iż jestem nią bezgranicznie urzeczona. Wspierałam działania zmierzające do zorganizowania pokazu tkanin Magdaleny Abakanowicz w Japonii i z satysfakcją stwierdzam, iż twórczość polskiej artystyki bardzo się podobala moim rodom.

— Jest pani znanym w świecie krytykiem sztuki, a ludzie na co dzień zawodowo zajmujący się jej problemami niełatwo poddają się emocjom. Co zatem sprawiło, jaki walor prac Magdaleny Abakanowicz spowodował, że poświęciła pani jej twórczość tak wiele uwagi?

— Moje zainteresowanie rosło wraz z odkrywaniem tajemnic bogatego przesłania zawartego w kompozycjach tkackich tej artystki. Gdy w Kłoto prezentowane były tkaniny Magdaleny Abakanowicz, to poproszono mnie o przełożenie tekstu artystki, będącego komentarzem do jej twórczości. Artykuł o charakterze traktatu filozoficznego zawierał poglądy, które są mi bliskie. Czytając go, odkrywałam po raz drugi prawdy, jakie poznałam studiując filozofię na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych. Owe prawdy nie dotyczyły splotów ani faktury czy kompozycji tkaniny, ale czegoś głębszego, bardziej istotnego. Magdalena Abakanowicz zajmuje się w swojej twórczości problemami, które są i pozostaną fundamentem sztuki, a więc nieustannie odkrywaniem prawd i zasad stanowiących o istocie życia człowieka i przyrody. Twórczość Magdaleny Abakanowicz prezentuje te wartości, które ja, jako krytyk, cenię.

— A obecne Międzynarodowe Triennale, czy na wystawie znalazły się prace posiadające również te wartości, jakich pani od sztuki oczekuje? Jaka jest pani ocena tej imprezy?

— Nie ma tak dużej różnorodności propozycji, takiego bogactwa rozwiązań formalnych, tak wielu interesujących pomysłów, jakie stanowiły o obliczu i charakterze poprzednich wystaw Triennale. To sugerowało, że w tym miejscu miało być miejsce dla twórców, choć muszą przynajmniej, iż nie jest ono całkowicie sprawiedliwe. Sztuka ma ten niezaprzeczalny walor, że trzeba z nią obcować wielokrotnie, za każdym razem odkrywając nowe znaczenie. Inne zawarte w niej przesłania. Nie zawsze pierwsze spotkanie, pierwszy kontakt z dziełem sztuki pozwala na wnikiwie wniknięcie we wszystkie jego tajemnice. Często bywa wręcz przeciwnie. Ja, już po przyznaniu nagród, byłam na wystawie kilkakrotnie i muszę wyznać że wstydem, że znalazłam kilka co najmniej prac bardzo cennych, ciekawych, na które nie zwróciłam należytej uwagi.

— Który to prace?

— Te nadesłane z rubieży świata, odwołujące się do specyfiki krajów, w których powstały, do ich krajoznawstwa, zabudowy, tkawice głęboko w tradycjach swojej kultury, mentalności.

— Wspomniła pani o mniejszej różnorodności prac składających się

na obecną ekspozycję Triennale. Wydaje się, że wynika ona również stąd, iż nie ma tak wielu wyraźnych zbliżeń poszczególnych tkanin z określonymi prądami czy kierunkami we współczesnej sztuce. Na pewno więcej niż poprzednio jest przykładów zastosowania niekonwencjonalnych tworzyw, głównie papieru, niemniej jednak wydaje się, że tkawice spokorniejsze, są mniej rewolucyjne. Obserwuję się nawrót do tradycyjnych funkcji tkaniny, która, po prostu, wraca na scenę.

— Pod hasłem powrotu tkaniny na scenę odbywało się ostatnie Biennale w Lozannie. Aczkolwiek sadzę, że zawsze są artyści, którzy lepiej będą się czuli poprzez osadzenie w tradycji i tacy, którzy odczuwają potrzebę zmian, rewolucjonizowania uprawianej dziedziny sztuki. Natomiast ocena Triennale, poziom tej wystawy, to zupełnie inny problem. Sedno sprawy tkwi w zasadach organizacyjnych imprezy, czy też raczej w odpowiedzialności poszczególnych konsultantów, do których organizatorzy Triennale zwracają się z prośbą o wskazanie i wydelegowanie artystów. Otóż najczęściej prace konsultantów ograniczają się do ustalenia nazwisk artystów, gdy tak naprawdę powinna mieć szerszy wymiar, powinna obejmować zarówno wybór artystów, jak również ich konkretnych prac. Pozwoliłoby to uniknąć takich przypadków, jakie zdarzają się obecnie, gdy bardzo dobry artyści reprezentowani są miernymi dziełami.

— Może zatem problem tkwi również w odpowiedzialności samych twórców, w ich podejściu do łódzkiej imprezy.

— Na pewno też. Dobrze by było, aby wzrastająca ranga Triennale obowiązywała twórców do maksymalnego wysiłku. Choć z drugiej strony, prestiż i wymiar imprezy zależy od jakości i poziomu wystawionych prac. Występuje tu zatem swoiste sprzężenie zwrotne, o którym nie można zapominać. Chociaż moja osobista refleksja dotyczyła tej imprezy jest następująca: uważam, że istnieje w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wyjątkowa atmosfera dla tego typu światowego festiwalu sztuki tkackiej, a przede jego wynik, mimo zastrzeżeń o których mówimy, jest również wyjątkowy.

— Refleksja ta prowokuje kolejne pytanie. Dłuższe i bogatsze tradycje na światowy przegląd sztuki tkackiej organizowany w Szwajcarii — Biennale w Lozannie. Czy można je dwie imprezy porównać?

— W Lozannie warunki lokalowe pozwalają, a wręcz wymuszają tworzenie kompozycji dużych rozmiarów, monumentalnych. Uczestnicy Biennale pracują zatem niezwykle ciężko nad przygotowaniem swoich prac, i to w sensie dosłownym, bowiem dużego nakładu pracy fizycznej wymaga przygotowanie takiej tkaniny czy kompozycji. Nie znaczy to jednak, że są to zawsze dzieła sztuki najwyższej próby, mające ważne znaczenie dla rozwoju tego gatunku sztuki. Taką funkcję — propagatora nowych idei w tkawice spełniało Biennale w latach 60, gdy jednym z głównych nowatorów byli Polacy, i na początku lat 80, gdy prym wiodli Japonczycy. Ale sensacje w sztuce zdarzają się również rzadko, tak rzadko pojawiają się dzieła naprawdę wybitne. Biennale w Lozannie jest światowym przeglądem sztuki, takim, jak łódzkie Triennale.

le. Są to wprawdzie dwie różne imprezy, ale obie ważne i obie sztuce potrzebne.

— W obecnym Triennale biorą udział artyści z 30 państw świata. Nadesłano 100 prac, co zapewne stwarza wiele możliwości do porównań.

— Najbardziej wyrównany poziom prezentują prace artystów ze Skandynawii. Walor ten mają również tkaniny artystów z Ameryki Północnej, z których część w pewnym stopniu kontynuuje skandynawskie tradycje polegające na szacunku dla solidnej pracy. Amerykanów zatem interesują możliwości tkawice w samym materiale, we włóknie, i to wszystko, co można uzyskać poprzez różnorodne splatanie bądź łączenie.

— Myślę, że jest to również cecha charakterystyczna i dla polskiej twórczości tkackiej.

— Nie czuję się uprawniona do pełnej i miarodajnej oceny, ale na podstawie mojej wiedzy o polskiej tkaninie zauważam, iż młode pokolenie tkaczy chce oddać ułkon tradycji, klasycznemu gobelinowi, nie rezygnując zarazem z tych osiągnięć, jakie charakteryzują tkaninę współczesną.

— Nie mają tych dylematów Japonczycy, których fantazja wiedzy często w rejonie odległe od tradycji tkaniny. Aczkolwiek druga cecha prac artystów tego kraju jest dążenie do skondensowanej formy, cechującej również i inne gatunki japońskiej sztuki.

— W Japonii istnieją trzy grupy artystów, zajmujących się tkawicami. Pierwszą z nich projektanci, którzy zwykle tworzą z tradycyjnych materiałów, tradycyjnymi sposobami. Druga grupa to artyści pasjonujący się możliwościami tkawicymi w surowcu. Ich kompozycje są zwykle różnymi propozycjami wykorzystania tkackiego tworzywa. Trzecia grupa artystów, niekoniecznie tkaczy, to twórcy dość luźno związani z tą dziedziną sztuki. Ich prace, często oparte na określonym pojęciu, koncepcyjnym, tylko w pewien, często metaforyczny sposób nawiązują do tkaniny. Są to najczęściej kompozycje przestrzenne, o różnej filozoficznej wymowie. Ich ostatni w Japonii biorą udział w wystawach sztuki współczesnej, na których nie ma wyodrębnionych gatunków. Jest to po prostu sztuka najnowsza.

— A wartość jej na pewno w dużym stopniu zweryfikuje czas.

— Tak. Moim zdaniem, na świecie działa około 200 wybitnych artystów tkaczy. Z tej liczby zaledwie kilku można nazwać mistrzami, taką jest właśnie Magdalena Abakanowicz. A festiwałe sztuki organizowane są po to, aby szukać następców i kontynuatorów tych wielkich twórców. Następcom Magdaleny Abakanowicz czy Rebecki Medel.

Rozmawiała:

EWA KARWOWSKA

Kronika

NA ZAKOŃCZENIE SEZONU ARTYSTYCZNEGO łódzki Teatr Nowy wystawił, w Dużej Sali, głosną sztukę Ljubomira Simovicia pt. „Węgrowy teatr wopalowicia” (premiera odbyła się 25 bm.). Utwór jugosłowiańskiego dramaturga opowiada o trupie aktorów, pragnących kontynuować występy mimo wojny i okupacji. Spektakl reżyserował Krzysztof Rościszewski, scenografię zaprojektował Jan Banucha, oprawę muzyczną przygotowała Ewa Kordecka.

W CZERWCIOWYM NUMERZE WROCŁAWSKA „ODRA” zamieszcza interesujący wywiad o sytuacji polskiej książki z prezesem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” — Stanisławem Bebenkiem. Zapytany przez dziennikarkę czy ma kłopoty z cenzurą — szef czytelnikowski odczytuje odpowiedź, że w ostatnim czasie nie miał przypadku zatrzymania jakiegokolwiek książki. „Od czasu do czasu — mówi — wpadają się na jakieś „trifne” zdanie, sformułowanie czy datę. Prowadzimy wtedy rzetelną i nawet powściągliwą partnerską dyskusję z cenzurą. Prezes „Czytelnika” zdemontował również krążące po Warszawie plotki, że złożona w tej sprawie książka b. doradcy „Solidarności” Bronisława Geremka pt. „Litoté i szubienica” nie ufrży światła dziennemu.

„Ukaże się — stwierdził — może z pewnym opóźnieniem, bo nie jest to taka poezja, która ludzie będą sobie z ręk wyrwali. Rzecz dotyczy lumpenproletariatu w średniowiecznej Francji i jest interesująca dla doświadczonego kręgu odbiorców. Zresztą, jeśli mam być szczerzy — kontynuował — nie mogę powiedzieć, żeby prof. Geremek pomagał mi w wydaniu tej książki. Różne typy jego działalności politycznej w przeszłości powodowały umiarkowanie antyklasyczny stosunek do jego działań i do niego samego. To się przesłoniło na dzieło, co nie powinno mieć miejsca, ale miało. Taka była praktyka. Ta praktyka odchodzi w przeszłość. Miłej nadziei, że na trwałe”.

Stanisław Bebenek poinformował też, że miłośnikom ukaże się — wydana ongiś w tzw. drugim obiegu — książka wspomnień Igora Nawieriego — „Zostało uczty bogów” (fragment tych wspomnień drukowaliśmy w naszym tygodniku).

Z UZNANIEM POWIĄC NALEŻY INICJATYWĘ łódzkiego Centrum Kultury Młodych wydawania stałego petyckiego almanachu pod nazwą „Prezentacje”. Służby on będą promowały twórczość petyckiej najmłodszej generacji pisarskiej, pobawionej często, ze względu na trudności poligraficzne, możliwości prezentacji swoich twórczych dokonań. Trafili właśnie do nas pierwszy jego zeszyt („Prezentacje” 48), zawierający m. in. wiersze Andrzeja Arcewskiego, Anny Blumental, Marka Czuku, Mirosławy Mariniow, Henryka Zasławskiego — i wielu innych — i interesujące się zapowiadających młodych poetów.

Osobny dział — w tym skromnym, rzecz jasna z konieczności wydawnictwie, poświęcony został zwycięcom konkursów i turniejów literackich (organizowanych przez CKM w roku 1987).

Wybora wierszy dokonał Henryk Zasławski, konsultacja Macieja Świerkockiego.

Nadmienimy przy tej sposobności, że z Centrum Kultury Młodych stałe współpracują, włącznie z „Ogłoszami” — Henryk Pustkowiak, Grzegorz Ganda i Maciej Świerkocki.

W ŁÓDZKIM MUZEUM KINEMATOGRAFII (pl. Zwycięstwa 1) otwarta została dotychczasowa wystawa prac uczniów Liceum Sztuk Plastycznych i Politechnicznego Technik Teatralno-Filmowych. Ciekawie rekwiety i akcesoria teatralno-filmowe wykorzystane zostaną w filmach realizowanych w łódzkiej wytwórni.

NIEBAWEM POJAWI SIĘ W KIOSKACH „RUCHU” jubileuszowe wydanie miesięcznika „Reporter” — pod tytułem „Ciao — seks — pornografia”. („To będzie to — panowie”).

Jak oświadczył redaktor naczelny tego pisma — Wojciech Pielecki — w wydawie udzielonym „Kurierowi Polskiemu” — dla pozyskania nowych czytelników, zgodnie z ich życzeniami, redakcja gotowa jest „zmienić wszystko poza... rzędem”.

OD 14. VI. DO 2. VII. BR. — na — elającym się dużą popularnością — Festiwalu Teatrów Ulicznych w Krośnie wystąpi ST „Pstrąg” Grupa 10. Wniebia on również udział w Dniach Gdańska i w Dniach Katowic (we wrześniu).

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI (lat 82), tonaty (znana aktorka — Elżbieta Kępińska), dwóch synów, członkowie Biura Politycznego KC PZPR do niedawna wicemarszałek Sejmu PRL, wybrany na VII Plenum KC PZPR sekretarzem KC — odpowiadał będąc w najwyższych władzach partyjnych na propagandę.

Wolny czas lubi spędzać na wędkowaniu, spacerach po lesie i czytaniu książek historycznych. Dla utrzymania dobrej kondycji fizycznej pływa i uprawia gimnastykę. W wolnych dniach od pracy pisze.

WYSTAWA KARIKATUR I RYSUNKÓW STANISŁAWA IBISA-GRATKOWSKIEGO — Pod nazwą „30 lat z Karuzela” — zapoczątkowała 24 bm. swoją działalność Galeria „W przelocie” (między 14 a 19 IX piątkę wieczną prasowego przy ul. Świerkowskiej 3/5).

W tej otwarcu uczestniczyli kierownictwo Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, najbliżsi przyjaciele znakomitego rysownika, nieprzerwanie, od 30 lat związanego z „Karuzelą”, oraz animatorzy jego twórczości.

Nova Galeria ma na celu kameralną prezentację dorobku polskich karikaturników — przede wszystkim związanych z „Karuzelą”. Zachęcamy do obejrzenia tej bardzo ciekawej ekspozycji.

PREZYDENT KRAJOWY DOROCZNE NAGRODY PREZESA RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”. Mre nam donieść, że jednym z laureatów tej nagrody, i to I stopnia, został Bogusław Kneub — dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych w Łodzi (tutaj drukowany jest nasz tygodnik).

Otrzymał ją za wieloletnie osiągnięcia w kierowaniu drukarnią. Serdecznie gratulujemy! Czynimy to za szczególną satysfakcją, mając jego świetny stosunek do naszego pisma.

MUZEUM MIASTA FABIANIC zaprasza na interesującą wystawę rysunków, malarstwa i tkaniny artystycznej Grażyny Szczyrowskiej. Artystka, dyplomantka ASP w Krakowie, z bogatym dorobkiem twórczym, uczestniczyła w licznych wystawach krajowych i międzynarodowych.

RESEKIDZA OFICJNA WYDAWNICZA w Bielsku-Białej wydała poemat Emila Zagadłowicza „Dziękuję” (opisane zastrzeżenie w testamentie, że utwór ten może zostać opublikowany dopiero po roku 1989).

W GRUDNIU TEGO ROKU — pod hasłem „Język ojczysty w bogactwie swoich odmian” — odbędzie się, w Katowicach, II Kongres Kultury Języka Polskiego.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

burski” Stanisława Wyspiańskiego zakupiono dla Muzeum Narodowego w Krakowie. „Kompozycje” Henryka Stażewskiego — dla Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, portret Ernesta Augusta Constantina dla Zamku Królewskiego w Warszawie. Szereg cennych nabytków pozyskały także łódzkie placówki muzealne — Muzeum Włókiennictwa np. wzbogaciło się o francuski gobelin z XVIII w. przedstawiający Muzy, zaś Centralne Muzeum Kinematografii — projektor i kamerę filmową z początków naszego wieku.

I jeszcze jedna ciekawostka: do Muzeum Orlę Polskiego w Kolobrzegu trafiła jedna z dwóch odnalezionych w ubr. niemieckich maszyn szyfrujących „Enigma” druga posiada Muzeum Okręgowe w Toruniu.

W zasadzie już od roku obo-

wążywały wtedy w hitlerowskich Niemczech liczne zakazy nauczania, wystawiania, a nawet malowania wydane wielu artystom. Istniały też dwie pokazowe ekspozycje w Monachium, które otworzył sam Hitler inaugurując w lipcu 1937 r. działalność Domu Sztuki Niemieckiej oraz I Wielką Wystawę Sztuki Niemieckiej. Niejako negatywnym wzorcem towarzyszącym pokazowi zdrowego, germańskiego ducha — jak pisano — była „Wystawa sztuki żyrodniawej”, na której przedstawiono liczne skomplikowane dzieła Chagala, Mondriana, Kandinskiego i 109 innych artystów. Wystawa obciążała cztery miasta — obejmowała 10 ok. 2 mln osób, zaś wystawę „pozytywną” niespełnia pół miliona.

Działająca w Niemczech specjalna komisja, powołana przez Hitlera na rok przed wspomnianą ustawą, skonfiskowała 16 tys. dzieł sztuki w muzeach i galeriach Niemiec i Austrii. Polowano na prace Żydów oraz na tzw. białych, czyli ludzi o zdeprawowanej — zdaniem nazistów — mentalności, lewicowców i liberałów. Była to także walka ze sztuką nowoczesną. Na liście proskrypcyjnej obok Braque’a, Cezanna, Ernsta, Matisse’a i Picassa znaleźli się także Oskar Kokoschka, Karl Schmidt-Rot-

luff i inni. Podobny los spotkał dzieła „nieprawomyślnych” pisarzy i innych twórców. 5 tys. obrazów, grafik i rysunków spłonęło w marcu 1939 r. na terenie berlińskiej straży pożarnej, podobnie jak miliony książek sześć lat wcześniej.

RECEPTY Z CZASÓW FARAONÓW

Już od 20 lat trwają prace ratownicze starodruków i rękopisów, które w 1986 r. podczas gwałtownej powodzi na rzece Arno zostały zalane w magazynach Biblioteki Narodowej we Florencji. Ofiarą powodzi padło wtedy 60 tys. tomów. Połowę ksiąg już orestaurowano. Włoskim uczonym pomagają eksperci wielu krajów. Księgi są starannie, strona po stronie przemylwane, suszone i nasączone substancjami konserwującymi. Specjaliści dokonują cudów, ale w jednym przypadku okazali się bezsilni: zawilgocenie ksiąg spowodowało zmiany barwy wielu starodruków oraz XIX-wiecznych grafik.

Egipcjacy chemicy z Uniwersyteku w Kairze przywieźli kolekcję preparatów ziołowych, w tym wywary z traw jakich używano jeszcze w czasach faraonów do balsamowania i konserwacji. Wywary te przywróciły pierwotne barwy księgom i rydnomi.

Fraszki

ADAM OCHOCKI

Z TRYBUNY

1.

Nie musisz zerkać na zegarka tarce,

gdy się wyrywasz w roli oratora.

Na twarzę popatrz, to już ci wystarczy,

bo one wskażą, że odpłynął pora.

2.

Gdyś wsiadł na trybunę, to jeszcze nie znaczy,

żeś już przeszedł stanął wyżej od słuchaczy.

3.

Wstęp był ciekawy, ale koniec na tym,

bo potem mowa popłynęła drętwa,

wstęp ozdobił z dzieł różnych esyaty,

dalej, nieśmiały, myśliśki prelegenta.

KOPALNIA ZŁOTA

Moja żona, zmartwiona tym, że kolejne pięćdziesiąt rubli wysłane na adres więźnia lefortowskiego wróciło z powrotem, pojechała do Moskwy. W informacji NKWD na Lubiance zakomunikowano jej, że jako przestępca, który nie wykazał skruchy ani żalu, zostałem skazany, ale z prawem prowadzenia korespondencji, i że na pewno napiszę, jak tylko przyjadę do jednego z obozów w rejonie Magadanu.

Żona udała się do adwokata, napisała i złożyła skargę do Sądu Najwyższego. Udało jej się dotrzeć nawet do głównego prokuratora wojskowego. Ten rozłożył tylko ręce, ale wyślanie skargi zaaprobował.

Po powrocie do Saratowa żona otrzymała mój list ze Swierdłowska napisany dziesięć dni wcześniej. Mnie jednak wysłany do żony nie mógł zadowolić. Byłem przekonany, że żona nie wie o moim zachowaniu się w czasie przesłuchiwań i o skierowaniu mnie na Kolywę. Szukałem okazji, aby wysłać nielegalny list, w którym mógłbym napisać prawdę o mojej sprawie.

Jeden z pięciu więźniów kryminalnych jadących w naszym wagonie miał niewielki kawałek gryfła od ołówka, który ukrył przy rewizji; więzień ów zgodził się sprzedać mi go za dwie paczki machorki. Wziąłem w sklepie dwie paczki machorki i dwie książeczki bibułek papierosowej, oddałem mu machorkę, wzięłem ołówkę i na cienkich kartkach napisałem list, numerując każdą kartkę. Kopertę zrobiłem z papieru, w który zawinięta była machorka, i list zalepiłem chlebem. Ażby listu wyrzucono go z wagonu wiatr nie uniósł gdzieś w krzak, przywiązałem do niego wyciągniętymi z ręcznika nitkami skórkę chleba, a pomiędzy kopertę i skórkę włożyłem rubla i cztery kartki z napisem: „Proszę tego, kto znajdzie kopertę, aby przylepił znaczek i wrzucił list do skrzynki”. Przejeżdżając przez jakąś wielką stację, usiadłem przy oknie wagonu i niepostrzeżenie wyrzuciłem list, kiedy mijaliśmy ostatnią zwrotnicę; obawiałem się, że jeśli ktoś podniesie go przy świadcach, list nie zostanie wysłany zgodnie z adresem, lecz dostanie się do rąk jak najmniej powołanych.

Podąż powoli widzieliśmy nas na wschód. W celu przeprowadzenia dezynfekcji nasz nieszczesny transport przystawał w Nowosybirsku, Irkucku i Cytie. W obawie, aby kryminalni („urkowie”) nie okradli mnie w łazni, myślałem się prawa ręką, w lewej zaś trzymałem pieniądze. Pamiętam — było to w Irkucku — po umyślnym szliśmy do szatni. Niespodziewanie jeden z kryminalnych podał mi nogę i obalił na ziemię, dwaj inni zaś silnie rozwarli mi zaciśniętą lewą dłoń i odebrali pieniądze przy akompaniamencie głośnego śmiechu jednych i grobowego milczenia innych więźniów. Protesty czy też składanie na nich skargi było zupełnie bezcelowe.

Po drodze i na przystankach widzieliśmy wiele transportów wojskowych z ludźmi, artylerią, czołgami i samochodami na platformach. Nie wiedzieliśmy, dokąd jada te transporty: może zaczęła się wojna z Japonią? Obawiałem się, że jeśli Japończycy zwiążą nasze siły na wschodzie, Niemcy uderzą z zachodu...

Wszystkie te wyimaginowane wydarzenia laczyliśmy jakoś z własnym losem. Jedni mówili: jeśli zacznie się wojna, brak będzie żywności i my, jako więźniowie, zginie; drudzy znów twierdzili: nie, wtedy właśnie potrzebni będą ludzie, którzy potrafią walczyć, a więc i nas zwolnią; jeszcze inni zapewniali, że nie zawiozą nas teraz nad Kolywę, ponieważ droga jest zamknięta... Nas, wojskowych, bardziej niż własny los, niepokoiła inna sprawa: jeśli istotnie zaczęła się wojna, to ileż niepotrzebnych strat poniosą oddziały i związki taktyczne z powodu aresztów, pozbawione doświadczonych dowódców!

Minąwszy Nercyńsk nie napotkaliśmy już transportów wojskowych. Myślałem więc, że najpewniej wojska posuwają się w kierunku Mongolii. Istotnie, rozpoczęły się wówczas działania wojenne nad Chalcin-golem. Dowiedziałem się o tym o wiele później.

Na początku lipca 1939 roku przywieziono nas nareszcie do Władywostoku i rozmieszczono nas w miastach w drewnianych barakach otoczonych drutem kolczastym. Znajdowało się tam sporo więźniów, którzy przybyli przed nami. Trzymano nas tu z dziesięć dni. Dowiedzieliśmy się teraz po pierwsze, że nie ma żadnej wojny z Japonią, po drugie zaś, że wiozą nas nad Kolywę. Trzymano nas tu tak długo tylko dlatego, że czekali na inne transporty, aby było dość ludzi na załadowanie dużego statku.

Pewnego razu usłyszałem wołanie dyżurnego w obozie: „Kto się zgłasza do roboty? Kto chce nosić wodę do kotłów z wrzątkiem?” Stęskniony za jakąś robotą, natychmiast się zgłosiłem. Balem się, aby kto inny nie otrzymał tej pracy, ale na szczęście nie miałem konkurentów.

Wodę dla więźniów gotowano w dwunastu wojskowych kuchniach polowych starego typu, stojących w pobliżu baraku, do studni zaś było stamtąd około stu metrów. Znalazłszy się z dala od ogólnego zgłędu, nie widząc smutnych twarzy, nie słysząc jęków i utyskiwań, uspokoiłem się nieco, rozprostowałem ramiona i z wielkim zadowoleniem przystąpiłem do pracy. Była piękna pogoda, świeciło słońce, wiał przyjemny wiaterek. Odpiałem kelnierzy bluzę, stanąłem na wietrze i z rozkoszą wchłaniałem jego świeży powiew.

Skazany za przestępstwa na szkodę osób prywatnych brygadziści robotników pracujących przy kotłach, widząc moją goślawność, powiedzieli, że będzie mnie zawsze zwoływał na robotę. Byłem z tej pracy zadowolony, starałem się jak mogłem, pracowałem w dzień i w nocy, a do baruku siedłem tylko na kontrole i żeby coś zjeść.

Któregoś ranka przyszła po wrzatek duża grupa kobiet. Każda trzymała w ręku po dwa wiadra. Dowiedziałem się od nich, że przybył transport kobiet skazanych z paragrafu 58. Dowódca 7 korpusu kawalerii Grigoriew aresztowany został rok temu: nie było wykluczone, że wśród przybyłych kobiet znajduje się także i jego żona. Jeszcze będąc na wolności słyszałem o tym, że często najpierw aresztowano męża, a potem żonę. Zapytałem więc te kobiety, czy nie ma wśród nich Marii Andriejewny, żony dowódcy korpusu Grigoriewa.

— Nas jest tak wiele... Nie wiemy, czy jest tu taka — odpowiedziała jedna z kobiet. — A co jej powiedzić, jeżeli ją odnajdziemy? — Powiedzieć, żeby przyszła po wrzatek jutro

Represje stalinowskie w 2 połowie lat trzydziestych bardzo osłabiły armię radziecką. Obliczenia generała-lejtnanta A. Todorskiego są wstrząsające. Spośród pięciu marszałków zginęło trzech (M. Tuchaczewski, A. Jegorow, W. Blucher), spośród pięciu dowódców pierwszej rangi — trzech, dziesięciu dowódców armii drugiej rangi — wszyscy, pięćdziesięciu siedmiu dowódców korpusu — pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu sześciu dowódców dywizji — stu pięćdziesięciu czterech, czterystu pięćdziesięciu sześciu pułkowników — czterystu jeden, spośród szesnastu komisarzy wojskowych pierwszej i drugiej rangi na szczeblu armii — wszyscy, dwudziestu ośmiu komisarzy korpusu — dwudziestu pięciu, sześćdziesięciu czterech komisarzy dywizji — pięćdziesięciu ośmiu. („Ogoniok”, 26/1987, s. 6) Generał armii Aleksander Wasilewicz Gorbatow (ur. 9 marca 1891 r.) przed wojną dowodził dywizją. W październiku

1938 r. został aresztowany, a w maju 1939 r. niewinnie skazany na 15 lat więzienia plus 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu w Kolymskim Kraju.

Podczas wojny dowodził 3 armią w bitwie pod Kurskiem, walkach na terenie Białorusi, Polski i Prus Wschodnich. W kwietniu 1945 r. otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie był komendantem Berlina, dowódcą wojsk powietrzno-desantowych, dowódcą Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego (1954—58), a następnie wojskowym inspektorem i doradcą. Jego wspomnienia pt. „Lata pokoju i wojny” opublikowało w niewielkim nakładzie (10 tys. egzemplarzy) wydawnictwo MON. Drukujemy piątą rozdział pt. „Tak było”. Mam nadzieję, że autentyczna relacja gen. A. W. Gorbatowa zainteresuje naszych Czytelników.



rano, że chce ją zobaczyć Gorbatow, dowódca dywizji.

— Dobrze zapytam — rozległy się głosy.

Kiedy nazajutrz rano kobiety znowu przyszły po wrzatek, była wśród nich wprawdzie nie żona Grigoriewa, ale bratanica, która wychowywała się u nich od dzieciństwa, a potem wyszła za mąż za Brzozowskiego, szefa oddziału specjalnego dywizji. Najpierw aresztowano jej męża, a wkrótce potem i ją.

— Oto gdzie się spotykamy, Aleksandrze Wasilewiczu.

— Tak, Luboczka. Nie spodziewałem się, że zobaczmy się kiedyś w takich okolicznościach. Oskarżono ją o szpiegostwo, skazano, i oto jechała teraz nad Kolywę.

Udało nam się jeszcze jeden raz porozmawiać przez druty kolczaste.

Nasz oboz etapowy wypełniał coraz to nowi ludzie przybywający tu naszymi transportami. Wkrótce przewieziono nas do zatoki Nachodka, załadowano na statek „Dżurma” i odpłynęliśmy do Magadanu.

Kiedy statek oddalił się od lądu, smutek i beznadziejna rozpacz z jeszcze większą siłą opalały nieświadomych ludzi. Nawet mnie, chociaż wciąż nie przestawałem wierzyć, że zostanę zwolniony, ogarnęła chwila uczucia straszliwej beznadziejności.

Na statku było nas około siedmiu tysięcy. Siedzieliśmy w ładowni między grodziami. Od czasu do czasu wyprowadzano nas na pokład, abyśmy mogli oddychać świeżym powietrzem. Pewnego razu w czasie spaceru na pokładzie ujrzeliśmy, że nasz statek posuwa się cięśniną La Perouse’a. Z prawej strony widniały brzozy Japonii, z lewej zaś — południowa część Sachalina, zagarnięta przez Japończyków w latach 1904—1905. Ogarnął nas jakiś niepokój, że wzruszenia mówiliśmy szepem. Myślałem: jeśli nas nie zwolnią przed wybuchem wojny z Niemcami i Japonią, to się stać nie wydołamy: cięśnina zamknięta będzie dla naszych statków i pozostanie jedyną małą prawdopodobną drogą — samolotem.

Aż do cięśniny La Perouse’a pogoda była piękna, ale kiedy wplynęliśmy na Morze Ochockie, zaczęły się sztormy, kołysało nas w okropny sposób i fale młotały naszym statkiem oceanicznym jak piorunki. Chociaż młilo mnie mniej niż innych, ja również chorowałem, gdyż w ładowni było bardzo duszno, a podczas sztormu nie wypuszczano nas na pokład: kapitan i komendant konwoju obawiali się, że fala może kogós zmyć, a potem, odpowiadając człowiekowi, jeśli rachunek się nie zgodzi.

Na Morzu Ochockim przytrafiło mi się nieszczeście. Wczesnym rankiem, kiedy już nie spałem, podszedło do mnie dwóch kryminalnych i wyciągnęło mi spod głowy buty. Jeden z nich uderzył mnie mocno w brzuch i głowę i rzekł dźwięcznie: „Dawno już sprzedajesz mi te buty i

pieniądze wzięłeś a butów mi nie oddajesz”. Śmiejąc się, poszedł sobie. Zrozpaczony, siedziałem z nimi, zatrzymali się więc i zaczęli znowu okładać na oczach przerażonych ludzi. Inni „urkowie” patrzeli na to śmiejąc się i krzyżeli: „Dobrze mu tam! Czego się dze? Buty od dawna nie twoje”. Tylko jeden z więźniów politycznych odezwał się: „Ludzie, co robicie? Jakże on będzie chodził — boso?” Wówczas jeden z grabieżców rzucił mi swoje stare kapcie.

Niezależnie od opowiadania o bestialskim chamstwie kryminalnych, nie przypuszczałem jednak, że pozwalają sobie na tak bezkarną grabież w obecności innych więźniów.

Tak czy inaczej, zostałem bez butów. Wiedziałem, że skarczenie się komukolwiek było rzeczą zupełnie bezcelową. Strażnicy łącznie ze swym komendantem dobrze żyli z kryminalnymi i korzystali z ich usług, kiedy chcieli się znieść nad „wrogami ludu”.

Moim sąsiadem na przycy był wybitny inżynier, który wiele razy jeździł za granicę — L. Loginow. Zaprzyjaźniliśmy się i często dyskutowaliśmy na różne tematy. Najprzyjemniejszą porą dnia było owe pół godziny, kiedy nas wyprowadzano na pokład, abyśmy odetchnęli świeżym powietrzem.

W ciągu tych siedmiu ciężkich dni podróży morskiej otrzymywaliśmy suchy prowiant, który docierał do nas w bardzo okrojonej postaci. Dawano nam także trochę wrzasku. Wielu nie mogło znieść takiego pożywienia i chorowało.

Zmniejszająca się prędkość statku, słabnąca praca silnika, biegająca po pokładzie i krzyki świadczące o tym, że zbliżamy się do brzegu, oto stanęły maszyni i słychać tupot nog na naszych głowach. Po godzinie otwarto ładownię i rozległa się komenda:

„Wychodzić na pokład!” Zaczęło się zwykłe ustawianie płatkami i przekazywanie ludzkiego ładunku nowemu konwojowi.

Przed nami leżało niewielkie niedawno pobudowane miasto, za nim wznosiły się góry. Znowu komenda: „Naprzód marsz!” — i więźniowie ruszyli kolumną w nieznana drogę, rzucając ostatnie spojrzenie na morze i na statek.

Każdy myślał najpewniej o tym samym: czy jeszcze raz zobaczy do morza, czy będzie płynął tym statkiem w bardziej szczęśliwych okolicznościach?

Przybyliśmy do Magadanu, głównego miasta Kraju Kolymskiego. Ktoś, kto widać znał już te okolice, zaśpiewał cichutko:

Kolyma, ach, Kolyma,
Dziwny z ciebie kraj!
Dziesięć miesięcy zima,
Dwa — ciepłe niby raj.

Magadan nie przywitał nas tęczawie: mżył deszcz, chłód przenikał nas na wskroś, wyboje na drodze pełne były wody. Szliśmy w milczeniu, pogrążeni w myślach. Przechodnie nie

zwracali na nas uwagi: do takich obrazków mieszkańcy Magadanu już przywykli.

Mój kapcie ugrzązł w kałuży. Nachyliłem się, żeby go wydobyc, co zahamowało ruch kolumny. Zdzieliłem mocno pięścią, zwałem się w kałużę. Sąsiedzi pomogli mi wstać, porządek w kolumnie został przywrócony. Spojrzałem na konwojenta z wyrzutem, ale nawet tego nie zauważył.

Po łaźni i pobieżnej dezynfekcji podzielono nas na grupy i, z wyjątkiem obłożnie chorych, skierowano do kopalni odległych o 500 do 700 kilometrów od Magadanu.

W lipcu 1939 roku przybyłem do kopalni Maldiak odległej o sześćset pięćdziesiąt kilometrów od Magadanu. Jechaliśmy samochodami: pięć dni, pierwsze czterysta pięćdziesiąt kilometrów — bitą szosą, pozostałe dwieście — drogą gruntową. Droga biegła poprzez pagórkowatą miejscowość porośłą modrzewiem, osiką, brzozą i cedrem syberyjskim. W czasie postoju chętnie rzucał się na dojrzałe szyszki cedru i rozbiliśmy zapasy na drogę. Zapuszczanie się w głąb lasu było wzbudzone pod groźbą śmierci.

Oddaliliśmy się coraz bardziej od Magadanu w głąb nie znanego nam kraju. Wznosząc się coraz wyżej nad poziomem morza, rzadko napotykalismy ludzkie ślady. Z przełęczy, chociaż ciężko nam było na sercu, podziwialiśmy mimo woli wspaniałe widoki górskie. Jeden z więźniów, przeplatając zachwyt gorzką ironią, zawołał:

— Patrząc, jak wysoko wyniosły nas losy! Czy oglądaliśmy takie piękne widoki, gdyby nas nie zesłano?

— Losy? — zauważył ktoś. — No cóż, można to i tak nazwać. Jak w pieśni: „To wyniesie nas bardzo wysoko, to rzuci gdzieś w przepaść bez dna...”

Innemu znowu, który patrzył na niskie powyrwane drzewa, nasunęło się smutne porównanie:

— Nas tak samo zegną tam, dokąd jedziemy.

— Ależ nie, najgorsze mamy już poza sobą — odpowiedział mu, jednakże bez głębszego przekonania.

Na przełęczy dał tak silny wiatr, że przy każdym zakręcie o mało nie wypadaliśmy z samochodów. Zauważyłem, że widocznie woły gospodarz tych gór nie jest zachwycony przejazdem niewolników.

— Tak — odpowiedział ktoś z siedzących obok mnie. — Ale myśmy też byli kiedyś wolni jak ten wiatr...

Próbowałem odgadnąć, kim byli owi pierwsi ludzie, którzy przyszli tu pieszo w poszukiwaniu złota. Jedni ginęli, po nich zjawiali się inni. I oto przyszła nasza kolej.

Osada obok kopalni złota w Maldiaku składała się z drewnianych domków jedno- lub kilkunastokondywnych. W domkach tych mieszkali urzędnicy. W samym obozie, otoczonym drutem kolczastym, znajdowało się dziesięć dużych podwójnych namiotów, w każdym z nich mieściło się pięćdziesięciu do sześćdziesięciu więźniów. Były tam również drewniane budynki gospodarskie: stołówka, magazyn, stróżówka, a poza drutami — drewniane koszary przeznaczone dla strażników oraz szczyby kopalniane i dwie płuczkarnie, gdzie przemycano ziemię.

Przeliczone nas i wprowadzono za druty. Po raz pierwszy od pięciu dni otrzymaliśmy gorącą strawę.

W naszym obozie było około czterystu więźniów skazanych z paragrafu 58 i około pięćdziesięciu „urków”, zatwardziałych kryminalnych przestępców mających za sobą niejedną wyrok, a na sumieniu — po kilka (niektórzy nawet do ośmiu) grabieży połączonych z zabójstwem. Tym właśnie ludziom podporządkowano więźniów politycznych.

Ziemię do przemycania przy poszukiwaniu złota wydobywano się z głębokości trzydziestu, czterdziestu metrów. Ponieważ wieczna mrozota stanowiła mocną jak granit masę, pracowaliśmy młotkami elektrycznymi. Wydobytą ziemię przewożono taczkami do windy, wywożono na powierzchnię, następnie wagonkami dostarczano do płuczkarni.

Maldiak uważany był za dobrą kopalnię, wydobywano tu w ciągu doby kilka, a czasem i kilkadziesiąt kilogramów złota. Trafiały się nie raz dość duże bryły samorodne; na własne oczy ich nie oglądałem, słyszałem tylko jak o tym mówiono: mnie udało się znaleźć jedynie trzy niewielkie samородki, największy ważył sto pięćdziesiąt gramów.

Niektórzy starzy więźniowie byli prawdziwymi poszukiwaczami złota. Zjeżdżali do szczybu z wodą i tacą do przemycania ziemi i nierzad wydobywali od dwudziestu pięciu do trzydziestu gramów złota dziennie.

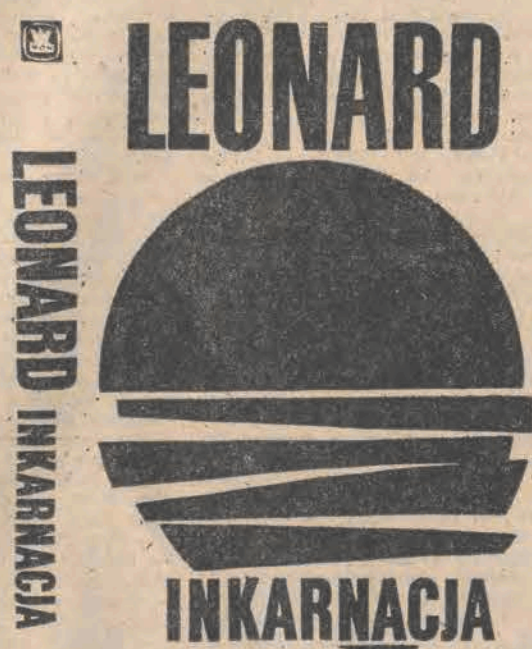
Obserwowałem ich, jak oglądają ściany szczybów oświetlając je dodatkową kieszonkową latarką. Znalazłszy odpowiednie miejsce ci mistrzowie swego fachu odpływali kawały ziemi i przemycali ją na tacy. Zdarzyło się raz, że jeden z takich poszukiwaczy nie wychodził z szczybu przez siedemdziesiąt godzin. Pożywienie i wodę przynosił mu do szczybu. W ciągu tego czasu wydobyl prawie dwa kilogramy złota.

Robota w kopalni była dość ciężka, zwłaszcza w okresie marnego wyżywienia i jego niskiej wartości kalorycznej. Do cięższych robót kierowano z reguły „wrogów ludu”. Do lżejszych — więźniów kryminalnych. Spośród nich też, jak już mówiłem, mianowano brygadzystów, kucharzy, dyżurnych i starszych do każdego namiotu. Nic też dziwnego, że ta nieznaczna ilość tłuszczy, którą przeznaczano na każdy kocioł, trafiała przede wszystkim do żołądów więźniów kryminalnych. Pożywienie dzielono na trzy kategorie — dla nie wykonujących normy, dla wykonujących i dla przekraczających normę. Do tych z reguły należeli „urkowie”, chociaż pracowali bardzo niewiele. Rachmistrz obliczający normę rekrutował się również spośród nich, toteż oszukiwał, dopisując to, co myślny wydobywali, sobie i swoim kompanom. Dlatego kryminalni byli syści, a myślni głodowali.

C.D.N.

Thumaczył:
STEFAN KLONOWSKI

Czterdzieści trzy lata później



Również tu wszystko przebiegało bezgłośnie. Słychać było tylko równomierny łoskot pracujących silników i kroki sześciu żandarmów prowadzących skazanych.

Le Cornu z Eckiem i Hoffmannem, wziętymi pod ramię, szybko weszli do budy ambulanu. O'Neill poprowadził Weispenninga.

Le Cornu nie odpowiedział. Wskazał tylko na skazanych. Kapitan wykonał zwrot, rękę przyłożył do czapki i zaszalował każdemu z nich, także skazanym. Sprawiało to wrażenie czegoś nieprawdopodobnego tego poranka, niczym w jakiejś grze, której reguły nie mogły być wymyślone przez człowieka. (...) Obok Anglika pojawił się teraz drugi mężczyzna, najprawdopodobniej tłumacz, gdyż Wulf słyszał, jak przekładał pytanie kapłana, czy skazani mają jeszcze jakieś życzenia. Jego twarz, kiedy odpowiedział odmownie, oblała się nagle bezsilnością. Był jeszcze bardzo młody. Słuchał się wzrokiem z jednego na drugiego. Jego drżąca ręka uspokoiła się dopiero na uchwycenie szabli. Postawił kolejne pytanie, tłumacz przełożył: — Nie życzycie sobie opasek na oczy?

Eck z Hoffmannem odmówili. Tylko Weispenning, lekarz okrętowy, poprosił o opaskę. Wówczas Wulf wycofał się. Słyszał jeszcze kapłana rozmawiającego ze skazanymi, widział znak krzyża czyniony nad ich głowami; ręka duchownego była jeszcze w ruchu, gdy doskoczyli żandarmi. Sześćoro brało między siebie po jednym skazanym. W ich rękach Wulf zauważył powrozy. Obrońca wykonał podświetlenie ruch, jak gdyby chciał ich powstrzymać. Z przerażeniem patrzył w ich stronę. Dopiero teraz spostrzegł trzy drewniane pale wbite w ziemię. Wyraźnie widział tylko pierwszy palec. Tylko pierwszy, do którego doprowadzono Eckę. Kiedy strażnicy odskoczyli, ujrzał go przywiązane powrozami do palec.

Przy Ecku pozostał żołnierz. W jego rękach pojawił się nagle krząkacz białego papieru, a kiedy odstał, papier przyklejony był do lewej pierś skazanego, powyżej serca.

Angielski kapitan zrobił krok przed siebie. Padły komendy. Wulf ujrzał teraz strzelców stojących dziesięć metrów od palec. W dziewięciu osobowych szykach stali odwrócony plecami do skazanych. Wulf nie mógł na to patrzeć. Gdy kapitan wydobyl szablę i padły strzały, stał jak rażony. W rękach gnił bezwiednie swój melonik. Nawet nie zauważył, kiedy go zdjął. Wokół niego panowała śmiertelna cisza.

Wtedy do uszu jego doszło coś całkowicie nieprawdopodobnego, w co początkowo nie mógł uwierzyć, co wydawało się lkaniem. A jednak nie mylił się. Był to szloch młodego angielskiego dowódcy plutonu egzekucyjnego. Trzymającego w rękach opuszczoną szablę i krzającego. Rozległ się warkot silnika. Z ambulanu za znakami Czerwonego Krzyża wyskoczyli żołnierze z noszami. Z trzema noszami nakrytymi śnieżnobiałymi prześcieradłami przemierzali szosę poranną.

W drodze powrotnej przynieśli ciała rozstrzelanych. Drzwi ambulanu zamknęły się. Spoza porannej mgły wyjrzało nieśmiało bezsilne słońce. (Z niemieckiego przełożył Leonard — przyp. „Odgłosy”).

Nie uśmiechała mi się perspektywa jazdy samochodem z Hamburga do Paryża. Byłem bliski zrezygnowania z niej, gdy oto znalazło się rozwiązanie.

Hotel Vier Jahreszeiten w Monachium. Przede mną znany pisarz zachodniemiecki, mieszkający stale we Francji, Hans Herlin ze swoją przeuroczą małżonką Marie, rodowitą paryżanką.

Jasny garnitur z przewiewnej lnianej dzianiny, szeroko rozpięta koszula, wiśniowe sandały, spalone słońcem kremowe skarpetki, na głowie gesta jeszcze biała strzecha. W przenikliwych oczach zmęczenie. Rano przyjechał z Paryża, w Monachium kanikuła. Czy tylko podróżą zmęczenie?

Podoba mi się Hans Herlin, jestem oczarowany jego francuską królową. Jest w nim Europejczyk nowego pokroju. Dużego; Europa odczytana, przesuwana siłą granic państw w lewo lub prawo, dla niego to przeszłość, dla niej zaś — ten paryski wdzięk, gdy mówi:

— Przetrwać możemy tylko wspólnie. Znać się we wspólnym grobie też. N'est pas, monsieur Leonard?

Kawa z ekspresu w Vier Jahreszeiten jest wyborna. Ciastka z pewnością — bo stronię od słodkości — też. Wierzę na słowo. I zapatrzonemu duchem w madame Marie słucham jej sławne-małżonka.

„Verdammt Atlantik” napisał w 1958 roku. Książka zdobyła uznanie czytelników niemieckich, pochlebne recenzje krytyków; szybko zgłosili się po nią wydawcy zagraniczni. Przełożona na dwadzieścia kilka języków, w tym wszystkie języki, włącznie z rosyjskim, narodów Europy Wschodniej, Hans Herlin przeprasza mnie. Nie wszystkie: polskich wydawców nie zainteresowała. Potem posypały się kolejne książki, a jak to na Zachodzie, w przypadku odniesienia

pisarskiego sukcesu bywa, nie ominęła go Fortuna. Mieszka stale w Paryżu i w jeszcze jednej miejscowości oddalonej od zgiełku wielkiego miasta.

Ala nieważne. Dla niego podjęty w książce temat był czymś oczywistym. Wszystkie wówczas oddychało jeszcze wojną. Ci, co ją przetrwali — na frontach czy w bombardowanych z powietrza miastach, różnicy nie było — każdą swoją myślą byli zakotwiczeni w tych strasznych latach. Pisanie o wojnie, obnażanie jej okrucieństwa, które przecież nie ominęło także narodu niemieckiego, było poniekąd formą samoczyszczenia. Ale dlaczego ja, Polak, podjąłem ten temat, z takim pozytywnym dla Niemca wydźwiękiem?

Odpowiedziałem. — Na ławie oskarżonych zasiadła piątka oficerów. Cudem ocalały z jaski członkowie zatopionego statku i zarazem jej niedoszła ofiara opisał sądowi pod przyszłą zachowanie każdego z nich wraz z monstrualnym lekarzem i jego przeciwnikiem, głównym inżynierem okrętu kapitanem Richardem Lenzem. Wszelkie wątpliwości, jakie są mógł mieć, odnoszące się do udziału tych ludzi w masakrze rozbitków zostały rozproszone. Wyrok dla czterech z nich mógł być tylko jeden. To zrozumiałem. Nie zrozumiałem jednak skazania Lenza na karę dożywotniego więzienia.

Szlachetny zwycięzca jest zwycięzcą wielko-dużym — nie wiem, gdzie to czytałem. Gdyby Lenz nie zdobył się na nic więcej, jak odmowę wykonania zbrodnego rozkazu — a przecież nie zapominajmy, że dowódca okrętu na morzu jest dla załogi instancją pierwszą i ostatnią — to już tylko tym, JAKO JEDYNY SZLACHETNY W TEJ SODOMIE I GOMORZE ZŁA, zasłużył sobie na darowanie mu najgorszych win.

Wielka Brytania chlubi się najbardziej humanitarnym wymiarem sprawiedliwości. Sądownicwo swoje stawia — i słusznie — jako wzór do naśladowania innym narodom. Jeśli tak, to wojennemu sądowi brytyjskiemu, skazującemu Lenza tak surowo, zabrakło, moim zdaniem, moralnej oceny jego postawy i — wielkoduszności godnej zwycięzcy szlachetnego.

Nazajutrz przystąpiłem do pisania „Inkarnacji” już nowej, opartej w swym pierwszym rozdziale na materiałach archiwalnych.

— Wystygła nam kawa — spostrzegła madame Marie.

Na zewnątrz upał, a mnie obleciała gesta skórka. Położyła dłoń na moim ramieniu.

— A pan, monsieur Leonard, wcale nie tknął swojej.

Przeniosła spojrzenie na swego zamkniętego małżonka.

Hans Herlin potrząsa głową.

— I am sorry.

Wilczy językiem spierzchnięte wargi. Czy wiem, przeszkakuje w teraźniejszość, że główną postacią jego nowej powieści, jeszcze pisanej, jest bohaterki Polak, tematem zaś heroizm Polaków w ogóle?

Cierpieć mi skórka, gdy słyszę o naszym bohaterstwie w chwilach dla narodu tragicznych i z kolei o sekciarstwie, o odwracaniu się plecami do potrzeb kraju — w codziennosci. Nie znoszę tego tematu. Pięć lat heroizmu praktykowanego straszliwie zbliżło w ciągu czterdziestu lat heroizmu gadanego, nie na moje to uszy. Taktownie słuchałem pana Hansa Herlina, ale myślałem przybywałem gdzieś indziej.

Hauptfriedhof Ohlsdorf — Cmentarz Główny Ohlsdorf. Historia Rzeszy Niemieckiej pisana grobami. Kwatery: żołnierzy poległych w 1914—1918; w 1939—1945; ofiar ataków bombowych, żołnierzy brytyjskich, policjantów, krematorium, Mauzoleum (kwatery poległych żołnierzy amerykańskich brak — zwłoki ekshumowano i zabrano za Atlantyk; nie ma też grobów ofiar obozów koncentracyjnych — te palono na miejscu uśmiercania). Od krawca do odległego o kilometry krańca porządek, porządek. Zdumiewający rozmach, architektura, wykonanie, estetyka. Najpiękniejszy cmentarz, jaki widziałem. Góry gruzu po przedwojennym Hamburgu, wywiezione za miasto, porosły już trawą i krzewami. Każde większe miasto niemieckie ma swoje Schuttfelg — góry powstałe z gruzu. Przebywam w kraju Gruzowych Gór. Nowosć w moim języku, nie zapomniałem: Gruzowe Góry. Aby stworzyć te sztuczne rzeczy, trzeba było wysłać nad ten kraj w sumie milion wielkich bombowców. Czytelnikom urodzonym już po wszystkich proponuję uruchomić wyobraźnię: milion bombowców, armada, która wypuszczona z lotnisk o tym samym czasie, zakryłaby sobą niebo połowy świata. I oto dzieło ich morderczej roboty: cmentarzyska miast zabitych w atakach z powietrza; piramidy człowieczeństwa głupoty.

Zostawiłem cmentarzyska miast, wracam na cmentarz ludzi w Ohlsdorf. Kwatery grobów żołnierzy niemieckich poległych w latach 1939 — 1945 dala wieczne schronienie rozstrzelanym oficerom U 852.

Na zewnątrz cmentarnego muru żyje pełną pierśią odrodzony Hamburg, tu — cisza. Nie umiem jej opisać. Jest tyle rodzajów ciszy, lecz ta, w moim odbiorze, nie ma sobie podobnej. Czuję, jak gdybym to ja ją stworzył. W punkcie kulminacyjnym symfonii, w szczytowym crescendo wszystkich tręb światła zerwałem batute w dół i — sz!

Wyrównane rzędy prostokątnych płyt położonych na ziemi, u góry wyrity znak żołnierskiego krzyża nagrobkowego, poniżej inskrypcja:

HEINZ-WILH.
ECK
*27.3.1915
+30.11.1945

Na płycie po prawej od Eckę:

DR. WALTER
WEISPFENNING
*17.7.1911
+30.11.1945

Płyta taka sama i nie taka sama. Wszystkie płyty jednakowego formatu, z tego samego kruszywa, zadbane, obwieńczone wiankami nieśmiertelników. Płyt w dwuseregach jest około osiemdziesiąt, ale ta, Eckę, jest jednak inna. Druciana szczytka wypolerowana do złotawego połysku, wychuchana, nieczym honorowym wartownikiem prezentującym broń ukoronowaną bukietem krwistoczerwonych róż, gerberów, wyplakanych ze swej różowości goździków. Świeżych. Krótkujących nad całą kwatery. Codziennie, latem i zimą świeżych, przynoszonych chybą przez duchy, gdyż ogrodnikowi kwatery nie udało się nikogo przyniosącego kwiaty, polewającego grób już nie tyle zauważyć, co przyłapać.

Wyrzuczone oczy, na pergaminie wygolone szczęki, pachną pralnią, chemiczną, pastą do

butów i ziemią. Zadał sobie ten trud. To przecież votum nieufności dla jego pracy. Kwiaty — rozumie, ale to pucowanie psuje cmentarną równość, to wojskowa kwatery! Nikt z rodziny pogrzebanego się nie zgłasza, sprawdzał w administracji. Bracia co do jednego wybili na froncie wschodnim, matka dawno zmarła, krewni, jeśli jacy są, nie dają znaku życia. Wobec tego kto?

— Trzeba by detektywa — wtrącił przypadkowy przechodzień. To psuje harmonię, temu się też nie podoba. A inne groby wyglądają przez to jak zapomniane.

Sto osiemdziesiąt centymetrów pod naszymi stopami przysłuchiwali się temu mój powieściowemu bohaterowi, fregatkapitan Kurt Hacke i jego zły duch korwettenkapitan Wolfgang Frauenheim. Tak za życia niepodobni do siebie, tak po śmierci zgłąchszaltowani. Ani literki różnicy na płytach. Ani słowa, że ten z lewej był taki, a ten z prawej, choć z munduru taki sam, wewnątrz był całkowicie inny. Może odwrócili się do siebie plecami. Bo Hacke dopełnił zbrodnię. W całym obiektywnym, tego słowa znaczeniu, jeśli między żywymi coś takiego jak obiektywizm w ogóle istnieje, popełnił. Sąd tego łowidła i skazał go jako zbrodniarza przeciwko ludzkości. Ale lufom plutonu egzekucyjnego spojrzeli po mesku w twarz, podczas gdy najgorliwszy przy wybijaniu bezbronnym rozbitków — co też zostało sądownie udowodnione — lekarz okrętowy skrył oczy pod opaską. Wszelkich cechów charakteryzuje to samo: buła wobec słabych, strach przed siłą.

Dyrektor pewnej redakcji Telewizji Polskiej w Warszawie, osoba znana z małego ekranu całej interesującej się literaturą telewizyjną, w pogawędce ze mną namawiał mnie do pisania dalszego ciągu „Inkarnacji”. Ma swoją ocenę powieści. Zał urywać. Jest przekonany, że znalazłaby licznych czytelników. Nawet widział dalsze koleje bohaterów.

Nie zgadzał się ze mną. Wojna, tak — przedstawiana pierwszoplanowo, batalistycznie, czarno-biało — już nie chwytą, temu nie przeczy, natomiast książki o psychice ludzi, o ich zachowaniu w dramatycznych sytuacjach, dobrze podane, szybko wciągają się na czoło światłowych list bestsellerów. A poza tym losy bohaterów tej powieści rozgrywałyby się już po wojnie. Więc pisać. Nie zarzynać złotonośnej kury.

Wykluczyłem tę możliwość. Wojna dla mnie skończona. Nie wyobrażam sobie wręczywania się znowu w jej trzawia. To w końcu prawie pół wieku temu. Dosyć! Byłem zresztą już zaangażowany w pisanie czegoś lepszego. O miłości. Jaka się zdarza tylko we snach. Koszmarnych.

Upór tego pana nie zda się na wiele. „Inkarnacja” skończona. Ani zdania więcej na temat jej bohaterów. Na warsztacie „Niedobra miłość”. Jestem pochłonięty światłem uczuciowym dwóch kobiet, wielkiej gwiazdy filmu oraz jej urodziwej matki, które...

Nawiedza mnie bół głowy. Do czasu pobytu w Hauptfriedhof Ohlsdorf nie znany. Zaczyna się nocą cieniem w plecach, nieczym dobroliwy wtamywacz pnie się na palcach w górę ku tyłowi czaszki, a kiedy dobiega się do mojej centrali i chwyci stery w łapy, budzi mnie, już pewny swego. Szarogęsi się tam niczym przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Nic mu się nie podoba, a już w ogóle te dwie kobiety toczące podstępny bój o jednego mężczyznę. Skąd one tam? To nie magazyn na melodramaty. Materiały tam składane przeznaczone są do wzniesienia innej budowli! Straszne kłótnie wiedzie nocami ze mną, ten lotr, nie licząc się z moimi nerwami.

Nie idzie mi „Niedobra miłość”. Rozwój wstecz: uskrzydłony rumak przedzierzgał się w obzartą krowę na pastwisku, nie z siebie nie wyduśzę. Powieść zaczynałem kilka razy i zawsze przerywałem. Melodramat. Sentyment i patos. Jak by nie zaczynać, wszystkie drogi wiedzą kochanków do łóżka i tam miłość naturalna śmiercią zdycha. Trafiają się oczywiście wyjątki podtrzymywane jednak przy życiu, jeśli nie brakiem wyobraźni, to kłamstwem. Nieprzejmnie to do świadomości, ale z logiki rzeczy wynika, że uczucie wzniosłe, jakim jest miłość, korzenie ciągnie z tego samego pnia co nienawiść lub obojętność. I z tym miłym się uderać przez co najmniej dwa lata!

Okrętowy zanik inspiracji? To nie nowego, ale tym razem to nie przelewi. Miesiące pustki. Lekarz każe odłożyć pisanie. Koniecnieli! A jak co, to tabletki, gdyby zaś nie pomagały, dzwonić do niego bez względu na porę.

Krząk białego papieru... Jako dojrzały człowiek nigdy się w to nie bawiłem.

Przejeżdżając onegdaj koło mojej samotni w puszczę złożył mi nieproszona wizytę. Był z kolegi, sympatycznym panem — nazwiska nie uchwyliłem. Bardzo mu się podobał mój dryling. Zezwolenie na posiadanie broni myśliwskiej ma, ale czegoś odpowiedniego jeszcze nie znalazł. Cieszył się moją trójlufówką. Czy — to tylko pytanie — bym go mu wypożyczył na pewien czas. Dla ostrzelenia się.

Niedługo potem wystuchałem w tv wywiad ze znanym psychiatrą, w którym rozmawiał „kolega” mego lekarza.

Nie, moi panowie, nie myślę o żadnym szaleństwie. Wiem, oni na to tylko czekają, ale nie dam się zaliczyć do tej fatalnej sekwencji. Bezsensowność, omamy, majaki, zalewanie się potem do objawy wyczerpania nerwowego. Nic innego!

Ostra amunicja żona wywołała do domu. Niby w tajemnicy przede mną. Ona bół się broni palnej. Drylinga nawet nie dotknę. Nie wiedział, że wszystkie trzy lufy są nabite.

Zrobiła mi wymówkę...

— Takie są trudności ze zdobyciem papieru do pisania, a ty zabawiasz się w wycinanki. Na co ci te krząki białego papieru?

Tymczasem dyktatorski intruz gotuje się do ostatecznej rozprawy ze mną. Jego ultimatum: albo ujawnię sprawcę zagadkowych śmierci, albo za drzwi bez klamek ze mną.

Wciąż jestem gotowy bronić mojej tajemnicy, choć już nie jestem pewien słuszności mojej postawy. Hacke za swój czyn zapłacił najwzruszą cenie. Nie ma winy bez kary. Jeżeli ta zasada ma być spełniona także w przypadku tego przestępstwa, to ON nie powinien uciec karze.

Na tym kończy się część pierwsza owego dodatkowego rozdziału „Inkarnacji”. Część druga nosi tytuł: „ON”. Oble te części tworzą całość i jako całość ukaza się w książce. Zatem za tydzień część druga: „ON”.



Rys. Janina Knapkowska-Złota

Po wielekroć zastanawiam się, na czym polega różnica między nami i Niemcami, a dysponując małym zapleczem historycznym i kulturowym, na podstawie filmu pt. „Małżeństwo Marii Braun” pozwól sobie na kilka ulomnych spostrzeżeń.

TV

Małżeństwo Marii Braun

Maria Braun to początkowo wdowa po mężu, który nie wrócił z II wojny światowej, a następnie po jego powrocie pracująca na wspólnej przysiółce, podczas gdy mąż przebywa w więzieniu za docenienie „aktu samoochoczenia” Marii — zabójstwo kochanka-Murzyna.

Zastanawia konkret, który wyznacza wszelkie działania, a także obserwacja, iż z wszystkich szczegółów działań konstruuje się przyszłość, przy czym rozważania o niej pozostawione są poetycznosci i raczej postawione bogom. Na pewno w znacznej części wynika to z nasiaknięcia protestantyzmem, który większa niż katolicyzm uważa za docenienie, doskonałość, ale i wchłanianie tego świata.

Inne jest też wtapienie się w rzeczywistość — dokładne i odpo-

wiadające okolicznościom — brak, szczególnie nam Polakom cennej troski o pozory. Początkowo, gdy ruiny jęszcze się dopalają, zaś „amerykańscy chłopcy” bobrują po zdobytych Niemczech, Maria jak najciszej przystosowuje się do zaistniałych warunków i swój fach

między nogami całkowicie oddaje na potrzeby amerykańskiej armii. Specjalnej żenady zreszta nie wiadac, mąż na bieżąco jest w wiadzeniu informowany o kolejnych, by tak rzec, źródłach zarobku, choć jego kamienny spokój nieodparcie nasuwał mi pytanie: chory czy turysta?

Oglądając choćby hitlerowskie kroniki, można dostrzec, że Niemcy traktują siebie w sposób cokolwiek biologiczno-hodowlany. Postać ludzka pozbawiona jest mistycyzmu, a przynajmniej nie ma go tyle, ile u Rosjan Dostojewskiego. Ale można spojrzeć na problem z innej strony. O ile u Rosjan mistycyzm wynika niekiedy z rozdrożenia świadomości na zmysły i umysł i ogarnia sterczące się poprzez praktykę i czynności dnia codziennego.

Na pewno Niemcy to naród filozofów i poetów, ale przede wszystkim konstruktorów i inżynierów, którym świat sztuki ma dostarczać niezbędny odpoczynek i wytchnienie.

W miarę jak sytuacja się stabilizuje, stabilizuje się również Maria i zaczyna pracować jako sekretarka dyrektora rozwijającej się firmy, który jest jej kochankiem i pragnie uczucia. Ale to dochowuje Maria metowi, który jednak po przyjeździe z więzienia jest jej obcy. Być może dlatego, iż zbyt długo idealizowała w myślach jego wizerunek i teraz rzeczywistość zaskoczyła ją — przerosła albo zawiodła. W każdym razie dzieje się z nią coś niedobrego, a nie mogąc odzyskać wewnętrznej równowagi i działając zapewne pod wpływem impulsu podpada gaz i detonuje się w zapalającej jej w testamentie wili zmarłego tymczasem szefa.

Film mna wstrząsnął, a także pozwolił skonstatować, iż w duszy niemieckiej trwa nieustanna walka między praktycznością, która walczy się w nią i rozkrwawia odczuciowość, a idealizmem, który jakby gdzieś się zagubił, zaś dość konwulsyjnie poszukiwania nie odnoszą skutku.

TOMASZ KUBIK

Jedną z najbardziej barwnych postaci naszej lódzkiej powojennej cyganerii artystycznej był Jan Huszcza, który w 1945 roku przywędrował z Wileńszczyzny, gdzie już w 1938 roku wydał pierwszy swój tom wierszy z wiozową w tytule. I chyba tym samym sprostował swój los, bo przez następne lata musiał wędrować, przeżywał w mundurze polskiego żołnierza. Niewiele o tych czasach wiemy, bowiem sam Huszcza tak-że niechętnie o nich wspominał.

Był wielkoludem — z daleka było go widać, jak tuż po wojnie idzie Piotrkowską w ulubionych tabaczkowych pumpach. Jest jeszcze dość młody, a więc i do „Fraszki” zagłada, i do „Honoratki” a nawet do „tramwaju”, czyli dłuższej sali w kawiarni „Grandu”, aby czasem przy małej czarnej coś napisać, przeczytać, a nawet z panienką lub panią — miłośniczką jego talentu — pogawędzić. A miat o czym, bowiem akurat wrócił z Paryża, co na owe czasy było w prowincjonalnej Łodzi wydarzeniem nie lada.

No i jak tam jest w tym Paryżu? — pyta panienka mistrza Jana.

— Paryż, jak Paryż. — rzekł grzesząc od urodzenia Huszcza. — Sekwana ma taką samą wodę, jak Wisła, malarsze tak samo malują jak w Wilnie przed wojną, a dziewczyny, jak Boga kocham, brzydsze od naszych. Tylko może wieża Eiffila ich jest lepsza od naszej, bo u nas nie ma...

No to co ci ludzie widzą w tym Paryżu? — dziwi się dziewczę, wpatrzone w słynnego poetę i satyryka.

Słowo daję, że nie wiem — rzecze na to z udaną powagą Huszcza. — I rzeczywiście, takich dziewcząt jak w Polsce nad Sekwaną wówczas nie było. Wrażenia z podróży do Paryża Huszczy stały się w Łodzi na tyle sławne, że inny Jan, bo Sztajndynger, zainspirowany nimi napisał tak: NA PODRÓŻ DO PARYŻA JANA HUSZCZY DO PARYŻA I W PARYŻU Z HUSZCZY RYŻU NIE WYŁUSZCZY.

— Muza — rzecze Galczyński zmienionym na damski głos. — Jaka muza? — dziwi się Huszcza i uchyla drzwi.

— Twoja, głupcze, i to w dodatku spragniona — powiada Galczyński i wypycha się do mieszkanka obok zupełnie zbitego z pantafiku Jana.

— Nalej coś do pustego — rzecze Galczyński. — Coś ci nie idzie? — Zupelnie — mówi Huszcza. — A Wagman czeka na tekst w redakcji. A wiesz jaki on jest...

— Wiem coś o tym — powiada Galczyński, a wiedział sporo na ten temat i to z autopsji. — A jak ci idzie z dziewczynami?

— Wiesz — mówi Huszcza — ja jak Mickiewicz: słuchaj dziewczę, a ona tylko machnęła ręką...

— Doskonale! — wykrzyknął Konstanty Ildefons. — Ciągnij to dalej!

— Ważyk kazał mi napisać wiersz o Stalinie, a jak ja mogę pisać o nim, jeżeli go nie znam? Piechałowi to dobrze, on ma łatwość pisaną: byle co o Piłsudskim, to samo o Stalinie, a ja nie mogę, muszę koniecznie z autopsji, a zapoznać się bliżej ze Stalinem wcale nie mam ochoty.

— A dziewczyny znasz?

— W pewnym sensie tak — przyznał się Huszcza jak na powiadzi.

— No to pisz o dziewczynach! — wrzasnął Galczyński, a gdy kończył napoczętą butelkę — wiersz „Piosenka o pewnej Halinie” Huszcza też wykaźcał.

W końcu lat sześćdziesiątych Piechał, który miał dość ustawicznego przesuwania w Łodzi, wybrał się na głęboką wodę do stolicy. Podzielił się tym pomysłem z Huszczą namawiając go do opuszczenia „ukochanej” Łodzi. A Huszcza — jak to Huszcza: był wielkim (ok. dwa metry)... dzieckiem, aczkolwiek swój rozsadek miał.

— Przeprowadź się do Warszawy — namawiał go Piechał nierzmiarką pocziwą duszyczkę do grzechu. — Talent nie może się przebić w Łodzi!

— A po co nam się przebić? — Huszcza na to.



Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski

nertem, a tu nagle słyszy nad swym prawym uchem: A w drzwiach sobie stoi Huszcza! Trzy-ma mocno i nie puszcza...

To malarz Stanisław Dobroniak (pseudonim Włodek) wszedł do klubu i już zdążył wypić butelkę „Żywca”.

— Napijesz się ze mną? — pyta Huszcza.

— Teraz nie — powiada Huszcza. — Wiesz, że mam poważną sytuację: mogę stracić figurę, albo zyskać...

— Dobrze, czekam na ciebie przy barze — powiada Dobroniak i odchodzi.

Gra sobie Huszcza w szachy, aż poci mu się łusina, tak mocno myśli, kombinuje... A tu słyszy nad lewym uchem:

— Panie kolego, musicie teraz zrobić dobry ruch, dobry ruch... — To Konstanty Mackiewicz, malarz, mistrz nestorów pedzła, jak zwykle radosny po namalowaniu ka-walka obrazu odwiedził klub, jak co dzień...

— Worek z tymi plastikami się rozwiązał, czy co? — groźnie powiedział Huszcza, ale nie śmiał zwinąć starych...

Gra sobie Huszcza w szachy, gra i myśli intensywnie, co by tu wy-kombinować mądrego, aby temu Sztajndyngowi dać mata, bo tylko na mata ten literacki prześladowca Kafki zasługuje... Wtem słyszy tuż przed sobą:

— Niech pan mu bije konia! Konia trzeba mu bić! — To krzyczy ogarnięty ferworem walki niejak Marek R., początkujący linotypista, który dał się ponieść nerwom i dał głowę wprost w zamysłone oblicze pisarza.

— Co, ja mam bić Sztajndyngowi konia? — pyta zdumiony mistrz (słowa) Jan i wstając znad szachownicy raptem ogromnie wzrostem i purpurowieje na swej do-brodznej twarzy. Mały przy nim początkujący linotypista nie nie rozumie i w dalszym ciągu powtarza jak nakrecony:

— No tak, konia trzeba bić, bo taka się wytworzyła dla pana korzystna sytuacja...

— Sądysta! — ryczy nagle Huszcza na cały klub. — Lobuz! Co to jest? O co tu chodzi? Kto go tu wpuszcza? — nie wytrzymuje tej już trzeciej interwencji obcej w swoje szachowe myślenie.

— Panie Janie — powiada do Huszczy portier — on ma prawo tu wejść, to linotypista in spe...

— Ale chyba nie ma prawa przeszkadzać mi w grze w szachy — wrzeszczy już na dobre rozłoszczony Huszcza. — To lobuz in spe, a nie linotypista!

— Tego nie ma — powiada portier.

— No właśnie — podchwytuje Huszcza — tego prawa nie ma, a je sobie usurpuje...

— Uzurpuje — powtarza portier starając się załagodzić cale zajęcie.

— Pan mnie obraził! — ocknął się nagle z szoku młody drukarz. — Ja jestem także prawnikiem i pana nauczę szacunku dla młodzieży, bo w PRL nie wolno nikogo bezkarnie obrażać: pogadamy o tym w sądzie...

— Młody pieczeniarku pan jest, a nie prawnik — w ślad za blegącym młodzieńcem zachichotał Jan Huszcza i wypił duszkiem kieliszek koniaku na uspokojenie.

No i sprawa skończyła się w sądzie, gdzie Huszcza musiał ponieść konsekwencję swego uniesienia.

— Ja mam wielki dorobek literacki, a ten pan podchodzi do mnie i wydaje mi bzdurne rozkazy. Czy to moja wina, że temu panu-pieczeniarkowi brak kindersztuby, czyli elementarnego wyuczka, jak się należy zachowywać w artystycznym środowisku, dokąd go wpuszczono prawem kaduka? — bronił się jak mógł Huszcza.

— Ale sąd jak to sąd: trzyma się sztywno literary prawa i nawet wybitny literat musiał się poddać jego werdyktowi placąc symboliczną złotówkę, nie licząc kosztów procesu spowodowanego przez zły omen.

ROMAN GORZELSKI

Dziedzic na „Osnowie”

Początkowo Huszcza boryał się na Sztajndyngera za tę fraszkę: „parafrazę słynnego zawołania: i w Paryżu nie robią z owas ryżu, ale wrzeszczą na tą fraszkę, się pogodził i z czasem nawet ją polubił...”

Przydybał swego czasu w owym „Grandkownym” kawiarnianym „tramwaju” Jana Huszcza inną Jan — człowiek, który od pięćdziesięciu lat się nie zmienia, czyli Koprowski — na kolejnej randce ze swą czytelniczką, i krzyczy:

— Huszcza!

— Tak — powiada zdumiony wileński wielkolud.

Niech się na dziewczki nie puszczał!

— Plagiast — rzecze wielkolud.

— Dlaczego?

— Bo już mi to dzisiaj mówiono: był tu Ełjasz A. oprócz tego. jak możesz tak brzydko mówić o mnie przy tej pani?

Przecież nie powiedziałem: niech się na panie nie puszcza — przypomniał jak zwykle gładko u-miejający się znaleźć Jan (nie mylił z Janem Czernym, pseudonim Czarny).

Zreszta w owych czasach, a także długo potem w tym strasznym domu przy ul. Bandurskiego 8 mieszkali wielu literatów. Bowiem był to tzw. Dom Literatów, czyli getto pisarskie, wymyślone pomocą przez samego Stalina, aby tych dziwnych i niebezpiecznych ludzi mieć zawsze w kupie czyli na oku. Potem ulicę tę odebrał Bandurskiemu, bo był biskupem, i dał ją Mickiewiczowi, ponieważ — jak twierdził Berman z Borejszą (bracia, nieśwety) — był to jedyny szluszny literat w całej polskiej literaturze, a więc nikt ze stalinowców nie miał do niego pretensji.

Także prezydent m. Łodzi Miłaj, co się nigdy w tamtym okresie z prawdą „nie miął”, pomyślał ulicę zatwierdził ogólnie. Za łódzkiego Bolesława (nie mylił z Bierutem) — ulicę przemianowano na aleję no i do dziś mamy sławną w całej Polsce szosę przez miasto, chociaż była by Trasa W-Z. Ale ad regu, czyli do Huszczy: w tym strasznym domu literackim co drugi to był Jan lub Tadeusz, a tylko jeden był (Mar) Jan: oczywiście Piechał.

I w takiej oto surze zabierał się do pracy twórczej Jan Huszcza w tym dziwnym domu. Ale „prze-stój” w pracy trwał nadal. Nie mu nie przychodziło do głowy, jak z kamienia Co ślad do biurka to biała kartka z paroma byle jakimi słowami — wędrowała do kosza.

Znów zaczął biegać Huszcza po pokoju, gniotąc w zdenerwowaniu kolejnego papierosa marki „Wolność” w popielniczkę. Począł więc kłaść i wzdychać, bo tekstu zamówionego do „Kuznicy” przez Ważyka (Wagmana) jak chce Encyklopedia Judaica) nie było i nie nie wskazywało na to, że będzie. Wybiegł więc Huszcza na balkon i ze skargą w głosie krzyknął do niebios:

— O impotencjo twórcza! Nie nie napiszę, nie nie zarobię!

Tak się złożyło, iż pod balkonem przechodził Konstanty Ildefons Galczyński, właśnie z nocnej wracający birbantki u któregoś z kolegów. Wbiegł więc Galczyński chyżo po schodach na drugie piętro „getta literackiego” i niecierpliwie zapukał, albowiem wiedział, że u Huszczy może być coś mocnego do wypicia.

— Kto tam? — spytał nieprzytomny z rozpaczy wielkolud wileński.

— „Pluton” Olivera Stone nie wymaga rekomendacji, więc po jego obejrzeniu radzimy wybrać się do kina na film „Rangała Wyliczanowa pt. „Zmierzać, ale dokąd”? Utrzymany w konwencji przypowieści filozoficznej obraz przedstawia historię matematyka, który po 20 latach pracy naukowej dochodzi do wniosku, że osiągnął już swój pułap, jednakże pułap daleki od młodościowych marzeń, na miarę Nagrody Nobla. Decyduje się na podróż w nieznane, może tam dokąd zmierza odnajdzie sens i cel życia?

„Ryszard Nakoneczny” OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

W rezultacie tylko dzięki przekonaniu partnerów, że mają przed sobą wielkiego artystę, Bertolucciemu udało się zebrać 12 lew. Nie zdarza się to często i nie ma niby na co się skarżyć. Licytowano jednak szlema i patrząc z tego punktu jest to wpadka bez jednej. Po raz któryś mniejszości wybrednych widzów kasetyowych filmów wypada poczekać na następne rozdanie...

RYSZARD NAKONECZNY

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

OSTATNI CESARZ, reż. B. Bertolucci, scen. M. Peplow, Zdj. V. Storaro, Mus. R. Sakamoto, D. Byrne, Cong Su. Aktorzy: John Lane, Peter O'Toole, Jean Chen, Ruyichi Sakamoto, Victor Wong, Dennis Don. Produkcja: W. Brytania — Włochy, 1987.

Szlem bez jednej

nie tylko zreszta naszego) i spraważda ponure myśli na filmowców, w których kołacza się jeszcze resztki artystycznych ambicji i widzów którzy nudzą się smiertelnie oglądając w kółko mordy, gwałty, pościel i rozmaite wersje seksualnej gimnastyki. Przed ostateczną frustracją i jednym i drugim ratuje nieco tylko 21 (czekol) pozycja „Ostatniego cesarza”, obspanego Oskarami najnowszego dzieła Bernardo Bertolucciego.

Bertolucci objawił się w kinematografii jako cudowne dziecko w latach siedemdziesiątych, realizując „Strategie pajaka” i przede wszystkim „Konformistę”, po czym szybko potwierdził wysoka klasę „Rokiem 1900”. Wszystkie te filmy osnuły były na kanwie poważnych procesów politycznych, ich pierwszy tytuł do wielkości polegał jednak na czymś zupełnie innym: Bertolucci jak mało kto potrafił, posługując się rzeczywistością, konstruować czytelne i oryginalne metafory (faszcyści — ślepicy w „Konformistę”), a nadto wy-dawał się mieć wyjątkową łatwość tworzenia pięknych obrazów — żadne ujęcie w jego filmach, choćby najkrótsze i niby bez większe-

go znaczenia, nie było „puszczo-ko”. Nic więc dziwnego, że ceniący subtelne nastroje i poezje kinomani błyskawicznie okrzyknęli go swoim mistrzem. Potem nie było już tak świetnie. W kilku następnych filmach Bertolucciemu nie udało się tak idealnie powi-azać metaforę z rzeczywistością i powoli zaczęło go klasyfikować jako artystę elitarnego, hermetycznego pleknotucha, którego należy wprawdzie szanować, ale który zatracił zdolność wstrząsania i podbijania publiczności, jak to bywało wcześniej.

Rozgrywka jednak okazała się mocno skomplikowana, choć żysier od razu narzucił swój sposób gry. Mamy więc w „Ostatnim

A może do kina?



• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

CO CZYTAJĄ MATURZYŚCI?

W kwietniu 1988 roku Komisja Oświaty i Wychowania KŁ PZPR przy udziale Instytutu Socjologii UL przeprowadziła badania ankietowe w ośmiu liceach ogólnokształcących i ośmiu technikumach łódzkich. Sondą realizowaną tylko w ostatnich klasach. Łącznie w badaniach uczestniczyło 408 tegorocznych maturzystów (w tym 214 licealistów i 194 techników).

W obszernej ankiecie pytano również o czytelnictwo dzienników i czasopism. Jedno z pytań brzmiało: „Które z podanych tygodników czytasz w miarę regularnie?”. Uzyskane odpowiedzi z podziałem na licealistów i techników zawiera w procentach poniższa tabela. Z tym, że kolejność tytułów czasopism podano według ogólnych odsetków wskazań, a nie według kolejności w ankiecie.

Tytuł	Ogółem	Licea	Technika
1. Razem	41	39	43
2. Jestem	33,5	30	37
3. Przyjaciółka	27,5	28	27
4. Polityka	24,5	34	16
5. Odgłosy	20	17	23
6. Przekrój	19,5	26	13
7. Pan	16	14	18
8. Veto	9	7	11
9. Przegląd Tygodniowy	4,5	7	2
10. Kultura	4,5	5	4
11. ITD	4	3	5
12. Forum	4	4	4
13. Tygodnik Powstańcy	3	3	3
14. Przegląd Katolicki	2,5	2	3
15. Zarzewie	2	2	2
Zaden z nich	21	20	21

Liczbę respondentów N = 408 N = 214 N = 194
W marcu podawałem w „Odgłosach” (nr 11), co czytają studenci Uniwersytetu Łódzkiego. Przypomnę, że na pierwszych miejscach były następujące tygodniki (dane w procentach): „Przekrój” — 36, „Polityka” — 35, „Jestem” — 28, „Razem” — 25, „Odgłosy” — 24, „Przyjaciółka” — 18, „Forum” — 16. Warto zwrócić uwagę, że w obu przypadkach wysokie miejsce zajmuje tygodnik „Jestem”. Czyta go co trzeci uczeń i co czwarty student.

Jak z kolei przedstawia się czytelnictwo dzienników? Na pytanie ankietowe — „Które z podanych dzienników czytasz w miarę regularnie?” — otrzymano odpowiedzi zawarte w poniższej tabeli. Wszystkie dane są w procentach i również według ogólnych odsetków wskazań.

Tytuł	Ogółem	Licea	Technika
1. Express Ilustrowany	61	50	72
2. Dziennik Łódzki	47,5	54	41
3. Głos Robotniczy	35	35	37
4. Trybuna Ludu	4	4	4
5. Sztandar Młodych	1	2	0
6. Słowo Powstańcze	1	2	0
Zaden z nich	14	18	10
Liczbę respondentów	N = 408	N = 214	N = 194

Okazuje się, że uczniowie ostatnich klas szkół średnich czytają w znacznie większym stopniu prasę codzienną, aniżeli studenci Uniwersytetu Łódzkiego. W środowisku studentów otrzymywano następującą kolejność: „Express Ilustrowany” — 42 proc., „Dziennik Łódzki” — 36 proc., „Głos Robotniczy” — 27 procent. W obu grupach młodzieży największą popularnością cieszy się więc „Express Ilustrowany”, który w miarę regularnie czyta 61 proc. maturzystów oraz 42 proc. studentów Uniwersytetu Łódzkiego. W obu też grupach bardzo mało osób czyta gazety codienne.

Odpowiedź rzecznika prasowego prezydenta: KOMISJA NIE POTWIERDZA — MOŻE WYJAŚNI TO PROKURATURA.

Powołana przez prezydenta m. Łodzi Komisja dla zbadania zarzutów podniesionych przez „Kurier Polski”, dotyczących znalezionych na śmietniku w podwórku posesji w Łodzi, przy al. Kościuszki 53, przedmiotów o znacznej wartości historycznej i kolekcjonerskiej, zakończyła swe czynności 10 czerwca 1988 r. Badając dokumentację w powyższej sprawie, Komisja stwierdza, że podstawę prawną do przeprowadzenia eksmisji stanowiło prawomocne orzeczenie Sądu Rejonowego w Łodzi Wydział I Cywilny.

Opuszczony przez ob. Wowa Morejno (przebywa w USA) lokal nr 4 przy al. Kościuszki 53 pozostawał nie nasiedlony przez 8 lat.

Przystępując w II połowie 1987 r. do wykonania wyroku eksmisyjnego, naczelnik Dzielnicy Łódź-Sródmieście skierował 18.09.1987 r. pismo do Polskiego Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego w Warszawie w sprawie wyznaczenia pełnomocnika do prowadzenia sprawy W. Morejno i wzięcia udziału w przeprowadzeniu eksmisji. Pismem z 2.10.1987 r. Polski Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego odpowiedział, iż nie jest uprawniony ani zainteresowany występowaniem w tej sprawie.

W takim stanie rzeczy naczelnik Dzielnicy Łódź-Sródmieście wystąpił do Sądu Rejonowego w Łodzi o ustanowienie przedstawiciela ustawowego dla osoby nieobecnej w kraju, proponując na tę funkcję Ob. Teresę Stefańską — pracownicę PGM Łódź-Sródmieście. Postanowienie Sądu Rejonowego z 15.12.1987 r. potwierdziło propozycję władz dzielnicowych.

Do czynności eksmisyjnych przystąpiono 10.05.1988 r. Komisja zapoznała się z protokołami czynności egzekucyjnych stwierdzając, że zostały one sporządzone zgodnie z ustawą o postępowaniu egzekucyjnym w administracji. Z protokołów wynika że księgozbiór (ok. 6000 egz) w 95 proc. w języku hebrajskim i jidysz zapakowano do 157 worków, z których każdy został zaplombowany i zaopatrzony w kartkę opieczętowaną pieczęcią Urzędu Dzielnicy, na której znajdowała się ilość zawartych w worku książek. Inne ruchomości były spisywane do protokołu. Pakowano je również do worków, kartonów, koszy i walizek.

Pod nadzorem pracowników Urzędu Dzielnicy całość przewieziono do magazynu.

Zakończenie czynności eksmisyjnych, przy stałej obecności pełnomocnika Ob. Teresy Stefańskiej nastąpiło 17.05.1988 r.

Komisja stwierdza, że przeprowadzona eksmisja pod względem administracyjno-prawnym nie budzi zastrzeżeń a osoby uczestniczące w niej wykazały maksimum dobrej woli, by zabezpieczyć prawidłowy jej przebieg, a także nienie ob. W. Morejny.

Komisja nie potwierdza zarzutów o celowym wyrzuceniu na śmietnik przedmiotów stanowiących wartość historyczną lub kolekcjonerską. Z protokołu a także ze stwierdzeń uczestniczących w eksmisji wynika, że w pobliżu śmietnika wyniesiono zapakowane w kartony stare poniszczone gazety, luźne kartki nie mające charakteru korespondencji, nie nadające się do użytku pojedyncze poobijane talerze i zniszczone garnki, zepsute artykuły żywnościowe i puste opakowania.

Mankamentem organizacyjnej strony przeprowadzonych czynności był brak w składzie powołanej przez Wydział Spraw Loka-

lowych UD Łódź-Sródmieście, Komisji, przedstawicieli Muzeum Historii Miasta Łodzi i Miejskiej Biblioteki im. L. Waryńskiego, którzy ze znajomością rzeczy mogliby ocenić przeznaczone do likwidacji przedmioty, uznane za bezwartościowe.

Tyle protokoł Komisji.
Jego treść nie daje podstaw do stwierdzeń, że na śmietniku znalazły się cenne przedmioty, jako wynik bezmyślnego, nieodpowiedzialnego działania.

W świetle podanych przez „Kurier Polski” a szczególnie „Odgłosy” stwierdzonych faktów znalezienia na śmietniku cennych przedmiotów i dokumentów kultury judaistycznej, zachodzi potrzeba dodatkowego zbadania okoliczności w jakich tam się znalazły.

W tej sytuacji prezydent miasta zwrócił się do Prokuratury Wojewódzkiej o spowodowanie wyjaśnienia podniesionych zarzutów.

Rzecznik Prasowy
Prezydenta Miasta Łodzi
mgr PAWEŁ PIOTROWSKI

KSIAŻKA O „KOPRZE”

Eugenia Podgórska pisze o trzech książkach poświęconych historii i Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. Najwięcej miejsca poświęca ostatniej wydanej w 1987 roku pt. „Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika w Łodzi 1906-1986”, którą opracował Henryk Wł. Skorek. Eugenia Podgórska pisze o plusach tej książki, ja chcę wskazać na słabe też strony.

1. Cieszy fakt, iż zachowało się tak dużo dokumentów z dziejów szkoły z różnych przełomowych okresów. Dziwi natomiast, iż lata 1980-1982 nie znalazły odbicia w książce. Aż wierzyć się nie chce, iż ten okres historyczny, który wstrząsał całym krajem, nie pozostawił żadnego śladu w dziejach Liceum.

2. Wykazy absolwentów od 1971 roku nie są ułożone alfabetycznie. Z różnych względów formalnych i technicznych. Cóż oznaczać te określenia?

Dużo nazwisk jest zniekształconych (opuszczone litery) a memu koleżce zmieniono imię.
3. W wykazie nauczycieli brak nazwisk dwóch dyrektorów: Kazimierza Dobrowolskiego i Mariana Wolniewicza. A przecież K. Dobrowolski uczył propedeutyki filozofii, a M. Wolniewicz — matematyki.

W tymże wykazie nie znalazłem nazwiska Alicji Zajac, nauczycielki astronomii, z którą odbyliśmy wycieczkę do Planetarium w Chorzowie w kwietniu 1986 roku. Może zmieniła nazwisko?

4. Chochlik „zjadł” końcówkę podpisu zdjęcia nr 39 z obchodów Dnia Kobiet 1983 roku.

Joanna Janowska to nauczycielka języka francuskiego, brak informacji, iż ostatnia na zdjęciu to Stanisława Duszyńska (język polski), bardzo lubiana i szanowana nauczycielka.
5. Sporym mankamentem jest brak indeksu alfabetycznego osób.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

HARCERZE NA WOJNIE

W numerze 24(1576) Waszego poczynego tygodnika z 11.06.1988 r. przeczytałem list Mieczysława Kozaka zatytułowany „W Złoczewie czekają na odpowiedź”.

Chciałbym sprostować pewne dane zawarte w tym liście, ponieważ list ten na pewno czytać będą harcerze ze Złoczewa, a nie chciałbym, aby wprowadzono ich w błąd.

Mieczysław Kozak podaje, że w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. — jako członek 8 LDH, brał udział wraz z drużyną w Wojennym Pogotowiu Harcerzy zaopatrując na terenie koszar 10 Kaniowskiego Pułku Art. Lekkiej przy ul. Jerzego — zgłaszających się tu rezerwistów w napoje (kawę i herbatę).

Pragnę więc sprostować, że w pierwszych dniach wojny 1939 r. niektórzy harcerze łódzcy zostali powołani (pisemnie) do czynnej służby w Pogotowiu Harcerzy. Harcerze ci pełnili nocne służby wartownicze zabezpieczając np. studnię artezyjskie, tereny dworców (w przypadku ataku lotniczego) itp. obiekty na terenie miasta. O Wojennym Pogotowiu Harcerzy, o którym pisze Mieczysław Kozak, nigdy nie słyszałem, ani w czasie wojny, ani też później.

Za udział w czynnej służbie Pogotowia Harcerzy w okresie wojny 1939 r. zostałem aresztowany i osadzony w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (Dachau, Ravensbrück, Sachsenhausen) przebywając w nich jako więzień polityczny 5 lat, to jest do chwili wyzwolenia. Ale to już inna historia.

Łączę wyrazy poważania
SYMFORIAN WARTENKI

Z ZAKOPANEGO DO ŁODZI

27 maja 1988 r. godzina 17.00 starszy pan z małym chłopcem przyjechał na dworzec kolejowy w Zakopanem o blisko 4 godziny za wcześnie. Tak właśnie i tylko tak pasował autobus.

Starszy pan wykupił w kasie bilet. Zapłacił, ale coś go zaafektowało. Wyjął z kieszeni inny bilet. Porównał. Podszedł do okienka z informacją.

— Proszę pani, jak to właściwie jest. Przed chwilą wykupiłem bilet dla siebie i wnuczka w relacji Zakopane-Łódź Fabryczna, 2 kl., ze zniżką 50 proc. na pociąg pospieszny i wyliczono mi (tak jest na bilecie), że z Zakopanego do Łodzi jest 447 km a cena biletu wyniosła 1362 zł (za 2 bilety). Akurat mam przy sobie kupiony 2 tygodnie temu bilet na taki sam pociąg lecz z Łodzi Fabrycznej do Zakopanego, na którym wypisane jest wwarunkach, że jest 439 km i cena za 2 takie same bilety wyliczona jest 1266 zł.

Pani w okienku chwilę pomyślała i rzekła:
— Bo w Łodzi ile obliczają trasę, gdyż pociąg ten jedzie przez Częstochowę, a Zakopane liczy dobrze.

Do pociągu było jeszcze około 4 godzin oczekiwania. Odjeżdżał o 21.35. Wnuczek kręcił się, kręcił, aż zmęczony wykrzucił:

— Dziadziu proszę pójść!
Kłosek przed dworcem już był zamknięty. Wnuczek pozostał ze swoim pragnieniem.

Około godziny 20.00, podstawiono pociąg do Łodzi. Na razie był pusty. Zjawili się ekipa myjąca i sprzątająca. Po tych zabiegach wyglądał nawet i schludnie, i przyjemnie.

Starszy pan zorientował się, że w przedziale nie ma ani jednej zastanki. Tak przy oknie, jak i przy drzwiach. Sprawdził, że zastanek nie ma w całym wagonie.

— Proszę pani w całym wagonie nie ma zastanek.
Pani Konduktor zimnym głosem odpowiedziała:
— Nie ma i nie będzie!

Około pół godziny przed odjazdem pociągu ukazała się Pani Kierownik pociągu. Starszy pan uchylił okno i zapytał:

— Pani Kierownik, w całym wagonie nie ma zastanek, ani jednej, a jadą dzieci małe, które by chciały w nocy spać, czy coś by się nie dało zrobić?

Pani Kierownik pociągu nawet nie podniosła głowy, tak była zafascynowana spisaniem (prawdopodobnie numerów wagonów). Ale za to, jak gdyby obrażonym głosem odpowiedziała:

— A co pan myśli, że to ja je usiądę i sprządam?
Starszy pan na to.

— Ani przez chwilę tak nie pomyślałem.

Na to Pani Kierownik:

— Chuligani pokradli i pozrywali z całego wagonu, a my nie będziemy co raz to zakładać.

W Nowym Targu wsiadła do pociągu Mama Góralka, z około 25-letnim „synkiem”. Usadowała się w przedziale na początku wagonu i coś głośno „zagajała”. „Synek” już był na rauszu. Dokoptował drugiego w tym samym wieku i stanie i usadowił się 3-4 przedziały dalej od mamy i zaczęli libacje.

Około godziny 3.00 nad ranem, przebudzona Mama Góralka, udała się do przedziału, gdzie „synek” zapiał się na śmierć i stając w drzwiach przedziału zaczęła góralską gwarą przemawiać, którą miała nawrócić syna. Ale nie nawróciła.

Jeden z pasażerów, też Góral nie wytrzymał. Otworzył drzwi z przedziału i powiedział:

— I cęgoj sie babko dziecie po nocy, kie ludzie spiom!

Przed Łodzią Józek do mamy wrócił.

Przechodząc w Łodzi obok zajmowanego przez Józka przedziału starszy pan spojrzał i zdrtwiał. Cały przedział zalany był nie wiadomo czym. Kanapy — mówiąc wulgarnie — „zarzygane”. Korytarzem przechodziła Pani Konduktorka.

— Czy pani widziała, co się stało w tym przedziale i jak on wygląda?

Pani Konduktor wielce obojętnym głosem odpowiedziała:

— Widziałam.

I poszła dalej.

(E.F.)

DLA TŁUMACZY JĘZYKA NIEMIECKIEGO

Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich Oddział w Łodzi ogłasza otwarty konkurs literacki na przekład prozy i poezji niemieckiejgo obszaru językowego. W konkursie może wziąć udział każdy, kto nadesłanie przelożoną przez siebie krótką prozę artystyczną o objętości 10 stron maszynopisu lub przekłady wierszy również nie przekraczające tej objętości.

Jury przyzna równoległe za najlepsze artystycznie przekłady następujące nagrody zarówno w dziedzinie prozy jak i poezji: I nagroda — 25.000 zł. II nagroda — 20.000 zł. III nagroda — 15.000 zł.

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo innego rozdziału funduszu nagród lub też nieprzyznania ich wcale.

Tłumacze składają prace na konkurs w 3 egzemplarzach maszynopisu sygnowane je obranym godłem. Do zestawu należy dołączyć teksty oryginału również w trzech egzemplarzach. W osobnej zamkniętej kopercie także opatrzona tym samym godłem należy podać swoje dane personalne i adresowe.

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną ilość zestawów pod różnymi godłami. Termin składania prac pod adresem Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich Oddział w Łodzi, ul. Wschodnia 32, 90-271 Łódź upływa 25 września 1988 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Konkurs zostanie rozstrzygnięty w październiku 1988 r.

WYJAŚNIENIE

W informacji o święcie Piotrkowskiej znalazł się (z mojej winy) błąd, polegający na tym, że wymieniał jako uczestniczkę kwesyt ulicznej Irenę Kwiatkowską, która — jako żywo — w kwesycie nie brała udziału. Brała natomiast udział (z powodzeniem!) Hanka Bielicka. Obydwie znakomite artystki i wszystkich czytelników bardzo przepraszam.

ANDRZEJ KAROL

TELEFON: 36-77-70

W związku z ukazaniem się w numerze 23 „Odgłosów” (z 4 czerwca 1988 r.) w rubryce: „Masz temat dla reportera”, fragmentu, który dotyczy bezpośrednio mnie. Na podstawie pomówienia, bez sprawdzenia faktów Paweł Tomaszewski ocenił mnie. Chciałbym zatem wyjaśnić, że na garaż w posesji przy ul. Wólczańskiej 112 otrzymałem prawną decyzję 5.11.1987 r. przy akceptacji i za wiedzą zarówno Komitetu Domowego, jak i Komitetu Obwodowego Samorządu Mieszkańców nr 5. Nikt inny nigdy o przydział tego garażu nie występował. Prace remontowe polegające na wymianie konstrukcji nośnej, dachowej i zamontowanie drzwi wykonalem na własny koszt.

7.06.1988 r. zorganizowano w ROM-2 spotkanie z mieszkańcami posesji przy ul. Wólczańskiej 112 przy udziale Komitetu Domowego i przedstawicieli Samorządu Mieszkańców Komitetu Obwodowego nr 5 Stanisława Sassa, celem wyjaśnienia spraw opisanych przez Pawła Tomaszewskiego. W trakcie spotkania p. Gebicka, mieszkanka posesji, która zgłosiła temat do „Odgłosów” uznała swoje zarzuty za bezpodstawne, szkodzące mojej osobie i publicznie mnie przeprosiła.

9.06.1988 telefonowałem pod nr 36-77-70 i rozmawiałem z Teresą Jerzykowską prosząc o kontakt z Pawłem Tomaszewskim celem szczegółowego wyjaśnienia sprawy na łamach pisma. Jednak mimo obietnicy Teresy Jerzykowskiej red. Paweł Tomaszewski za mną się nie skontaktował, uznając widocznie, że temat przestał być ciekawy i sensacyjny.

Jako wieloletni czytelnik „Odgłosów” nie kryję rozczarowania formą krytyki, którą prowadzą redaktorzy pisma — szkalowanie ludzi bez sprawdzenia faktów.

W związku z powyższym bardzo proszę o zamieszczenie stosownego wyjaśnienia na łamach tygodnika i zajęcie się na przyszłość bardziej rzeczową, potrzebną społecznie krytyką, a nie szukaniem tanich sensacji.

Łódź, 15.06.1988 r.

JERZY JANUSZ
(Kierownik ROM-2)

Do wiadomości: 1. Dział Interwencji PGM Łódź-Sródmieście 2. Komitet Obwodowy Samorządu Mieszkańców nr 5.

OD REDAKCJI: Każdy jest zwolennikiem krytyki, były tylko jego nie krytykowanie. Nie gonimy za sensacją. Dyżurny reporter jest po to, aby wysłuchiwał uwag, propozycji i skarg Czytelników. Telefon 36-77-70 działa na zasadzie wzajemnego zaufania. Jeśli nasza rozmówczyni odwołała zarzuty i przeprosiła, to powinna była zadzwonić i nam to powiedzieć. Napisałibyśmy o tym.

Jerzemu Januszowi dziękujemy za dobrą radę, jaką krytyka mamy się zajmować. Paweł Tomaszewski nie mógł się zgłosić ani odezwać, ponieważ jest poza Łodzią, na urlopie.

Dla uniknięcia nieporozumień przypominamy, że każdy dyżurny reporter ogłasza sprawozdanie z rozmów, jakie przeprowadził. Każdej rozmowy nie jesteśmy w stanie sprawdzić. Od naszych rozmówców wymagamy, aby podali nam do wiadomości swoje nazwisko i adres. I tak się dzieje.

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Odgłosach” dotyczącą nieprawidłowości w obsłudze klientów przez załogę sklepu nr 924 branży spożywczej przy ul. Zarzewskiej 51 wyjaśniamy, że zlikwidowano sprzedaż masła przy kasach, która wprowadzona ze względu na liczne kradzieże masła przez klientów. Jednocześnie informujemy, że służby handlowe zwiększyły ilość kontroli w zakresie prawidłowości sprzedaży w tym sklepie.

JADWIGA SZABUNIC



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
30 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI —
godz. 10—16.
7 lipca — BOGDA MADEJ — godz. 10—16.

Znowu to samo. Czytelnicy przedstawiają się, ale proszą, aby zachować ich nazwiska do wiadomości redakcji.
Jan Z.O., działacz Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej twierdzi, że ostatnio mówi się ciągle o rozwoju turystyki między Polską a ZSRR, że propaguje się formy sezonowej wymiany rodzin i że wszystko by grało, gdyby tylko polskie banki zechciały sprzedawać polskim obywatelom ruble. Tymczasem zakup rubli w polskich bankach jest marzeniem ślepej głowy. Odwiedzający Polskę turyści radzieccy nie mają po swojej stronie takich kłopotów.

J.Ch. pomstuje na rosnące wciąż opłaty za zimną wodę. ROM podnosi opłaty co miesiąc lub co dwa miesiące i śledzący je wstecznie.

W podobnej sprawie telefonował pan R.D. W niektórych lokalach mieszka tylko dwóch lub trzech lokatorów i zużywają bardzo mało wody. Tymczasem inni lokatorzy myją co drugi dzień swoje samochody i zużywają całe hektolitry. Rzecz w tym, że posesja, gdzie mieszka pan R.D., dysponuje tylko jednym licznikiem. Pan R.D. wyraża zatem obawę, iż opłaty za coraz droższą wodę pobiera ROM niesprawiedliwie — ci, co myją zęby, muszą dopłacać do tych, co myją samochody. Gdzie tu zdrowy rozsądek.

Wspomniany już pan J.Ch. twierdzi, że przed stacją benzynową w pobliżu alei Włókniarzy i ulicy Komfortowej nie można w ogóle przejść na drugą stronę ulicy, ponieważ jezdnia jest kompletnie zatrasowana przez małe i duże pojazdy. Sprawa rozwiązałaby radykalnie przejście dla pieszych (zebra), ale nikt jakos nie chce o tym pomyśleć. Niedaleko stacji wybudowano piękny punkt do nabijania butli turystycznych gazem butan-propan. Z niewiadomych przyczyn punkt jest nieczynny.

Pan Jarosław Chojnacki z Domu Kultury Łódź-Widzew zaprosił mnie na koncert z okazji 30-lecia pracy choreografa Leszka Woźnińskiego.

Pani A.M. sygnalizuje nam sprawę ojca, który od 12 lat nie widział swego kalekiego dziecka i mimo, że jest zamożnym człowiekiem, nie chce płacić alimentów. Niewykluczone, że zainteresuje się tym dramatem któryś z naszych reporterów.

Pani występująca pod kryptonimem ZO JO (nazwisko, adres i telefon znane są red. Włódkowskiemu) dziękuje szefowi „Ogłoszeń” za nadesłany list i książki. Jednocześnie zwraca naszą uwagę na fatalny stan posesji przy ulicy Niskiej 15 — brud, smród, wyizolowany, fatalny obraz okolicznych sklepów spożywczych.

Pani ZO JO sugeruje ponadto, że należałoby przeprowadzić wywiad z dr Andrzejem Klingiem, ordynatorem i dyrektorem Szpitala im. Sonnenberga. Zdaniem pani ZO JO jest to kryształowy człowiek, świetny lekarz i gorący społecznik.

Pan S.K. zwraca uwagę na karygodny stan kamienicy przy ul. Przyborskiej 4a. Lokatorzy piszą alarmujące listy do administracji, ta rozkłada bezzadanie ręce, a dozorca, który odnajduje tam mieszkanie, nie zmywa schodów, nie sprząta podwórka, nie usuwa śmieci, oddaje się natomiast innym przyjemnym zajęciom.

O tym, co dzieje się na osiedlu Retkinia-Piaski, powiadomił nas pan J.O. Otóż jest tam las brzozy i ogródki działkowe. Kiedy w ogródkach działkowych odbywa się wesele lub chrzciny, trzeba jakoś ogrzać domek i rozniecić ogień pod kuchnią. Słota się w tym celu brzozy. Podobno padło w ten sposób 5 tysięcy brzozy. Pan J.O. interweniował w powyższej kwestii w Lidze Ochrony Przyrody i w Łódzkim Przedsiębiorstwie Ogrodniczym. Bez skutku. Działkowcy to potęga. Umieją także być mściwi.

Pani J.K. rodowita łódzianka, wyrzeka na szpetotę kamienicy mieszczącej się przy ulicy Narutowicza na wprost Teatru Wielkiego. Zwraca także uwagę na wielce zaniedbany wygląd dwóch znanych h. państwowych urzędów.

Pani J.W. domaga się wznowienia druku powieści Rybakowa. Kto wie? Redaktor Włódkowski poczynił w tej kwestii pewne kroki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wojciech Pilarski nie żyje

20 czerwca zmarł nagle Wojciech Pilarski, wybitny aktor, reżyser i wieloletni dyrektor Teatru Nowego, z którym związał całe swoje życie zawodowe.

Pochodził ze znanej aktorskiej rodziny. Był synem twórcy Teatru Popularnego — Józefa Pilarskiego, jednakże swoją pracę zawodową rozpoczął w 1937 roku jako uczeń tkacki w fabryce Gayera, w której po wojnie zorganizował kółko dramatyczne. Zespół, którego był głównym inspiratorem i kierownikiem w roku 1947 otrzymał jedną z pierwszych nagród na konkursie ogólnopolskim. Z tego zespołu trafił do Wyższej Szkoły Aktorskiej. Już w czasie studiów występował w Teatrze Wojska Polskiego pod dyrekcją Leona Schillera — m.in. w „Krwawych godach” i „Damach i huzarach”.

W roku 1949 wchodził w skład grupy młodych aktorów, którzy wraz z Kazimierzem Dejmkiem założyli Teatr Nowy. W kilka lat później (1 stycznia 1962), po nagłym odejściu Kazimierza Dejmka do Warszawy, objął dyrekcję teatru i choć po dwóch sezonach zrezygnował z niej na rzecz Janusza Kłosińskiego, zdołał skompletować zespół aktorski, który wkrótce stał się chlubą teatru i filmu.

Po raz drugi Wojciech Pilarski objął dyrekcję Teatru Nowego w 1980 r., obowiązki te

pełnił aż do przejścia na emeryturę w 1987 r., lecz nawet wtedy nie zerwał kontaktu z Teatrem Nowym. Grał w nim do ostatka i do końca był tej scenie wierny. W tym teatrze bowiem stworzył wiele niezapomnianych ról m.in. Bohusza w „Brygadzie szlifierza Karhana”, Ryszarda w „Henryku VI na łowach”, Bruno Sztorca w „Domku z kart”, Reżysera w „Łaźni”, Narratora w „Ciemności kryją ziemię”, Pankracego w „Nie-boskiej komedii”, Tomasza w „Moście” Regimientarza Stempowskiego w „Śnie srebrnym Salomei”, Waltera Franza w „Cenie”, Kri-tona w „Obronie Sokratesa”, Demura w „Janu. Macieju Karolu Wściekłym”, Samuela w „Sędziach”, Geniusza w „Vat-zlavie”, Majora w „Damach i huzarach”, Numer Jeden w „Terrorystach”, Fryderyka w „Pornografii”, Piotra Wysockiego w „Wysockim”, niezapomnianego Prospera w „Burzy” (na naszym zdjęciu) czy wreszcie Ksawerego Horsztyńskiego w „Horsztyńskim”. Nie mówiąc o licznych i wybitnych rolach filmowych, telewizyjnych czy wyreżyserowanych spektaklach.

Nie ulegając słabości i chorobie pracował do ostatka. Odszedł nagle Człowiek nierozważnie związany z historią Teatru Nowego i historią teatru w naszym mieście. Odszedł od nas. Człowiek prostolinijny w obyczajach, sprawiedliwy w sądach i szlachetny, odszedł artysta i prawdziwie dobry Człowiek.

14 ODGŁOSY

Wystawa w „Otexie”

Tekst: MAREK KOPROWSKI, zdjęcia: GRZEGORZ GALASIŃSKI

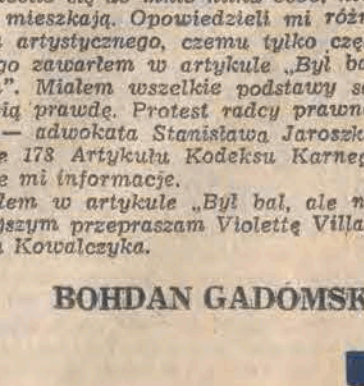
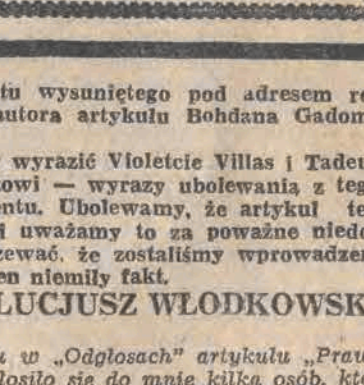
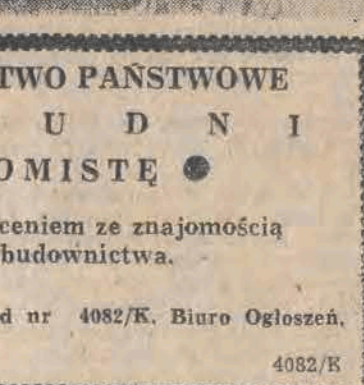
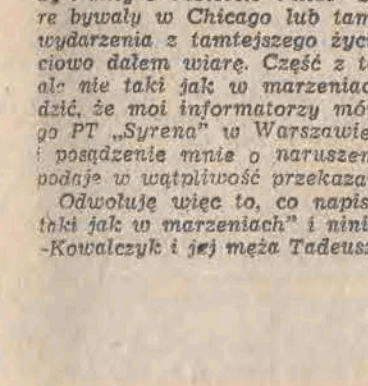
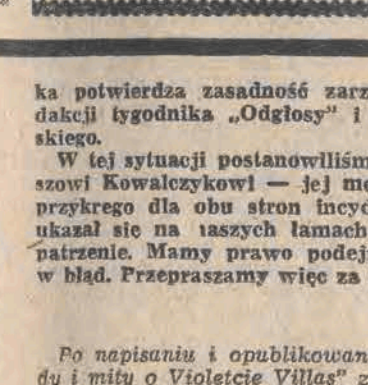
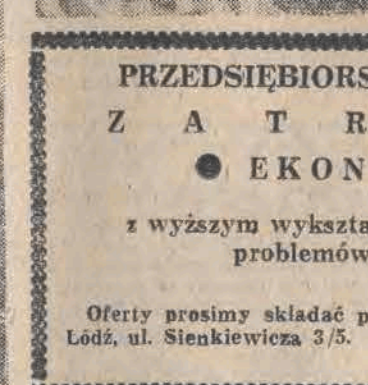
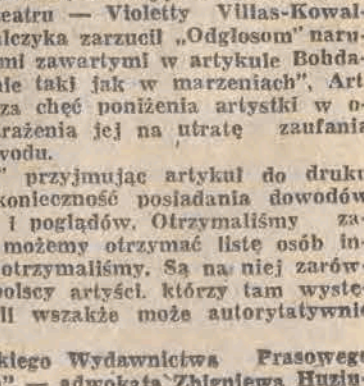
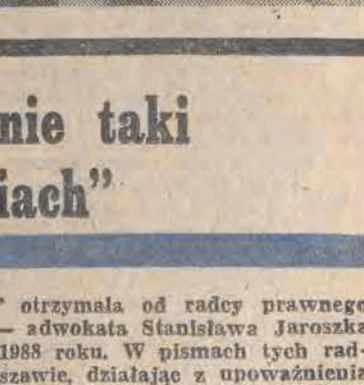
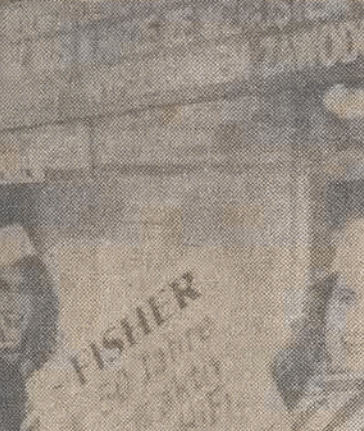
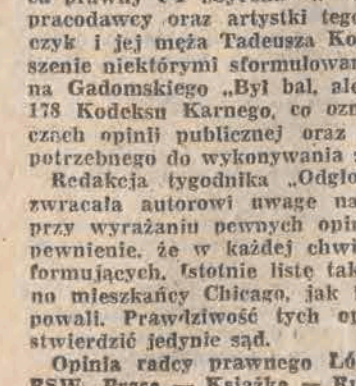


Znana w świecie firma FISHER, produkująca najwyższej jakości sprzęt RTV i wideo, zaprezentowała łódzianom swoje najnowsze wyroby. W salach „Otexu”, który udzielił gościnę znakomitej firmie, mogliśmy obejrzeć i wypróbować własnoręcznie takie min. urządzenia: magnetowidy kamery wideo, radiodwzmaczacze samochodowe, walkmany (w tym miniodtworzący płyt compactowych) i całe zestawy HI-FI, tzw. wieże. Współgospodarzem

prezentacji było PHZ „Baltona”, rozprawiające wyroby firmy. Być może, w Łodzi otwarto zostanie pierwszy w Polsce sklep firmowy FISHERA. Firma ta ma długą i znakomitą tradycję. Założyciel tej pan Avery Fisher mający dziś 82 lata, w 1937 r. wprowadził na rynek pierwszy w świecie system z odtwarzaniem HI-FI. W Ameryce, jako pionierowi tego systemu, nadano mu przydomek „Baron of High Fidelity”. W 1969 r. sprzedał swoje przedsiębiorstwo

japońskiej firmie Sanyo. Dzisiaj FISHER pracuje pod kierownictwem pana Mitsuaki Iida — szefa Sanyo.

I właśnie pan Mitsuaki Iida, obecny na otwarciu wystawy, przekazał i sekretarzowi KL PZPR Józefowi Niewiadomskiemu, sekretarzowi Rady Obywatelskiej Budowy Szpitala Pomnika CZMP — cyfrowy magnetowid najnowszej generacji wraz z kolorowym telewizorem.



PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE Z A T R U D N I ● EKONOMISTĘ ●

z wyższym wykształceniem ze znajomością
problemów budownictwa.

Oferty prosimy składać pod nr 4082/K. Biuro Ogłoszeń,
Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

4082/K

„Był bal, ale nie taki jak w marzeniach”

Redakcja tygodnika „Ogłoszenia” otrzymała od rady prawnego Państwowego Teatru „Syrena” — adwokata Stanisława Jaroszkę pisma datowane: 16 i 30 maja 1988 roku. W pismach tych radca prawny PT „Syrena” w Warszawie, działając z upoważnienia pracodawcy oraz artystki tego teatru — Violetty Villas-Kowalczyk i jej męża Tadeusza Kowalczyka zarzucił „Ogłoszom” naruszenie niektórymi sformułowaniami zawartymi w artykule Bohdana Gadomskiego „Był bal, ale nie taki jak w marzeniach”. Art. 173 Kodeksu Karnego, co oznacza chęć poniżenia artystki w oczach opinii publicznej oraz narażenia jej na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania zawodu.

Redakcja tygodnika „Ogłoszenia” przyjmując artykuł do druku zwracała autorowi uwagę na konieczność posiadania dowodów przy wyrażaniu pewnych opinii i poglądów. Otrzymaliśmy zapewnienie, że w każdej chwili możemy otrzymać listę osób informujących. Istotnie listę taką otrzymaliśmy. Są na niej zarówno mieszkańcy Chicago, jak i polscy artyści, którzy tam występowali. Prawdziwość tych opinii wszakże może autorytatywnie stwierdzić jedynie sąd.

Opinia rady prawnego Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — adwokata Zbigniewa Huzi-

ka potwierdza zasadność zarzutu wysuniętego pod adresem redakcji tygodnika „Ogłoszenia” i autora artykułu Bohdana Gadomskiego.

W tej sytuacji postanowiliśmy wyrazić Violetcie Villas i Tadeuszowi Kowalczykowi — jej mężowi — wyrazy ubolewania z tego przykrego dla obu stron incydentu. Ubolewamy, że artykuł ten ukazał się na naszych łamach i uważamy to za poważne niedopatrzenie. Mamy prawo podejrzewać, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Przepraszamy więc za ten niemiły fakt.

LUCJUSZ WŁÓDKOWSKI

Po napisaniu i opublikowaniu w „Ogłoszeniach” artykułu „Prawdy i mity o Violetcie Villas” zgłosiło się do mnie kilka osób, które były w Chicago lub tam mieszkają. Opowiedzieli mi różne wydarzenia z tamtejszego życia artystycznego, czemu tylko częściowo dałem wiarę. Część z tego zawarłem w artykule „Był bal, ale nie taki jak w marzeniach”. Miałem wszelkie podstawy sądzić, że moi informatorzy mówią prawdę. Protest rady prawnego PT „Syrena” w Warszawie — adwokata Stanisława Jaroszkę, i posądzenie mnie o naruszenie 173 Artykułu Kodeksu Karnego podaje w wątpliwość przekazane mi informacje.

Odwoluję więc to, co napisałem w artykule „Był bal, ale nie taki jak w marzeniach” i niniejszym przepraszam Violetkę Villas-Kowalczyk i jej męża Tadeusza Kowalczyka.

BOHDAN GADOMSKI

Do napisania tego felietonu zbierałem się długo, nie mogłem się zdecydować, jak słońce przed wyprawą za morze. Aż zdołałem mnie wypowiadając Ludwika Jerzego Kerna o ulicy Piotrkowskiej z okazji jej niedawnego święta („Dziennik Łódzki”, nr 135 z 11-13 czerwca br.) — i zamierzony felieton przybrał niejaką formę sprostowania, co — mam nadzieję — nie zawży na wyczenie honorarium.

Ludwik, mój ulubiony autor i były kolega redakcyjny (tak, tak, pracowało się razem w drugiej połowie lat czterdziestych w łódzkim „Expressie”, którą to popołudniówkę L.J.K. zastąpił wierszami i fraszkami pod pseudonimami dr Wist, Jan Skorpion, Jerzy Zajęczkowski, A. Ziehlński) — oświadczył w „Dzienniku”:

„Urodziłem się przy Piotrkowskiej, a to było dobre miejsce do urodzin. Parę kamienie dalej urodził się Artur Rubinstein, tuż za rogiem, przy Andrzej — Julian Tuwim”.

Gdzie urodził się Julian Tuwim? Na sto zapytanych o to osób, sto, podobnie jak L.J.Kern, odpowie bez wahania, że w domu przy ul. Andrzej. Większość wymieni nawet numer domu — 42. Przechodząc tamtędy i widząc wmurowaną ku czci poety tabliczkę. Znajdą się i tacy, którzy wyjaśnią, iż dom ten przed wojną oznaczony był numerem 40.

Zgadza się, ale... Julian Tuwim nie urodził się na Andrzej. Dom na tej ulicy był trzecim z kolei i nie ostatnim miejscem jego zamieszkania w mieście. Poeta przyszedł na świat 13 września 1894 roku w kamienicy przy ul. Widzewskiej 44 (dziś Jana Kilińskiego 46), jako syn pracownika Azowsko-Donskiego Kommercesbanku, mającego swą siedzibę przy dzisiejszej ulicy Stanisława Moniuszki (Pasaż Meyera).

(...) Ojciec mój, ojciec nieumarły,
W Azowsko-Donskim Banku siedzi,
Pisze francuskie długie listy,
I liczb sumuje ciąg spadziści,
I siewając plonów biedzi.
Setki tysięcy wstawia w kratki
Buchalterijnych swoich rubryk,
A brak mu sześćdziesięciu rubli
Dla nas, tam na wieś, na wydatki.

Julian Tuwim, „Kwiaty polskie”
Gdy chłopiec miał cztery lata, państwo Tuwimowie przeprowadzili się z dwupokojowego mieszkania na Widzewskiej na ulicę Pasaż Szulca 3 (ulicę tę spece od nazewnictwa przemianowali później na al. 3 Maja, a ich następcy po wojnie na al. 1 Maja). Tam w roku 1900 urodziła się siostra Juliana — Irena, zmarła niedawno poetka i tłumaczka.

Gdzie urodził się Julian Tuwim?

W Pasażu Szulca rodzina Tuwimów mieszkała też cztery lata i dopiero w 1903 roku przeniosła się do domu przy ul. św. Andrzeja 40 (Andrzeja Struga 42). „Dziennik” na Andrzej to zasadniczy, integralny okres lat dzieciństwa Tuwima, nabierającego później w jego wspomnieniach coraz większego znaczenia, stając się niemal całą epoką — czytamy w książce „Tuwim, Pisma zebrane”. Czytelnik 1986, opr. Alina Kowalczykówna.

To tutaj Julian Tuwim zafascynował się poezją i napisał swe pierwsze wiersze, drukując je pod pseudonimem Roch Piekarski w „Kurierze Łódzkim” wydawanym przez Książkę.

(...) Nawet mizerne wiersze me
Łódź oceniła najpierwsza,
Bo jakiś Książek drukował mnie
Po dwie kopiejkę od wiersza...

Poeta zainteresował się chemią i naukami przyrodniczymi, obudziła się w nim pasja zbieractwa, nauczył się esperanto, przełożył na ten język nowe Bolesława Prusa, poezje Kornela Ujejskiego, Leopolda Staffa, Juliusza Słowackiego, Kazimierza Tejmajera, Jeana Artura Rimbauda.

Jako jedenastoletni chłopiec jest świadkiem rewolucyjnego zrywu łódzkiej klasy robotniczej 1905 r., przeżywa głęboko walkę powstańców, widzi barykady na Piotrkowskiej, co po latach uwieczni w swych „Kwiatach polskich”.

Z okna swego mieszkania ogląda rzeźbę osławionego konia na dachu prywatnej lecznicy zwierząt Warrickofa przy dzisiejszej ulicy Mikołaja Kopernika, owego „skrzydlatego rumaka”, któremu również poświęcił jakże piękne strofy.

I w owych to latach, na Andrzej, przeżywał płomienną miłość do swej przyszłej żony Stefanii Marchewki...

Jako dwudziestolatek po raz czwarty zmienia adres. Kolejnym locum rodzinny Tuwimów jest mieszkanie przy ul. Dzielnej 50 (Gabriela Narutowicza). W tym samym 1914 r. Julian Tuwim zdaje maturę w rosyjskim Państwowym Gimnazjum Realnym im. Romanowych w Łodzi przy ul. Mikołajewskiej 44 (Henryka Sienkiewicza 46), w obecnej sławnej „trójce”, i po dwóch latach wyjeżdża na czasowy pobyt do Warszawy, zapisuje się na studia w Uniwersytecie Warszawskim, najpierw na Wydział Prawa a potem na Wydział Filozoficzny.

W dwudziestym pierwszym roku życia poślubia wybrankę swego serca. Przyjęcie weselne odbyło się w Łodzi w domu siostry jego żony — Jakuba Ingstera przy ul. Krótkiej 12 (Romualda Traugutta). I w tymże roku państwo młodzi przenoszą się na stałe do Warszawy. Początkowo zamieszkali w domu wujki poety, doktora Stanisława Krukowskiego przy ul. Królewskiej 41, następnie w wynajętym czteropokojowym mieszkaniu przy ul. Chłodnej 6.

Jednocześnie w 1919 r. zmieniają miejsce zamieszkania rodzice Juliana Tuwima — wraz z córką przeprowadzają się do domu przy al. Tadeusza Kościuszki 27, zajmując frontowe mieszkanie na I piętrze, na lewo od klatki schodowej. „Wpadłem tam od czasu do czasu już jako ważniak własnym samochodem” — wspomina poeta.

To tyle, jeśli chodzi o łódzkie adresy Juliana Tuwima i jego rodziny. Skąd tak dobrze znam te wszystkie fakty i daty? Ano trochę podparłem się pamięcią, trochę poszperałem w dawnych kronikach, no i dokładnie przestudiowałem wyżej wspomnianą książkę oraz tom „Tuwim. Listy do przyjaciół-pisarzy”, też Czytelnik, 1979, opr. Tadeusz Januszewski.

A gdzie się urodził drugi wielki łódzianin, Artur Rubinstein? I tu nie masz racji, drogi Kerniel! „Parę kamienie dalej urodził się Artur Rubinstein” wspominaś, mając na myśli kamienicę na Piotrkowskiej 78. Nie parę kamienie, ale parę przecznicy dalej. By — o ile mnie pamięć nie myli — Rubinstein urodził się na ul. Poludniowej (dziś ul. Rewolucji 1905) — nie dochodząc do Piotrkowskiej. W domu przy ul. Piotrkowskiej 78 spędził lata dzieciństwa, o czym zresztą mówi wmurowana tu tablica pamiątkowa: „W tym domu mieszkał (podkr. moje) światowej sławy pianista Artur Rubinstein, 1887—1982”.

Cd do podanej na tablicy daty urodzin naszego wirtuoza też mam wątpliwości, bo np. w czterotomowej Encyklopedii Powszechnej PWN wymieniona jest data 1886. Warto by ustalić kto ma rację.

Dla pełnej informacji należałoby dodać, iż Julian Tuwim i Artur Rubinstein byli ze sobą skoligaceni. Brat wujki poety, Franciszek Krukowski, Maurycy, ożenił się z siostrą Artura Rubinsteina — Jadwigą.

ADAM OCHOCKI

NR 27 (1579), 2 LIPCA 1988 R.

1 Lewym okiem

Miesięcznik pod tytułem

Do niedawna istniało porzekadło, że literatura dla dzieci powinna być taka, jak dla dorosłych, tylko lepsza. Porzekadło to ukuł autorzy czy raczej autorki niezliczonych wierszyków o kotach, słońcach i o małych dziewczynkach, chcąc w ten sposób podnieść rangę swej twórczości i dodać sobie ducha. Dziś należałoby nieco zmodyfikować ową sentencję, a mianowicie prasa dla dzieci powinna być taka jak dla dorosłych, tylko droższa. Oto ukazał się miesięcznik „Ja” dla dzieci poniżej sześciu lat w cenie 80 złotych i miesięcznik „Ty” dla sześciolatek w cenie 100 złotych. Nasze maluchy muszą wiele lat czekać zanim będą mogły nabyć w kiosku lekturę dla siebie za skromne 50 złotych. Oczywiście nie doczekają się, bo inflacja swoje robi.

Ciekawy jestem kto wymyślił takie fatalne tytuły. Jak właściwie dzieciak powinien mówić: „Mamusiu, przeczytaj mi „Mnie”, mamusiu, przeczytaj mi „Ja”, wczoraj w moim „Ja” — za każdym razem jest źle. Dobrze byłoby: „przeczytaj mi miesięcznik pod tytułem „Ja”, ale to jakaś bardzo niedzielnica i w ogóle niewdzięczna forma. A jak powinna mówić mama: „Jaciś, pomaluj sobie „Ty”, czy „pomaluj sobie „Ciebie”, czy „pomaluj sobie „Siebie”? Chociaż Jaciś ma już sześć a może nawet siedem lat wszystkie te formy wydają mu się na pewno dziwaczne, tak jak w jego oczach dziwaczne jest wszystko, co czynia dorośli.

Kiedys wychodziły piśmka przeznaczone dla dzieci w różnych kategoriach wieku, a stanowiące pewien ciąg tytułowy: „Iskierki” dla najmłodszych, potem „Płomyczek” i „Płomyk”. Gdyby te sekwencje ciągnąć dalej to dla dzieci jeszcze starszych powinien być „Płomień” później „Ognisko”, „Pożar”, może na zakończenie jeszcze „Zgliszcza” i „Popioły” czy „Popiolek” jako że starszyskie już znowu zbliża się do percepcyjnej zdolności swych prawnużat.

Nie wiem, a cholaćby wiedzieć czym kierowano się ustalając tytuły takie jak: „Ja” i „Ty”. Jeśli uznano, że tytuł może być wszystko jedno taki, to proponuję następną piśmko nazwać na przykład „Sie” albo „Azal”.

W miesięczniku dla najmłodszych pod tytułem „Ja” jest na okładce rysunek słoniatka a w środku Kiplingowska nowela o tymże słoniatku. W miesięczniku dla troszeczko starszych dzieci pod tytułem „Ty” jest na okładce kot. Okazuje się więc nadal, że bez kota i słońca w literaturze dziecięcej ani rusz. Kot na okładce miesięcznika pod tytułem „Ty” (uff...) zasłada przez ramie potworkowi, o którego mój wnuczek, natychmiast po wzięciu piśmka do ręki, sapnął: „dziedziś, a dlaczego on nie ma oczu, a jak on patrzy”? W środku, w obu tych miesięcznikach, poza nowelą Kiplinga, nie ma do czytania nic. Są same układanki, malowanki, rebusy i zagadki. Bardzo pomysłowe, świetne, na pewno ćwiczące zmysł spostrzegawczy i pamięć naszych pociech. Jak na mój gust, oproporcje trochę zachwiano. Obawiam się, że następna lektura po takta senna czytelnicy tych dwóch miesięczników będzie „Rozrywka”, „Krzyżówka” i jeszcze coś w tym rodzaju, a nie książka do normalnego czytania. Gorzej, że zachwiano też proporcje w innej stronie. Mianowicie w trzech książeczkach nie ma nic, co by działało w jakiś sposób na sferę emocjonalną naszych dzieci. Wszystkie te zagadki i krzyżówki odnoszą się do rozumu, każą zgadywać, kojarzyć, nie natomiast nie mówią o takich archaicznych drobniactwach jak: miłość, wdzięczność, radość i smutek, chęć niesienia pomocy, serdeczność i dobroć. Można się spodziewać, że te

dzieci wesołniej niż dawniej siedzą po komputer i po gry telewizyjne ale pociechy rodziców rodzeństwa, słabszych, będą dla nich absolutnie obojętne.

W Krakowie zaczął się ukazywać jeszcze jeden magazyn dziecięcy — „Królczek”. Nie znam go. Poprzez telewizję reklamuje się „Skarb Malucha”, którego także nie znam, ale o którym parę krytycznych uwag czytałem już w prasie. Tak więc w ciągu paru miesięcy powstały cztery nowe piśmka dla dzieci. Czy chodzi o to, żeby dzieciak w kiosku miał swoją teczkę i odbierał w niej młik prasowy co tydzień czy co miesiąc, czy o to, by sobie wybrał jedno piśmo z wielu stojących do wyboru, czy może o to, żeby liczne grono ludzi, tworzących dziełce wiersze i układanki znalazło lepszy rynek dla swych wyrobów. Jeśli jeszcze ukaza się piśmka „On”, „Ona”, „Ono”, „My”, „Wy”, „Oni”, „One” — jeśli każde z nich będzie miało jakiś tam swoją specyfikę, która w żadnym stopniu nie znajdzie swego odbicia w tytule — sądzę, że będziemy mogli uznać, iż rynek już jest nasycony.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Trzy pióra

Dawno, dawno temu, kiedy byłem młody i należałem do harcerstwa wśród wielu sprawności była taka najtrudniejsza: „trzy pióra”. Polegało na tym, że harcerz siedzi — o ile pamiętam — na dwie doby do lasu i przez ten czas miał sam sobie z wszystkim poradzić. Gdy byliśmy na obozie, to niektórzy moi koledzy z klasy i drużyny poszli po „trzy pióra” i opowiadali później straszne rzeczy, jakie przeżywali sami wśród lasu, a wiadomo, że wtedy strach ma duże oczy.

Zupełnie nie wiem, co się stało z „trzema piórami”, czy uznano to za „burzaczynę pozostałości” i wyrzucono na śmietnik historii, czy też młodzi ludzie nadal biegają do lasu, aby uczyć się samodzielności. Jeśli nawet biegają, to jakoś z nauką tej samodzielności nie jest najlepiej. Można powiedzieć, że raczej uczymy się, jak nie być samodzielnym, samodzielnie nie myśleć, nie mieć inicjatywy, nie wykazywać przedsiębiorczości, nie narażać się. Żyć spokojnie, bo „moja chałupa z kraju”, czekać aż inni wykaraskają nas z tego przekłętą kryzysu.

W telewizyjnym „Kramie” pokazują spółdzielnię mleczarską, która wkłada dostawcom mleka do pustych konwili samowłone masło, twarog, sery i co tam jeszcze z tego mleka robią. Ma to być przykład do naśladowania. Można powiedzieć: wielkie, epokowe odkrycie! Wystarczyło pomyśleć. Ale innym się nie chce myśleć i kobiety wiejskie muszą wystawać w kolejkach, aby kupić to, co robi się z mleka. Niech sobie postoją. Kto u nas myśli nad tym, aby innym ludziom życie ułatwić. Przecież, każdy myśli o tym, jak by sobie życie ułatwić, aby mało robić, a dużo zarobić. Najlepiej więc podnieść ceny.

Od dawna uważam, że u nas nie handluje się, a tylko urządza się w sklepie. Wracając z pracy po południu do domu i przypominam sobie, że na śniadanie zjadł ostatni kawałek chleba. Idzie do sklepu, a tam nie ma chleba. Pyta ekspedientkę:

— Co się stało, dlaczego nie ma chleba?

— Bo nie dowieźli.

I mamy spokój. Czyste sumienie. Pustki w sklepie. Ci wredni klienci nie przeszkadzają.

Ostatnio Klienci odnieśli wielkie, epokowe zwycięstwo. Skie-

py są czynne również w soboty. Ale — jak znam życie — handlowcy nie są z tego zadowoleni. Im się to pewnie nie opłaca. Oni na tym stracą. Na całym świecie ludzie by zarobili, a u nas nie. Bo my musimy być oryginalni.

Niektórzy twierdzą, że wszystkim winne są monopole. Monopolista nie ma konkurencji, więc robi to, co jemu jest wygodne. Klient i tak musi przyjść do niego, bo on jest jedyny. Profesor Andrzej Koźmiński z Uniwersytetu Warszawskiego gromkim głosem na łamach „Życia Warszawy” wezwał rząd do skorzystania ze specjalnych uprawnień i usamodzielnienia spółdzielni. W tym handlującym. Wezwał do tego, aby w trybie natychmiastowym, drogą nakazu administracyjnego rozwiązać wszelkie spółdzielcze związki ponadpodstawowe. Jego zdaniem tylko tak i jedynie tak można odbudować spójność społeczeństwa.

Przypomniał też, że spółdzielczość to był „ruch ludzi biednych, którzy mieli kłopoty i postanowili radzić sobie z nimi wspólnie”. Dziś też są ludzie biedni, którzy muszą liczyć się z groźmą i oni powinni korzystać z dobrodziejstwa spółdzielczości. „Potrzebne są — mówi profesor Urszula Szyperskiej z „Życia Warszawy” — np. tanie sklepy o niskich marżach, a tym samym spółdzielczy handel musi mieć prawo różnicowania marż. Poza tym angażowanie się w spółdzielczość powinno się opłacać. Stąd propozycja zwiększenia dywidendy, przyznawania członkom rabatów”. A jak ktoś nie wytrzyma takiej kuracji, to padnie. Trudno. Takie powinny być reguły gry. Ludzie czekają na radykalne posunięcia, a nie na ciągłe drepnięcie w miejscu. I chciałoby się i boimy się.

W tym samym numerze „Życia Warszawy” wyczytałem kuriozalny komunikat Polskiego Związku Piłki Nożnej. Okazało się — według tego komunikatu — że Telewizja Polska spowodowała, iż na stadionach piłkarskich w czasie ostatnich kolejek rozgrywek i ligi było zastraszająco mało ludzi. Siedzieli oni przed telewizorami i patrzyli na mecz Anglia — ZSRR. Ja im się nie dziwię. Poziom meczu Anglia — ZSRR był niewątpliwie wyższy od każdego meczu ligowego. Dokonał więc właściwego wyboru.

Zresztą to jest mało ważne, czy taki komunikat powstał w PZPN, czy w jakimś innym związku czy o organizacji lub stowarzyszeniu. Jest on bowiem tylko i wyłącznie ilustracją powszechnie niemal panującej tendencji, aby przyczyn złej sytuacji szukać nie u siebie, a u innych. Telewizja winna, że polscy piłkarze grają fatalnie. Zima winna, że stan ulic jest opłakany i pełen dziur, bo zima woda dostała się pod asfalt, zamarzła i zniszczyła.

Co ja wreszcie będę wyliczał winnych. Każdy umie ich znaleźć, szukać gdzie indziej. Każdy chce mieć wszystko by reformował, tylko nie u siebie. Może więc wymyślić jakieś „trzy pióra” dla naszych decydentów z różnych dziedzin życia, aby nauczyli się przede wszystkim u siebie szukać przyczyn zła i je zwalczać.

ZENON POROWATY

3 Nagle zastępstwo

Koleżanka Kowalewska

Łato się zaczęło i to jest wspaniałe... A jednocześnie zaczął się sezon na festiwale, głównie piosenkarskie, niestety. Zamiast po znojnym dniu pracy bądź po urlopowym dniu lenistwa obejrzeć w TV film, program publicystyczny czy co tam jeszcze, ogromna większość rodaków oglądać będzie PP artystów i artystki w przebojowych kreacjach, którzy to artyści i artystki przez trzy —

cztery wieczory furt będą śpiewać, śpiewać i śpiewać do znużenia. Jakies jury będzie to pracownie punktować, oceniać i wyceniać i wreszcie ogłosi wyniki. I okaże się np. że artysta Iksiński najpiękniej na świecie odśpiewał kołowego walczyka w Opolu, a znowu artystka Książkiewicz Barbara jak nikt w całym Układzie Warszawskim wykonywała poematy Janusza Przymanowskiego do muzyki Benedykta Korfalkiego. A w Sopocie? W Sopocie, to już, proszę szanownych państwa różni „Holendrowie i Belgijczycy” (cytat z komentarza żurnalisty pilkarskiego, nożnie kopanego), tak porywająco wykonują wstrząsającą, głęboko filozoficzną pieśń pt. „Daj mi tę noc”, że publika do późnych godzin nocnych będzie się rytmicznie kiwać na boki z ukontentowaniem...

Podobno minister kultury (niech go Bóg i Komitet Centralny mają w opiece) kombinował coś, żeby tych festiwali było mniej albo chociaż, żeby się odbywały może rzadziej. A skądże! Wszystkie możliwe cwaniaczki, szarpidruły, „kompozytorzy” i „tekściarze” tych szalenie artystycznych kantat i melorecytacji, a także wszyscy inni, którzy żyją z festiwalomanią jako impresariowie, menagero, organizatorzy, jurorzy, konferansjerzy itp. podnieśli taki wrzask, że uszy puchną całkiem jak na festiwalu piosenkowym właśnie. Ze zamach na tradycję, że niepowetowana strata dla kultury narodowej, która bez festiwali zwiednie natychmiast i tylko Chopin będzie się w grobie przewracał. Razem z Norwidem. (Gdyby ktoś nie znał ostatniego nazwiska to wyjaśnię, że Norwid to teściarz osobisty Niemena Czesława. A Niemien to znowu facet z powieści „Nad Niemnem” i filmu pod tym samym tytułem).

No i ustąpił minister Aleksander Krawczuk. I tylko czasem się zaduma nad takim fenomenem, że we wspaniałym świecie cywilizacji greckiej i rzymskiej i innych festiwali na pieśń nie było, a jakoś się to kupiło trzymało i nawet nadal trzyma, czego sam minister jest żywym i pardon, macałym dowodem.

Łódzkie władze kulturalne są dziwnie impregnowane na festiwalomanię piosenkową. Chwała im za to. A może tylko nie załapał się? Bo już obsadzone nie tylko festiwale polskie i opolskie, zmiłnizowane i milicyjne, ale nawet jest festiwal na pieśń patriotyczną i partyzancką, na studencką, emerytalną i ludowo-hazardową, na radziecką, francuską, abisyńską, turystyczną, kabotyńską, kolejową i antynukleonową. A taki festiwal, żeby egzystować urzędowo musi mieć jakiś wytrych, jakieś hasło. No to może zrobić festiwal Dobry Piosenki? Nie ma cudów. To nie chwyci...

Inna sprawa, że podobno naród sobie tego życzy. Długo nie mogłem w to uwierzyć, ale pewien poważny człowiek przysięgał mi na wszystkie świętości, że te wystrojone facety i wytapirowane damy, których pełno w sopockich i opolskich amfiteatrach, to oni są tam zupełnie doborowo! Nikt ich tam na siłę z łapani nie ciągnie, nikt im za te oklaski i kaskadowe kołysanie nie płaci, przeciwnie, z własnej i nieprzymuszanej klasy bułają za to gruby szmal! Co na ludzi, o tempora! o mores!

Żeby moja pisanina czemuś w końcu służyła i była z grubsza podobna do innych publikacji w naszej prasie z ostatnich miesięcy, powolałem się niżej wymienioną na drugi etap reformy i proponuję, żeby te festiwale, w celu zmniejszenia kosztów, organizować w koło. Kto jak wiadomo przedrodek informujący, że następujący po nim rzeczownik lub czasownik odnosi się do jakichś wspólnych spraw. A więc ko-produkują to produkcja do spółki, ko-edukacja to wspólna nauka, ko-operacja to operacja dokonywana przez dwóch lekarzy itd. No więc robmy te festiwale w jakiejś ko-produkcji czy ko-operacji.

Przy okazji mały konkurs (bez nagród) dla PT Czytelników. Co znaczą wyrazy: Kowalewska? ko-wal? ko-leżanka? ko-menda?

ANDRZEJ KAROL

ODGŁOSY 15

Tej nocy, przy wiatym ogniu, najadłszy się pieczonego mięsa z dobitego przez Kuia konia Helgundy, Ku jak zwykle siłą chciał posiąć księżną. I jak zwykle bronił się przed nim trzymając noż w ręku. Nie bał się tego noża Kuia, ponieważ wiedział już, że to tylko jej gra miłosna. Zdumiał się i to na krótko, gdy noż wbił się w jego pierś. Albowiem bardziej od niego, zapragnęła Helgunda jego konia, jednego, jaki im pozostał. Rankiem wspięła się samotnie na wzgórze i z jego szczytu ujrzała szeroko rozlaną rzekę, a nad brzegiem — wale, palisady i wieże obronne grodu. Wiedziała, że to musiała być Kalisia. Była pewna, że przebrana w strój mężczyzny bezpiecznie wjedzie w bramy grodu i dotrze do jego władcy. Ku okazał się już niepotrzebny. Zapamiętała sobie jego słowa, że chciałby ją mieć tylko dla siebie i to na zawsze. A niczego się Helgunda tak nie bała jak właśnie takich słów.

W kilka dni później Zyfika na czele trzystu swoich saurumackich jeźdźców i dwustu tarczowników wziętych z Kruszwic — wkroczyła do Gniazda, a naprzeciw niej, o toczony lasem pochodni, wyszedł Piastun i uroczystie zaprowadził ją do komnaty, która dotąd zajmowała księżną Helgundę. Potem Dago wezwał do siebie Spicimira:

— Czy wygnałeś precz karlicę imieniem Miłka? — zapytał.

— Tak, panie. Jest w Spicimirzu, które znowu stało się moim starostwem — odparł tamten.

Zauważywszy, że Spicimir chce mu jeszcze coś powiedzieć, skinął głową, dając mu przyzwolenie, aby mówił.

— Otrzymałem wieść, że księżna Helgunda bezpiecznie dotarła do Kalisii. Władca Ibraim chce ją odesłać Karakowi.

Patrzył pilnie Spicimir w twarz Dagona, ale władcy nie drgnęła nawet powieka, ani nie poruszył ustami, ani nie przesunął mu się pod skórą żaden mięsień.

Obojętnym głosem rzekł Dago:

— Czy nie kazałem ci, Spicimirze, uciąć głowę księżnej Helgundy?

— Tak uczyniłem, panie. — Czy nie kazałem oddać jej ciało pod mleczę moich żołnierzy?

— Tak się stało, panie. Postępkali jej ciało i wrzucili je do jeziora.

— Któż w takim razie znajduje się w Kalisii, jeśli, jak powiadasz, wykonałeś moje rozkazy?

— To jakaś Łze-Helgunda, panie.

— I ja tak myślę, Spicimirze. W Kalisii znajduje się jakaś Łze-Helgunda, którą władca Kalisii, Ibraim, wynalazł tylko dlatego, że pragnie wojny z nami. Jak to dobrze, że kazałem wojskom obozować nad Prosną. Jeśli Ibraim nie wyda nam owej Łze-Helgundy, pozostawie z Kalisii tylko nadpalone belki. Nie będzie bowiem w moim kraju żadnych Wolnych Miast, co tuczą się na handlu. Gniazdo zaś stanie się nową Kalisią.

Następnie rozesał Dago rozkazy do swoich wojsk i wojsk Duninów i Łabędziów, skazując się na nieprawość Kalisian, którzy wynalazli jakąś Łze-Helgundę, aby spowodować u Polan nowe niesnaski wewnętrzne. To przecież nie on, Piastun, siekał mieczem ciało Helgundy, ale czyniło to dziesiątki jego żołnierzy. Niechaj teraz albo pokłonią się zmarłym, wstąpię księżną albo ukarzę Kalisian za ich fałsz.

— A jeśli Ibraim nie wyda nam Łze-Helgundy, ponieważ już wcześniej odesłał ją Karakowi? — spytał Spicimir.

— Tym lepiej, Spicimirze, tym lepiej. Bo wówczas będę miał pełne prawo spalić to miasto. Każdej nocy śniło mi się bogactwo Kalisii i każdej nocy cierpiałem, że cały handel idzie przez Kalisję, a nie przez Gniazdo. Pomyślałem także, iż jeśli ktoś będzie chciał uciec spod mojej władzy do księcia Karaka, najłatwiej to uczynić przez Kalisję.

— A Karak, panie?

— Otrzymałem dziś wiadomość od kanclerza Herima, że książę Karak zdobył Karradonon, wybił wszystkich moich orszaczów i wojska. Zdobyt miasto kazał nazwać Karaków. Dużo czasu upłynie nim będzie mógł zwrócić się przeciw nam, albowiem jednych moich musi zastąpić innymi. Nie może toczyć wojen bez dowódców. Duninowie i Łabędziowie już pod Kalisią. Wkrótce i ja tam wyruszę razem z Zyfiką.

— Z królową Zyfiką — powiedział Spicimir.

— Idź precz! — podniósł na niego głos i wskazał mu drzwi.

Zyfika tylko dwa razy pozwoliła Dagonowi wejść do swojego łóża. Za każdym razem leżała pod nim nieruchoma, jak gdyby martwa, dopóki nie wypełnił jej swoim nasieniem. Przed trzecią nocą uprzedziła go, aby więcej do niej nie przychodził, gdyż czuje się brzemienną.

— Tak wcześniej? — zdziwił się Dago. — Przecież chyba dopiero trzy miesiące upłynęły od naszego ślubu.

— Kobieta wie, kiedy w niej nowa życie kielkuje — odrzekła. — Weź sobie jakąś nalożnicę, ponieważ saurumacka kobieta nie przyjmuje mężczyzny, gdy jest w ciąży. A teraz, skoro po raz ostatni leżymy obok siebie w łóżu, powiedz mi, na ile prawdę mówią tajne wieści, że pokochałeś księżną Helgundę.

— Księżną i Aslaką posiekano mieczami dziesiątki moich żołnierzy...

Przez krótką chwilę miał ochotę wyć w Tyrfing i uciąć im głowy, ale przecież przyszedł tylko z ciekawości. Nie należało wywoływać nieśnasek wewnątrz dworu i wojska, gdy rozpoczynali wyprawę przeciw Kalisii. Tego jednak był pewien, że od pierwszej chwili, gdy zobaczył owoch trzystu zbrojnych, których z Mazowii przyprowadziła Zyfika, poczuł do nich niechęć. Byli bardzo wysocy i barczysti, ruchy mieli miękkie i kobiece, lecz odznaczali się niezwykłą siłą. Ich śniade twarze o nieco skośnych oczach i długie wąsy zakręcone do góry nadawały im wyraz dzikiej surowości. Nie wydawali się skłonni do bratania z innymi oddziałami, obozowali oddzielnie i porozumiewali się półgłosem. Ubrojenie nosili trochę staroświeckie, tylko kolczugi na skórzanych kaftanach, hełmy z jednym lub dwoma rogami byków, krótkie miecze, okragłe tarcze, oszczepy i łuki. Gdzie i kiedy, ja-

gów Rostislava, którzy udawali mnichów. Poddaliem ich torturom i wyznali, że cesarz Rho-majów zwyciężył Saracenów i nareszcie odegnał ich od swoich granic, przez co zaczął jeszcze większe zainteresowanie okazywać naszym krajem. Pokonał Bułgarów i ochrzcił cara Borysa, który aby przyjąć chrzest musiał wymordować 56 bojarów. Będzie i do ciebie, panie, wysłane poselstwo mnichów, abyś ochrzcił swój kraj jak to uczynił Rostislav i Borys.

— Pytałem cię nie o sprawę świata, ale o Zyfikę.

— Przeważnie zajmowała się polowaniem. Potem dowiedziała się skąd, że zdobyłeś Gniazdo, oszukała swoje wojska oddając im na posiekanie ciało jakiejś dziewczki i umiłowales Helgundę. Wtedy straciła do ciebie zaufanie, odsunęła się od moich rad. Stanała na czele kilkudziesięciu konnych i ruszyła na Mazowie. Wyznaczyła człowieka, który jako grodzierzca ma odbudować Plock.

nie powiedział Dagonowi wszystkiego, nie ostrzegając go tak jak winien był kanclerz państwa ostrzec swego władcę. Tam, w Kruszwic, gdy przebywał długie godziny sam na sam z Zyfiką, pojął, że tylko na krótko dała się przygnać jak gałąź młodej brzozy, ale natychmiast, gdy ustał ucisk jego miłości, ona rozprostowała się i stała znowu Dziką Kobiętą. Czy można zresztą zmienić naturę ludzką raz już ukształtowaną? Czy można oswoić dorosłe dzikie zwierzę?

Nie powiedział też Herim swemu władcy, że odkrył w sobie miłość do Zyfiki, która zaczęła się już bardzo dawno, być może wtedy, gdy ona jeszcze udawała mężczyznę. Nie zdradził Herim Dagonowi, że to on zawiesił kotarę w swojej kancelarii, aby ona, ile razy zechciała, mogła przysłuchiwać się rozmowom z jego wysłannikami. Tak dowiedziała się o Helgundzie, o dziwnej namietności, jaką księżna obdarzył Dago, że nawet lud o-

bronią ciągnęło za nimi. W Gnieździe pozostawił Dago tylko Spicimira i jego ludzi, którym nadał prawo noszenia czarnych płaszczów, ponieważ nakazano im być stróżami porządku w państwie.

Rządziła miastem rada starszych i najbogatszych rodów, które swój początek wywodziły od niepamiętnych wieków. Przed pięcioma laty wybrali na władcę Ibraima z saracen-skiego rodu. Ibraim okazał się dobrym obrońcą miasta, bogdy podeszli Visulan na czele z księciem Karakiem I, dzięki ogromnej ilości najemnych żołnierzy nie tylko, że Kalisję obronił, lecz uderzył na Karaka i z pomocą Szezan, którzy zaatakowali Visulan od tyłu zadał Karakowi ogromne straty. Od tej chwili nie spodziewano się, aby w krótkim czasie powstała potęga zdolna znowu zaatakować Kalisję. Dlatego zlekceważył Ibraim pomoc Szezan i nie opłacił ich wedle zasług, przez co czuli się pogńiewani. Państwo Popiołowoskich było rozbite i wstrząsane walkami wewnętrzными, żaden zaś pojedynczy możny Lendiców czy Gopelanów, choćby taki Powała czy Dunin nie był w stanie zdobyć Kalisii. Księżna Helgunda chętnie przyjmowała dary od kupców z Kalisii, była zresztą z nimi związana, gdyż to oni kierowali karawany kupieckie przez Gniazdo i kupowali sól. Lekceważono więc wieści o jakimś Piastunie, który z bandami Lestków zaczął wojować z możnymi i księżną. Aż przyszła wiadomość, że ów Piastun najpierw zdobył Kruszwic, a później Gniazdo, księżną Helgundę i Aslakę żołnierze Piastuna rozsiekali mieczami, moich Duninów z Poznani i Łabędziów z Ładu lek ogarnął i złożył hold Piastunowi. On zaś — człowiek tajemniczy i przedziwny — wojska, które przeciw nim wysłał, obozem nad Prosną rozłożył, niezbyt daleko od Kalisii, ale też i niezbyt blisko. Zaniepokoiło to Ibraima — tak wielka liczba wojsk w pobliżu Kalisii — zaraz jednak przyszła uspokajająca wieść, że Piastun zamierza z owymi wojskami ruszyć aż na daleką północ i od księcia Gedana upomnieć się o należności za wysłane mu Visula towary.

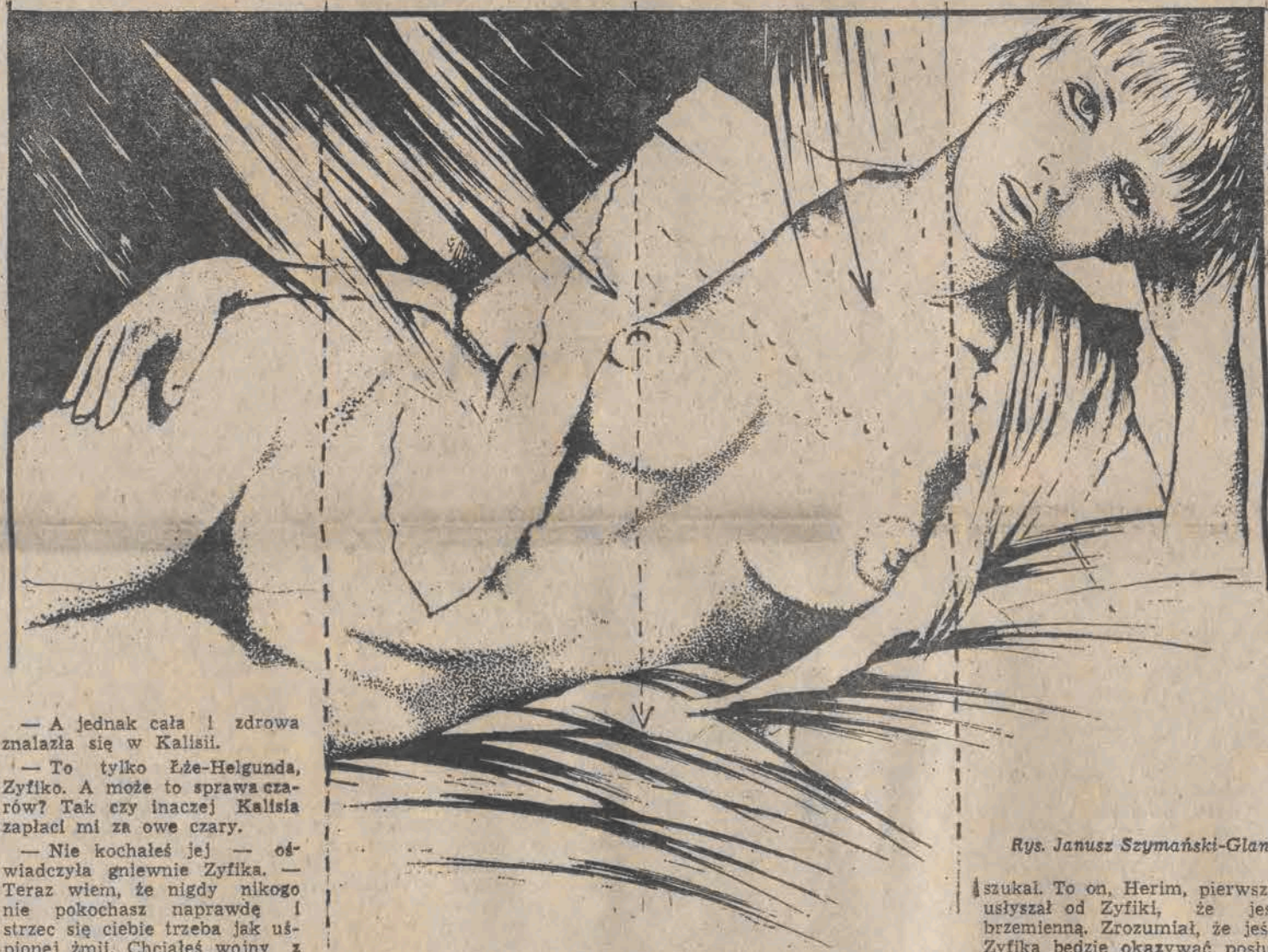
Aż pewnego dnia na dworze Ibraima pojawiła się nagle księżna Helgunda ubrana w podarty strój męski, samotna, na sianającym się ze zmęczenia koniu. Opowiedziała o sprawach zatrważających. Przede wszystkim o tym, jak to Piastun oszukał własne wojsko i dał posiekać żołnierzom nieznaną dziewczkę, i że sobie żywa pozostawił, aby się z nią potem ożenił i na tronie książęcym obok Helgundy zasiadł, nie narażając się na nazwę samowładcy. Przekupiła Helgundę swoich strażników i tylko dzięki temu uciekła z Gniazda, aby połączyć się z Karakiem II i razem z nim odzyskać utraczony tron Popiołowoskich. Uciekła zaś właśnie przez Kalisję, a nie inną drogą, ponieważ pragnęła ostrzec Ibraima, że Piastun z całą pewnością uderzy na miasto. I nie wykreślił się Ibraim żadnym trybutem, gdyż w zamysłach Piastuna Kalisia ma być zrównana z ziemią, albowiem Gniazdo pragnie uczynić Piastun nową Kalisią, przejmując cały handel między Wschodem i Zachodem, między Północą i Południem.

— Szykuj się do obrony miasta, a mnie odesłaj do Karaka — rzekła mu na koniec Helgunda — Karak zdobył Karradonon, ukończył moich i teraz za moją namową będzie mógł przybyć na pomoc Kalisii, gdy ją Piastun zacznie oblegać. Coż mógł uczynić Ibraim, jeśli nie posłuchać rady księżnej? Dał jej bogate stroje niewieście, silną eskortę i odesłał do Kraju Visulan, miasto zaś zaczął spłoszyć do obrony.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

— A jednak cała i zdrowa znalazła się w Kalisii.

— To tylko Łze-Helgunda, Zyfiko. A może to sprawa czarów? Tak czy inaczej Kalisia zapłaci mi za owe czary.

— Nie kochałeś jej — oświadczyła gniewnie Zyfika. — Teraz wiem, że nigdy nikogo nie pokochasz naprawdę i strzec się ciebie trzeba jak uśpionej żmii. Chciałeś wojny z Kalisią i teraz będziesz ją miał.

— A ty nie pragniesz bogactw Kalisii?

— Chcę ich dla siebie i twojego potomka. Dlatego stanę u twojego boku i będziemy walczyć ramię w ramię. Ale nie przychodź więcej do mojego łóża. Kto tak bardzo pragnie władzy jak ty, własną żonę może ukusić i to nawet w jej łóżu.

Szykując się do opuszczenia jej komnaty, rzekł na odchodnym z odrobiną pogardy:

— Wziąłem cię za żonę i uczyniłem współwładczynią. Ale ty nadużyłaś mego zaufania. Zaczęłaś nazywać uczucia i sprawy, a to jest zastrzeżone tylko dla mnie. Coż wiesz zresztą o uczuciach ludzkich? Dla ciebie miłość to nieustanne niewolenie mężczyzny i władza nad nim, jego posłuszeństwo.

Co wiesz także o naturze olbrzymów? Czy wyobrażasz sobie jak wygląda ogrom ich wyrzeczenia się miłości i ogrom cierpienia? Nie można jednocześnie kochać kobiety i kochać władzy, tak samo jak jednocześnie być karłem i olbrzymem. Albo się jest jednym, albo drugim. Uważaj na siebie i pamiętaj, że masz mi urodzić olbrzymia a nie karla, który da się zniewolić przez kobietę.

A kiedy mimo wszystko, chybą z ciekawości, przyszedł znowu pod drzwi jej sypialni, zastał tam dwóch saurumackich wojowników. Chciał wejść, ale oni skrzyżowali przed nim swoje oszczepy.

kim sposobem zdołała ich Zyfika tak szybko zwerbować i zorganizować w wielkie drużyny?

Wezwał do siebie Herima:

— Nie powiedziałeś mi, skrybo, co działo się w Kruszwic i na świecie, gdy zdobywałem Gniazdo — zaczął gniewnie.

— Przywoziłem całą skryżnię runów brzoźowych, ale nie dopuściłeś mnie, panie, do siebie, bo Spicimir był ci bliższy.

— Mów teraz...

— Włocław lud uciska. Setki wolnych zamienił w niewolników. Port ma już prawie gotowy, więc buduje warownię. Lud się zwraca do ciebie...

Powiedział Dago pan i Piastun:

— Sztuka rądzienia mówi, że władca nie powinien mieć ani innych trosk, ani poświęcać się innym rzemiosłom, ani posiadać innych myśli, jak tylko te o sprawy państwa i wojska. Co robiła Zyfika? Skąd wzięła saurumackich żołnierzy?

— Z początku siedziała w Kruszwic i przyglądała się jak rządził Kędzierza. Przygotowała też dla ciebie, panie, dwustu tarczowników, ubrała ich i uzbroiła. Każdy ma kaftan, kolczugę, hełm kopulasty i podłużną tarczę, za którą cały może się skryć...

— Wiedziałem...

— Schwytałem dwóch szpie-

przyjeła holdy od starosty Psarza w Wysokim Grodzie. Być może odnalazła jakąś część bogactwa saurumackich kobiet, ponieważ wkrótce starosta grodu Raciaż oraz starosta Ciechan, z innego grodu w głębi Mazowii oddał się w jej piastowanie. To oni wyszukali dla niej trzystu saurumackich niewolników, którzy stali się waleczni, gdy Dzikie Kobiety wywarły wskutek zarazy. Ostrzegam cię, panie, że jest w ich krwi jakaś dziwna uległość wobec Dzikich Kobiet, kochają więc ostatnią z nich, Zyfikę, jakąś miłością ślepą i niezrozumiałą. Nazywają ją „królową”.

— Wiem.

— Poszerzyła granice twojego państwa aż po starostwo Ciechan. Wniośła ci w wianie Mazowie.

— Nie miała prawa brać niożki w piastowanie. Czy znasz frankijski obyczaj, że wasal mego wasala nie jest moim wasalem? Co mi z jej wasall, skoro nie mnie, ale jej będą posłusznymi?

— Przelekła się, że rozko-chany w Helgundzie, zapomnisz o jej prawach. Nie należy, panie, ani jej lekceważyć, ani umniejszać w prawach władczyni.

— Jej prawo to rodzić dzieci. Odejdź, Herimie, abym ci nie uczynił czego złego — rozkazał Dago.

I Herim posłusznie odszedł